



JAMES

PATTERSON

MAXINE PAETRO

DZIEWIĄTY WYROK

O książce

Seryjny morderca Peter Gordon z jakiegoś powodu bierze na cel matki z dziećmi. Jego pierwsze ofiary to kobieta i niemowlę, zastrzelone na parkingu przed sklepem. Świadców nie ma, a jedynym tropem, jakim dysponuje przydzielona do tej sprawy porucznik Lindsay Boxer, są napisane szminką trzy litery: KDP.

Sarah Welles specjalizuje się w kradzieży biżuterii w trakcie przyjęć w bogatych domach. Podczas jednej z jej akcji ginie żona gwiazdora filmowego, Marcusa Dowlinga. Jak Lindsay poradzi sobie z prowadzeniem dwóch spraw jednocześnie? Zwłaszcza gdy seryjny zabójca domaga się, by to ona pośredniczyła w przekazaniu okupu, którego żąda w zamian za opuszczenie miasta?



Wydanie elektroniczne

JAMES PATTERSON

Czołowy amerykański autor powieści sensacyjnych, zdobywca Edgar Award, ma w swoim dorobku około stu książek, które ukazały się w kilku cyklach wydawniczych, m.in. **Alex Cross**, **Kobiety Klub Zbrodni**, **Michael Bennett**. Jest również współautorem powieści dla młodzieży, np. **Gimnazjum**, **Najgorzsze lata mojego życia**, **Czarownica** czy **Dar**. Łączny nakład sprzedanych powieści Pattersona sięga 200 milionów egzemplarzy.

MAXINE PAETRO

Amerykańska pisarka i dziennikarka, jest autorką czterech książek oraz współautorką kilkunastu powieści napisanych z Jamesem Pattersonem, m.in. **Piąty Jeździec Apokalipsy**, **Szósty cel**, **Siódme niebo** czy **Detektywi z Private**.

www.jamespatterson.com

Tego autora

DOM PRZY PLAŻY

DROGA PRZY PLAŻY

KRZYŻOWIEC

MIESIĄC MIODOWY

RATOWNIK

SĘDZIA I KAT

SZYBKI NUMER

OSTRZEŻENIE

BIKINI

REJS

POCZTÓWKOWI ZABÓJCY (z Lizą Marklund)

KŁAMSTWO DOSKONAŁE

WYCOFAJ SIĘ ALBO ZGINIESZ

ZOO

DRUGI MIESIĄC MIODOWY

NIEWIDOCZNY

Alex Cross

W SIECI PAJĄKA

KOLEKCJONER

JACK I JILL

FIOŁKI SĄ NIEBIESKIE
CZTERY ŚLEPE MYSZKI
WIELKI ZŁY WILK
NA SZLAKU TERRORU
MARY, MARY
ALEX CROSS
PODWÓJNA GRA
TROPICIEL
PROCES ALEXA CROSSA
GRA W KOTKA I MYSZKĘ
JA, ALEX CROSS
W KRZYŻOWYM OGNIU
ZABIĆ ALEXA CROSSA
ALEX CROSS MUSI ZGINAĆ
BOŻE NARODZENIE ALEXA CROSSA

Kobiocy Klub Zbrodni

TRZY OBLICZA ZEMSTY
CZWARTY LIPCA
PIĄTY JEŹDZIEC APOKALIPSY
SZÓSTY CEL
SIÓDME NIEBO
ÓSMA SPOWIEDŹ
DZIEWIĄTY WYROK

Michael Bennett

NEGOCJATOR
TERROR NA MANHATTANIE
NAJGORSZA SPRAWA

Private Investigations

DETEKTYWI Z PRIVATE

DETEKTYWI Z PRIVATE: IGRZYSKA

Tytuł oryginału:
THE 9TH JUDGEMENT

Copyright © James Patterson 2010

All rights reserved

This edition published by arrangement with Little, Brown and Company, New York, New York, USA Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Elżbieta Piotrowska 2014

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce © Reilika Landen/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-039-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: [88em](#)

Dla Suzy, Johna, Jacka i Brendana

Prolog

Złodziej przychodzi nocą

1

Stojąc na dachu wiaty garażowej, Sarah Wells wsunęła dłoń w rękawicze przez otwór, który wycięła w szybie. W uszach czuła szybkie pulsowanie krwi, gdy przekręciwszy od środka klamkę, podnosiła skrzydło angielskiego okna i bezszelestnie wślizgiwała się do ciemnego pokoju. Kiedy znalazła się w środku, przyłgnęła do ściany i zaczęła nasłuchiwać.

Z parteru dochodził gwar rozmów, słyszała też szcęk sztućców o talerze. Dobry moment, pomyślała. Wprost idealny.

Lecz utrafiiony moment a realizacja planu to dwie różne sprawy.

Zapaliła latarkę czołową i podążając za jej przesuwającym się po półokręgu światłem, wędrowała wzrokiem po sypialni. Z lewej strony stała toaletka, a na niej mnóstwo różności. Muszę uważać na ten stolik i na liczne dywaniki na śliskim parkiecie, zanotowała w pamięci.

Zwinnym krokiem wysportowanej młodej kobiety przemknęła przez pokój, zamknęła drzwi na korytarz, po czym skierowała się do garderoby, skąd dolatywał lekki zapach perfum. Uchyliwszy drzwi, omiotła światłem wieszaki. Rozsunęła długie wieczorowe suknie i w ścianie bez trudu znalazła sejf.

To było łatwe do przewidzenia. Bo jeśli Casey Dowling nie różniła się od innych kobiet z elity, to do kolacji ubierała się wieczorowo i zakładała biżuterię. I nie zamykała sejfów na klucz, żeby móc później włożyć do niego klejnoty bez wstukiwania kombinacji cyfr. Sarah pociągnęła lekko za klamkę sejfów — ciężkie drzwiczki odskoczyły.

Udało się.

Jednak musiała się spieszyć. Trzy minuty, nie więcej.

Czołówka oświetlała wnętrze sejfów, więc Sarah miała obie ręce wolne. Grzebała wśród satynowych torebek i jedwabnych pudełek, aż wreszcie z tyłu za nimi znalazła pokrytą brokatem szkatułę wielkości małego bochenka chleba. Gdy otworzyła zameczek i uniosła wieczko, błysnęły skarby.

Wyrwał jej się cichy okrzyk.

Od dwóch miesięcy czytała artykuły o Casey Dowling i obejrzała dziesiątki jej zdjęć z rozmaitych spotkań towarzyskich, na których ta dama pokazywała się obwieszona klejnotami. Jednak takiego bogactwa brylantów i cennych kamieni oraz mieniących się naszyjników z barokowych pereł Sarah się nie spodziewała.

Czysty obłęd, ile tego znajdowało się w posiadaniu Casey Dowling.

No, już nie na długo.

Sarah wygarnęła ze szkatuły bransoletki, kolczyki i pierścionki do dwóch płóciennych sakiewek, których paski krzyżowały się na jej piersiach. Uwagę jej przykuł pierścionek

znajdujący się w osobnym skórzanym pudełeczku, pozwoliła sobie więc na chwilę przerwy, by kontemplować jego magiczny urok — ocknęła się, gdy w pokoju, parę metrów od miejsca, gdzie stała w garderobie, rozbłysły światła.

Zgasiła latarkę i przykucnęła, a tętno jej się rozszalało, gdy usłyszała tubalny głos Marcusa Dowlinga, supergwiazdy teatru i srebrnego ekranu, który wchodząc do sypialni, kontynuował kłótnię z żoną.

Za osłoną sukien i toreb na ubrania mająca metr siedemdziesiąt wzrostu Sarah zwinęła się w jak najmniejszą kulkę.

Boże, pomyślała, jak mogłam tak zgłupieć.

Gdy z zapamiętaniem wpatrywała się w klejnoty, przyjęcie u Dowlingów dobiegło końca i teraz zostanie przyłapana na kradzieży z włamaniem, za co groziło więzienie. Ona... nauczycielka szkoły średniej. Będzie skandal, a na nim się przecież nie skończy.

Włosy pod czapką z dzianiny zrobiły jej się mokre od potu, który spływał jej również spod pach, wsiąkając w czarny pulower. Za chwilę Dowlingowie włączą światło w garderobie i znajdą ją skuloną pod ścianą — złodziejkę, która przyszła nocą.

2

Casey Dowling usiłowała przyprzeć męża do muru, ale ten nie miał zamiaru przyznać się do winy.

— O co to piekło, Casey? — odszczekiwał się. — Klnę się na Boga, że nie gapiłem się na cycki Sheili. Za każdym razem, gdy jesteśmy w jakimś towarzystwie, masz pretensje, że patrzę pożądliwie na kobiety, i prawdę mówiąc, kochanie, twoja paranoja mi się przejadła.

— Jaasne, Marcus. Ty pożerałbyś oczami inną kobietę? Nigdy w życiu. Taaak mi wstyd, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy. — Śmiech Casey brzmiał perliście mimo ironii.

— Głupia krowa — mruknął Marcus pod nosem.

Sarah wyobraziła sobie zmienioną kłótnią przystojną twarz aktora z opadającym na czoło pasmem gęstych szpakowatych włosów. W wyobraźni widziała też Casey — jej wiotką sylwetkę i sięgającą do połowy pleców srebrzystą pelerynę platynowych włosów.

— No proszę, jakżeż mogłam cię tak urazić — świergotała Casey.

— Daj spokój, kochanie. Nie jestem w nastroju.

— Och! Przepraszam. Moja wina.

Sarah zrobiło się przykro, jakby kłótnia dotyczyła jej personalnie.

— Hej, na litość boską, nie płacz. Chodź tutaj — powiedział Marcus.

Na kilka minut w pokoju zapadła cisza, a po niej Sarah usłyszała najpierw odgłos plaśnięcia, gdy dwa ciała zwały się na miękkie łożo, a potem jakieś szepty; nie mogła rozróżnić słów. Jeszcze później wezgłowie zaczęło stukać o ścianę, więc pomyślała: Boże drogi, oni to robią.

Przypomniały jej się sceny z dwóch jego filmów: w *Susan and James* grał z Jennifer Lowe, a w *Redboy* z Kimberly Kerry. Wyobraziła sobie teraz Casey w jego ramionach i oplatające go jej długie nogi. Stukanie stało się bardziej rytmiczne, jęki głośniejsze, rozległ się przeciągły krzyk Marcusa i wreszcie — szczęśliwie — skończyło się.

Któreś z nich skorzystało potem z łazienki i na koniec sypialnia pogrążyła się w ciemności.

Sarah odczekała cichutko za osłoną z sukien co najmniej dwadzieścia minut i dopiero kiedy nierówne oddechy dochodzące z sypialni przeszły w miarowe pochrapywania, otworzyła szerzej drzwi garderoby i podczołgała się do okna.

Już się widziała w domu... lecz przedwcześnie.

Gdy bowiem szybko i bezszelestnie wspinała się na parapet, zahaczyła nogą o bok toaletki i... wszystko poszło źle.

Stoliczek się zachwiał, przewrócił, ześlizgnęły się z niego zdjęcia w ramkach i buteleczki z perfumami i z brzękiem potoczyły po podłodze.

Jasna cholera!

Sarah zastygła na moment w bezruchu, a wyrwana ze snu Casey usiadła na łóżku.

— Kto tam?! — krzyknęła.

Ogarnięta paniką Sarah w jednej sekundzie znalazła się za oknem. Przez chwilę wisiała nad ziemią, trzymając się kurczowo palcami krawędzi garażowego dachu, wreszcie zwolniła chwyt i spadła z wysokości trzech metrów.

Wylądowała na trawie, podniosła się z kucek, żadnego bólu. Poderwała się do biegu w momencie, gdy nad jej głową rozbłysło światło z sypialni. Pędząc ile sił w nogach uliczkami ekskluzywnej dzielnicy Nob Hill, zerwała z głowy opaskę z latarką i wrzuciła ją do jednej z dwóch sakiewek.

Kilka minut później dotarła do swego starego saturna, którego zostawiła na parkingu przed drogerią. Wsiadła do auta, zablokowała drzwi, jakby to miało pomóc przetrwać strach. Włączyła silnik, zwolniła ręczny hamulec i wciąż dysząc, ruszyła w kierunku domu, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

Dopiero gdy znalazła się na biegnącej prosto jak strzała Pine Street, ściągnęła z głowy czapkę, zsunęła z dłoni rękawiczki i grzbietem lewej ręki otarła pot z czoła. Cofnęła się myślą do momentu ucieczki z domu Dowlingów.

Niczego tam nie zostawiła: ani narzędzi, ani odcisków palców,

ani śladów DNA. Niczego.

Na razie mogła czuć się bezpiecznie.

Szczerze mówiąc, nie wiedziała jednak, czy śmiać się, czy płakać.

3

Szeroko rozwarte oczy Casey patrzyły w ciemność.

Coś załomotało. Toaletka koło okna! Na twarzy poczuła podmuch wiatru. Okno jest otwarte. Tego okna nigdy nie otwierali.

Ktoś dostał się do domu.

Usiadła.

— Kto tam? — Podciągnęła kołdrę pod brodę. — Marc! Ktoś jest w pokoju.

— Przyśniło ci się. Połóż się i zaśnij — jęknął.

— Obudź się! Ktoś tu jest — syknęła.

Zaczęła manipulować przy lampie, zrzuciła na podłogę okulary, ale wymacała wyłącznik i zapaliła światło. To nie sen — stolik był przewrócony, a wszystko, co na nim stało, leżało teraz na podłodze, zasłony falowały na wietrze.

— Rusz się, Marc. Zrób coś!

Marcus Dowling, który codziennie ćwiczył, wciąż jeszcze potrafił wycisnąć sto kilo i umiał posługiwać się bronią. Kazał żonie zamilknąć, otworzył szufladkę nocnej szafki i wyciągnął

skórzany futerał, w którym trzymał naładowaną czterdziestkęczwórkę. Chwycił rewolwer do ręki.

Casey sięgnęła do telefonu na szafce i drżącą ręką wystukiwała dziewięć-jeden-jeden. Pomyliła się, spróbowała ponownie.

— Kto tam?! — słyszała wrzask na wpół pijanego Marca. — Odsłoń twarz. — Nawet w takiej chwili mówił tekstem jak ze scenariusza.

Zajrzał do łazienki, wyjrzał na korytarz.

— Nikogo tu nie ma, Casey. Mówiłem ci.

Casey odłożyła słuchawkę, odrzuciła kołdrę i poszła do garderoby po szlafrok. Po chwili dobiegł stamtąd jej krzyk.

— Co tym razem, Casey?

Stała przed nim z pobladłą twarzą, naga.

— Mój Boże, Marc, zniknęła moja biżuteria. Sejf jest prawie pusty.

Po jego twarzy przemknął dziwny grymas, ale nie potrafiła go rozszyfrować. Jakby wpadł na jakiś pomysł, który go rozgorączkował. Czyżby się domyślał, kto ich okradł?

— Marc? O co chodzi? O czym myślisz?

— Ach, tak sobie pomyślałem, że nie możesz jej zabrać ze sobą.

— Co za bzdury pleciesz? Jak mam to rozumieć?

Dowling wyciągnął przed siebie prawą rękę i wycelował

rewolwer w pieprzyk między piersiami żony. Pociągnął za spust. Huknęło.

— Tak masz to rozumieć — powiedział.

Casey Dowling otworzyła usta, wciągnęła powietrze i podczas wydechu spojrzała w dół na pianistą krew wypływającą z rany. Przycisnęła rękę do piersi.

— Pomóż mi — wykrztusiła, patrząc na męża.

Strzelił po raz drugi.

Ugięły się pod nią kolana i upadła.

Część pierwsza

Makiaweliczny Pete

Rozdział 1

Peter Gordon nie spuszczał z oka młodej mamy — wyszedł za nią z Macy's i trzymał się z tyłu, gdy szła wzdłuż centrum handlowego Stonestown. Miała około trzydziestki, bujne kasztanowe włosy związane w koński ogon i upodobanie do czerwieni: rzucały się w oczy nie tylko czerwone szorty, ale również czerwone sportowe buty i czerwona torebka. Reklamówki z zakupami zawiesiła z obydwu stron dziecięcego wózka.

Szedł za nią, gdy przechodziła na pasach przez Winston Drive, i niemal deptał jej po piętach, gdy weszła na parking podziemny, więc słyszał, jak zagaduje do niemowlęcia, jakby mogło ją rozumieć, pyta dziecko, czy pamięta, gdzie mama zaparkowała auto i co też tata robi na obiad, i tym podobne — ten niekończący się szczebiot w dziecięcym języku był jak lont zapalony w ustach kobiety, a kończący się ładunkiem wybuchowym w mózgu Pete'a.

Musiał jednak na razie się skupić i pilnować upatrzzonego celu. Z pochyloną głową i rękami w kieszeniach słuchał i obserwował. Kobieta otworzyła tylną klapę toyoty RAV4 i wrzuciła do bagażnika reklamówki. Stał w odległości zaledwie

paru metrów, gdy brała dziecko na rękę, składała wózek i wsuwała go do bagażnika.

Wystartował do niej, kiedy zapinała dziecko w foteliku.

— Czy mogę prosić panią o pomoc?

Ściągnęła brwi. Obrzuciła go wzrokiem i na jej twarzy pojawiło się niechętnie pytanie: „Czego ty chcesz?”. Usiadła za kierownicą z kluczykami w ręku.

— Tak? — rzuciła.

Pete Gordon wiedział, że może budzić zaufanie — zdrowy, schludny, z jasnym spojrzeniem. Wyglądał jak typowy amerykański przystojniak, co uważał za swój atut, ale próżny nie był. W każdym razie nie bardziej niż owadożerna muchołówka amerykańska.

— Złapałem gumę — powiedział, wznosząc rękę. — Głupio się czuję, prosząc, ale czy mógłbym skorzystać z pani komórki, żeby zadzwonić po pomoc drogową? — Błysnął uśmiechem, ukazując dołeczki, na co wreszcie i ona się uśmiechnęła. — Bo jak idiota zapomniałem naładować swoją — usprawiedliwiał się.

Pogrzebała w torebce i po chwili podniosła głowę, trzymając w ręku telefon. Zniknął jej uśmiech, gdy zobaczyła wyraz twarzy Pete’a, już ani trochę przymilny, tylko twardy i zdecydowany.

Jej wzrok ześlizgnął się na rewolwer w jego ręku — pomyślała, że coś się tu nie zgadza — i znowu spojrzała mu w twarz, lecz w czarnych oczach zobaczyła lodowaty chłód.

Cofnęła się gwałtownie, upuszczając między fotele kluczyki i

komórkę. Próbowwała przeleźć do dziecka na tylne siedzenie.

— O Boże! — zawołała jeszcze. — Nie... nie rób tego... mam pieniądze...

Wystrzelił, kula świsnęła przez tłumik i trafiła kobietę w szyję. Ofiara odruchowo zacisnęła rękę na ranie, spomiędzy palców tryskała krew.

— Moje dziecko — wykrztusiła.

— Nie martw się. Nic nie poczuje. Przyrzekam — powiedział Pete Gordon.

Jeszcze raz strzelił do kobiety, tym razem celował w bok klatki piersiowej, potem otworzył tylne drzwi i spojrzał na bachora, który przysypiał z buzią lepką od waty cukrowej. Sieć niebieskich żyłek na jego skroni przypominała mapę drogową.

Rozdział 2

Z parkingowej rampy dobiegł szum sunącego w dół auta, zapiszczały na zakręcie opony. Gdy przejeżdżało koło Pete'a, odwrócił głowę. Był pewien, że nie został zauważony, zresztą wszystko zrobił perfekcyjnie. Zgodnie z zasadami sztuki.

W toycie leżała otwarta torebka kobiety. Trzymając rękę w kieszeni kurtki, co miało zastąpić rękawiczkę, Pete zaczął grzebać w torebkowym bałaganie w poszukiwaniu szminki.

Gdy ją znalazł, wysunął sztyft — był w kolorze jaskrawej czerwieni.

Przeczekał, póki nie zniknął mu z oczu cadillac escalade z dwiema rozgadanymi babami, które jechały w górę rampy, rozglądając się za miejscem do zaparkowania. Ze szminką, którą trzymał między palcem wskazującym i kciukiem, zastanawiał się chwilę, co napisać na przedniej szybie.

Miał napisać „Dla Kenny'ego”, lecz zmienił zamiar. Zarechotał, bo przyszło mu do głowy, żeby namazać: „Pete tu był”.

Przywołał się do porządku.

Namalował trzy litery: KDP — grube, czerwone, wysokie na

dziesięć centymetrów. Podkreślił je zamaszystą czerwoną linią. Szminkę zakręcił i wrzucił do kieszeni — stuknęła o rewolwer.

Zadowolony wycofał się z auta, zamknął drzwi, przetarł klamkę flanelową podszewką baseballowej kurtki i ruszył do windy. Odsunął się na bok, gdy na parterze rozsunęły się drzwi windy, z której wytoczył się wózek inwalidzki, pchany przez starszego mężczyznę wiozącego żonę. Pete stał z pochyloną głową, by uniknąć kontaktu wzrokowego ze starszą parą, lecz ci nawet nań nie spojrzeli.

To dobrze, choć chciałby im coś powiedzieć.

Zrobiłem to dla Kenny'ego. Zgodnie z zasadami sztuki.

Wsiadł do windy i wjechał na trzeci poziom, gratulując sobie dobrego dnia, pierwszego takiego od roku. Jeszcze wiele było przed nim, ale wreszcie wystartował z wielkim planem.

Pewność, że się powiedzie, wprawiała go w stan podniecenia.

Motto: KDP. KDP. Zrozumiano?

Rozdział 3

Pete Gordon zjechał spiralną rampą i mijając na poziomie parteru samochód z martwą kobietą, nawet nie nacisnął na pedał hamulca, pewien, że wokół tamtego auta nie ma krwi ani niczego, co mogłoby zdradzić, że to on tam działał.

Mimo że parking był zatłoczony, przewidywał, że upłyną godziny, zanim mama i jej bachor zostaną znalezieni na końcu rzędu samochodów na normalnie wyglądającym stanowisku.

Na luzie i nie spiesząc się, wyjechał z parkingu i dodał gazu dopiero na Winston Street, jadąc w kierunku Dziewiętnastej Alei. Zatrzymał się na czerwonym świetle i przebiegł myślą zdarzenie, dochodząc do wniosku, że poszło niezwykle gładko — nie zmarnował żadnego naboju, o niczym nie zapomniał — a gliniarze niechybnie dostaną szau.

Nie ma nic gorszego od zbrodni bez motywu, co, Kenny?

Gliniarze będą łamać sobie na tym zęby, to jasne, ale zanim to zrozumieją, on będzie już mieszkał w innym kraju, a zagadka tej zbrodni trafi do archiwum spraw niewyjaśnionych i żaden fiut z wydziału zabójstw nigdy jej nie rozwiąże.

Zdecydowawszy się na dłuższą drogę do domu, Pete pojechał

Sloat Boulevard i dalej Portola Drive, przy której czekał, wraz z powracającymi z pracy w centrum, aż przejedzie pociąg Muni Metra, i wreszcie znalazł się na Clipper Street, która doprowadziła go do lichego apartamentowca w dzielnicy Mission, gdzie mieszkał.

Zbliżała się pora obiadowa i jego własne bachory prawdopodobnie już nadymały policzki, żeby wszcząć alarm. Przed drzwiami mieszkania stanął z wcześniej wyciągniętym kluczem, przekręcił go w zamku i otworzył drzwi kopnięciem.

Już od progu poczuł smród mokrych pieluch. Mały śmierdziel, który stał w kojcu przewieszony przez poręcz, zaczął się drzeć, jak tylko go zobaczył.

— Tato! — zawołała Sherry. — Trzeba mu zmienić pieluchę.

— Tak, laluniu — rzekł. — A ty zamknij buzię — rzucił w stronę „cuchnącej bomby”. — Za chwilę się tobą zajmę. — Wyjął pilota z rąk córeczki i przełączył kanał z kreskówkami na wiadomości.

Giełda szła w dół. Podskoczyły ceny ropy. Obejrzał do końca wiadomości z ostatniej chwili. Ani słowa o znalezieniu dwóch ciał na wielopoziomowym parkingu przy centrum handlowym Stonestown.

— Jestem głodna — zgłosiła Sherry.

— Więc co ma być pierwsze? Obiad czy kupa?

— Najpierw kupa — odrzekła.

— Zgoda.

Pete Gordon wziął na ręce niemowlę, które cenił sobie nie bardziej niż worek cementu, zwłaszcza że nawet nie był pewien, czy gówniarz jest jego, a jeśli nawet tak było, wcale mu na nim nie zależało. Ułożył go na plecach na przewijaku i wykonał rutynowe czynności: chwyciwszy nóżki dzieciaka w kostkach, wytarł mu pupę i posypał ją pudrem, po założeniu pampersa wsadził bachora z powrotem do kojca.

— Frankfurterki i fasolka? — zapytał córkę.

— Moje ulubione — odpowiedziała Sherry, wkładając do ust swoją kitkę cienką jak mysz ogonek.

— Cuchnie od śmierdziucha jak po ataku gazowym — zarechotał Pete. — Módl się, żeby twoja mama się nie udusiła, gdy wróci.

Podgrzał w mikrofalówce mieszankę dla niemowlaka i otworzył puszkę frankfurterek z fasolką. Włączywszy podwieszany telewizor i kuchenkę, wrzucił zawartość puszek do garnka, a wszystko to powinien robić nie on, tylko ta suka, jego żonusia.

Poczuł swąd przypalonej fasolki w momencie, gdy przerwano program z wiadomościami z ostatniej chwili.

A jednak. Popatrzcie tylko, pomyślał Pete.

Jakaś debilka z telewizji ABC stała przed księgarnią Borders z mikrofonem w ręku. Za nią w tle widać było grupę wygłupiających się uczniów college'u.

— Mamy wiadomość o strzelaninie na parkingu przy centrum handlowym Stonestown — mówiła. — Nasze źródła informują o

podwójnym makabrycznym zabójstwie, w które aż trudno uwierzyć. Będziemy państwa informować na bieżąco o przebiegu śledztwa w miarę ujawniania przez policję szczegółów.

Rozdział 4

Yuki Castellano wyszła ze swojego boksu.

— Hej, cudowny chłopcze, jesteś gotowy czy spotkamy się na dole?! — zawołała.

— Idę, idę — odezwał się Gaines ze swojego stanowiska kilka boksów dalej. — Kto mówi, że nie zdążę?

— Jak wyglądam? — spytała go Yuki, kierując się w stronę windy, która miała ich zawieźć z piętra zajmowanego przez prokuratora okręgowego na salę sądową.

— Wyglądasz bojowo, jak Batwoman. Szyk multikulti. Oto prawdziwa miss USA.

— Zamknij się. — Zaśmiała się do swojego asystenta. — Bądź gotów mnie ratować, jeżeli, broń Boże, się zacukam.

— Nie zacukasz się. Wyślesz tego bysia do więzienia o zaostrowym rygorze.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien. A ty nie?

— Mhm. Muszę tylko spowodować, żeby przysięgli też nabrali tej pewności.

Nicky stuknął w przycisk windy, a Yuki powróciła do swoich myśli. Za dwadzieścia minut miała wygłosić mowę końcową w sprawie z oskarżenia publicznego przeciwko Adamowi „Jo-Jo” Johnsonowi.

Od podjęcia pracy w biurze prokuratora okręgowego prowadziła niejedną parszywą sprawę, którą prokurator okręgowy usiłował wygrać. Pracowała osiemnaście godzin na dobę, co jej szef Leonard „Rudy Pies” Parisi kwitował życzliwym „dzielna dziewczynka”, łatwo też zdobywała przychylność ławy przysięgłych, a wszystko to za każdym razem sprawiało, że liczyła na sukces.

I ostatecznie przegrywała.

Zaczynała słynąć z tego, że przegrywa, a to bolało, ponieważ z usposobienia była typem wojownika i zwycięzcy. I nienawidziła przegrywać. A przecież nigdy nie zakładała, że przegra. Tak było i tym razem.

Akt oskarżenia miał solidne podstawy. Układała go cierpliwie jak pasjansa. Ława przysięgłych miała przed sobą łatwe zadanie. Oskarżony był winny, na sto procent winny.

Nicky przytrzymał dla niej obite skórą drzwi i Yuki energicznym krokiem ruszyła środkiem wyłożonej dębową boazerią sali sądowej. Dostrzegła, że galeria zapełnia się publicznością, głównie dziennikarzami i studentami prawa. Podchodząc do ławki dla oskarżenia, zobaczyła, że Johnson i jego adwokat Jeff Asher są już na swoich miejscach.

Scena była gotowa.

Kiwnęła głową do swego przeciwnika i przyjrzała się oskarżonemu. Był schludnie uczesany i miał na sobie przyzwoity garnitur, ale siedział z tępym wyrazem twarzy, jaki może mieć tylko czub z mózgiem wypalonym narkotykami. Yuki miała nadzieję, że wkrótce będzie wyglądał jeszcze gorzej, gdy udowodni mu morderstwo pierwszego stopnia.

— Chyba jest odurzony gandzią — mruknął Nicky, wysuwając krzesło dla Yuki.

— Albo wierzy, że ma adwokata mocarza — powiedziała Yuki głośno, by mógł to usłyszeć jej przeciwnik. — Bysio myśli sobie, że wyjdzie stąd na wolność, a tymczasem przejedzie się karetką do stanowego Pelican Bay.

Asher spojrział na nią z uśmiechem wyższości i mową ciała dał jej do zrozumienia, że zostanie starta na proch.

Rzucił wyzwanie.

Yuki nie stawiała dotąd w szranki z Asherem, który zaledwie po roku pracy w charakterze publicznego obrońcy zdobył przydomek „bomby” — sławę adwokata wysadzającego w powietrze akt oskarżenia i wyciągającego klienta z opresji. Wzbudzał uznanie, bo miał wszystko, co trzeba: charyzmę, chłopięcą urodę, dyplom ukończenia studiów prawniczych na Harvardzie. A jego ojciec, wzięty pełnomocnik procesowy, wspierał go swym doświadczeniem.

Żaden z tych atutów nie miał dzisiaj znaczenia.

Dowody, świadkowie i przyznanie się podejrzanego do winy przemawiały na rzecz oskarżenia. Yuki miała go w ręku.

Rozdział 5

Sędzia Steven Rabinowitz po raz ostatni rzucił okiem na zdjęcia swojego nowego apartamentu w Aspen, wyłączył iPhone'a i strzelił palcami.

— Czy strona oskarżająca jest gotowa, pani Castellano?

— Tak, Wysoki Sądzie — odpowiedziała Yuki. Wstała i obciągając żakiet, wstrząsnęła lśniąca czarną grzywką ze świeżym pasmem siwych włosów. Podeszła szybkim krokiem do pulpitu.

Zwróciła wzrok na ławę przysięgłych i uśmiechnęła się do nich. Paru odwzajemniło uśmiech, lecz większość pozostała obojętna. Z ich twarzy nie potrafiła nic odczytać.

To jednak nie było ważne.

Miała wygłosić najwspanialszą mowę końcową w życiu, jakby ofiara morderstwa nie była w istocie kanalią, tylko szlachetnym i wartościowym człowiekiem, i jakby ta sprawa miała być ostatnią próbą dla niej samej jako prokuratora.

— Panie i panowie — zaczęła — doktor Lincoln Harris nie żyje, ponieważ ten oto człowiek, Adam J. Johnson, pozwolił mu umrzeć, mimo iż wiedział, że ofiara znalazła się w śmiertelnym

zagrożeniu. Okazał tym samym świadomy brak szacunku dla ludzkiego życia. Zgodnie z prawodawstwem stanu Kalifornia to zabójstwo pierwszego stopnia. Wiemy, co stało się w nocy czternastego marca, ponieważ pan Johnson, rezygnując z prawa do zachowania milczenia i z prawa do pomocy adwokata, wyjaśnił policji, w jaki sposób i dlaczego pozwolił doktorowi Harrisowi wyzionąć ducha, chociaż z łatwością mógł mu uratować życie.

Yuki przerwała, by jej słowa wybrzmiały do końca, przetasowała na pulpicie swoje fiszki i na nowo podjęła wywód.

— Owego wieczoru oskarżony, który pracował u doktora Harrisa w charakterze złotej rączki, wyszedł z jego domu po kokainę, dla niego i dla siebie. Wrócił po godzinie i obydwaj, oskarżony i przyszła ofiara, zażyli narkotyk. Wkrótce potem okazało się, że doktor Harris przedawkował. Skąd to wiemy?

Yuki nabrała oddechu.

— Oskarżony sam powiedział to policjantom — kontynuowała. — Było dla niego jasne, że doktor Harris jest bliski śmierci. Potwierdziła to także ekspertyza lekarska. Z ust wydobywała mu się bowiem piana, a po jakimś czasie stracił przytomność. Lecz zamiast wezwać ambulans, oskarżony wykorzystał okazję i z portfela doktora Harrisa wyciągnął tysiąc dolarów oraz kartę bankomatową. Posłużył się nią następnie, by podjąć z bankomatu kolejne tysiąc dolarów, a potem w Rochester Big and Tall kupił sobie skórzaną kurtkę i parę butów. Po tym wszystkim kupił więcej kokainy i do domu doktora Harrisa sprowadził prostytutkę, Elizabeth Wu. Przez następne kilka

godzin pani Wu i pan Johnson wciągali kokę, uprawiali seks, a w pewnym momencie, zgodnie z zeznaniami pana Johnsona, zastanawiali się nawet, w jaki sposób pozbyć się ciała doktora Harrisa, gdy ten już skona. To, panie i panowie, wskazuje na „świadomość winy”. Adam Johnson bez wątpienia zdawał sobie sprawę, że doktor umiera. Ale upłynęło piętnaście godzin, a on nie wezwał pomocy.

Yuki uderzyła dłońmi w pulpit.

— Piętnaście godzin. Wreszcie to pani Wu zmusiła go, by zadzwonił pod numer dziewięćset jedenaście, ale było już za późno. Doktor Harris zmarł w ambulansie w drodze do szpitala. Jest dla nas wszystkich oczywiste, że obrona nie ma żadnych argumentów. Niestety, gdy fakty obciążają oskarżonych, adwokaci uciekają się do efektów teatralnych i obwiniania ofiary. Pan Asher powiedział wam, że doktor Harris stracił licencję z powodu używania narkotyków. I że zdradzał żonę. To prawda, ale co ma z tego wynikać? Nie był święty, ale człowiek ułomny też ma prawo oczekiwać, by go po ludzku traktowano. I by wymiar sprawiedliwości traktował go na równi z innymi.

Przerwała na chwilę.

— Obrona przedstawiła Adama Johnsona jako pechowego chłopca na posyłki, nieboraczka, który nie potrafi rozpoznać przedawkowania. To wszystko bajka. Adam Johnson dobrze wiedział, co robi. Przyznał się do wszystkiego: do zaniechania udzielenia pomocy, do tego, że tamtej nocy świetnie się bawił, do kradzieży pieniędzy i robienia za nie zakupów, wreszcie do wciągania koki i uprawiania seksu, podczas gdy obok doktor

Harris umierał. Dlatego możliwy jest tylko jeden wyrok. Oskarżenie wnosi o uznanie Adama Johnsona za winnego na podstawie trzech zarzutów: zaboru mienia, świadomego dealerstwa oraz nieposzanowania ludzkiego życia. Uznania go za winnego morderstwa pierwszego stopnia.

Rozdział 6

Podczas dziesięciominutowej przerwy Yuki i Gaines czekali na korytarzu przed salą sądową.

— Powaliłaś przysięgłych na kolana — rzekł Gaines.

Kiwnęła głową. Jednak przeszukała umysł, czy nie popełniła jakiegoś błędu. Niczego takiego się nie doszukała. Ani przez moment nie miała pustki w głowie, nie dukała, nie była stremowana, niczego nie pominęła — jak na próbach. Żadnego powodu, by mieć do siebie pretensje. Żałowała tylko, że nie mogła tego słyszeć jej mama.

— Jo-Jo jest winny. Przyznał się i potrafiliśmy przedstawić dowody jego winy — powiedziała do swego asystenta. Jej serce pompowało jeszcze krew z adrenaliną, taką dobrą adrenaliną. Działała trochę jak szampan.

Podniosła głowę, gdyż szturchnął ją Nicky. Woźny sądowy otwierał obite skórą drzwi. Weszli z powrotem na salę sądową i usiedli na swoich miejscach. Rozpoczęło się posiedzenie, Yuki poczuła nagle suchość w ustach.

Iskierki niepokoju zaczęły osłabiać jej pewność siebie.

Ostatnie słowo będzie miał Asher. Czy przekona sędziów, by

puścili Johnsona wolno? Rozpatrzyła najgorszą możliwość — werdykt na korzyść oskarżonego. Ojciec Ashera niechybnie wyda na cześć syna przyjęcie w słynnym nocnym klubie Ruby Skye, gdy tymczasem ona chyłkiem będzie uciekać do pustego domu.

Zostanie upokorzona.

Siedzący obok Nicky nagryzmolił jej karykaturę z gwiazdą na piersiach i aureolą wokół głowy. Zdobyła się na wątły uśmiech. Na sali zaległa cisza.

Sędzia Rabinowitz zapytał Ashera, czy jest gotów wygłosić mowę końcową.

— Tak, Wysoki Sądzie — padła odpowiedź.

I niczym koń czystej krwi ruszający z bramki startowej Asher z elegancją w ruchach wyrwał się w stronę ławy przysięgłych. Położył rękę na barierce, dzielił go zatem nie więcej niż metr od pierwszego rzędu sędziów, tak że przewodniczący, słuchając go, mógł podziwiać ślady po grzebieniu na jego włosach i połysk porcelanowych licówek na zębach.

— Panie i panowie, nie mam żadnych notatek, ponieważ broniąc Adama Johnsona, mam udowodnić rzecz oczywistą i jasną jak słońce. Otóż on nie jest lekarzem. Nie ma pojęcia o medycynie i objawach choroby. Nie wiedział, że doktor Harris był w stanie zagrażającym życiu. Adam Johnson zatrudniał się jako złota rączka. Natomiast Lincoln Harris był doktorem medycyny. I jak wam powiedział lekarz sądowy, nie zginął w wyniku przedawkowania kokainy. Zmarł, ponieważ po zażyciu koki wstrzyknął sobie jeszcze porcję heroiny. Te dwa środki

wchodzą w interakcję i to spowodowało śmierć. Doktor Harris znał skutki działania tych narkotyków na organizm, a mimo to je połączył. Dla każdego jest chyba jasne, że chciał umrzeć.

Asher spojrział na oskarżonego.

— Sądzę, iż mogę w imieniu pana Johnsona stwierdzić, że gdyby ponownie znalazł się w takiej sytuacji, to widząc objawy niedomagania doktora Harrisa, natychmiast zadzwoniłby pod dziewięćset jedenaście. Zachowałby się zupełnie inaczej niż tamtej nocy, kiedy to pozwolił sobie na niejedną chwilę słabości. Tak, bo prawdą jest, że ukradł dwa tysiące dolarów bogatemu pracodawcy, ale ten dobrowolnie podał mu PIN do karty bankomatowej. Tak, udostępnił narkotyk pani Wu, ćpunce i prostytutce, to prawda, lecz to szczegół mało istotny. Nie można mu także zarzucić dealerstwa, ponieważ używał narkotyków w celach rekreacyjnych.

Ogarnął wzrokiem ławę przysięgłych.

— Gdy chodzi o świadomość winy, to pozwalam sobie zasugerować państwu, że mój klient po prostu chciał zaszpanować przed panią Wu, gdy mówił o pozbyciu się ciała. Przecież tego nie zrobili, prawda? — zapytał retorycznie. — Pan Johnson zadzwonił na pogotowie. Fakty mówią same za siebie. Podsumowując, mój klient nie mógł wiedzieć, czy doktor Harris umiera, czy też obudzi się następnego dnia z bólem głowy. Nie jest geniuszem, ale nie jest również czarnym charakterem. Dlatego obrona wnosi, żeby go uniewinnić od zarzutu morderstwa pierwszego stopnia, ponieważ tego czynu nie popełnił.

Rozdział 7

Z sali odpraw naszego wydziału zabójstw wychodziłam pospiesznie, zdecydowana trzymać się poza zasięgiem wzroku Jacobiego, żeby mnie przypadkiem nie wciągnął dodatkowo w sprawę już przez kogoś prowadzoną. Zdążyłam wejść do windy, kiedy zaświergotała moja piekielna komórka.

Dzwoniła Yuki, moja zabawna, impulsywna przyjaciółka, która przechodziła akurat trudny okres, więc oczywiście przycisnęłam telefon do ucha. Usłyszałam jej charakterystyczny trajkot.

— Lindsay, mam gonitwę myśli. Czy możesz spotkać się ze mną w MacBain's? Teraz?

— Co się stało?

— Nie masz czasu?

— Coś zaplanowałam — odparłam. — Ale mogę wpaść na chwilę na piwo...

— Będę tam za pięć minut.

Pub pod szyldem MacBain's Beers O' the World, oddalony o dwie przecznice od naszej siedziby w Hall of Justice, to knajpa uczęszczana przez prawników i policjantów. Wyprowadziłam

swój samochód z całodziennego parkingu i przejechałam krótki odcinek Bryant Street na wschód, pocieszając się, że jeszcze starczy mi czasu, żeby później w drodze do domu kupić krewetki.

Weszłam do pubu, znalazłam wolny stolik pod oknem i ledwie kelnerka przyjęła moje zamówienie na dwa piwa Corona, zobaczyłam Yuki, która przepychała się przez tłum w moją stronę. Otworzyła buzię, zanim usiadła.

— Zamówiłaś piwo? Fajnie. Co u ciebie? W porządku?

Kelnerka przyniosła piwo, Yuki poprosiła o hamburgera z frytkami serowymi.

— Ty nic nie jesz? — zapytała.

— Będę robić późny obiad dla Joego.

— Aha.

Przyłożyła rękę do czoła, jakby zasłaniała oczy od refleksów świetlnych igrających na moim pierścionku zaręczynowym.

— To musi cieszyć.

— O tak. — Uśmiechnęłam się do niej.

Nie oswoiłam się jeszcze z narzeczeństwem po trwającym wiele miesięcy romansie, który był niczym karkołomna jazda kolejką górską, bo lataliśmy do siebie na zmianę z jednego krańca kraju na drugi. Chociaż teraz mieszkamy razem, to od dwóch tygodni nie udało nam się zasiąść do wspólnej kolacji. Obiecałam Joemu krewetki w sosie pomidorowym i z góry cieszyłam się na przebieg wieczoru: gotowanie, jedzenie, wspominki.

— Więc o co chodzi? — zapytałam Yuki.

Wypiła pół szklanki piwa, zanim odpowiedziała.

— Moja ofiara nie jest zwykłą kanalią, jest martwą kanalią, a oskarżony jest rzekomo uroczy, choć głupi. Panie z ławy przysięgłych patrzyły na niego, Linds, jakby chciały podać mu pierś do ssania.

Ponieważ wcześniej wpadłam na salę sądową, żeby wysłuchać mowy końcowej Yuki, nie mogłam się z tym nie zgodzić. Doktor Lincoln Harris był szumowiną, już martwą, a oskarżony taką samą, tyle że żyjącą. I sprawiał wrażenie osoby zagubionej.

— Asher ma szansę wygrać — lamentowała Yuki. — Po co ja rzuciłam prywatną praktykę? Pomóż mi, Linds. Czy powinnam zacząć szukać dobrze płatnej pracy w korporacji prawniczej?

Na biodrze poczułam wibracje komórki. Spojrzałam na wyświetlacz. Jacobi. Dawniej mój partner, obecnie szef. Gdy cokolwiek się dzieje, dzwoni do mnie na zasadzie odruchu warunkowego. Ciężko się pozbyć starych nawyków. Włączyłam przycisk odbioru.

— Boxer, słucham.

— Podwójne zabójstwo, Lindsay. I praktycznie wołowymi literami wypisane, że mamy do czynienia z jakimś psychopatą.

— Zadzwońeś do Paula Chi? Wrócił z urlopu. Założę się, że go zastaniesz w domu.

— Chcę to dać tobie — warknął Jacobi.

Pracowaliśmy razem dziesięć lat i nauczyliśmy się czytać sobie nawzajem w myślach. Jacobi brzmiał tak, jakby nie mógł otrząsnąć się ze zgrozy.

— Co to w ogóle jest, Warren? — spytałam, wiedząc już, że moje plany na wieczór diabli wzięli.

— Jedną z ofiar jest malutkie dziecko — odparł Jacobi.

Podał mi adres — parking wielopoziomowy przy centrum handlowym Stonestown. I ponaglił mnie.

— Conklin już wyszedł. Będzie tam za parę minut.

— Zatem ruszam — powiedziałam.

Rozdział 8

Zamknęłam klapkę w telefonie i przyrzekłam Yuki, że dłużej porozmawiam z nią o jej karierze, kiedy już przysięgli wrócą z narady.

— Twoja mowa była wspaniała, dziewczyno. Nie zwalniam się z pracy. — Pocałowałam ją w policzek i wybiegłam z pubu.

Wsiadłam do swojego forda explorera, lecz jadąc w stronę Market Street, utknęłam w korku. Musiałam postawić koguta na dachu i włączyć syrenę. Pojazdy rozstępowały się niechętnie, ale wreszcie dojechałam do wjazdu na parking przy centrum handlowym Stonestown.

Otoczony był policyjnym kordonem, przed którym tłoczyli się niezadowoleni właściciele aut. Trzymając w górze odznakę, zanurkowałam pod taśmę i wpisałam się na listę wejść. Znany mi funkcjonariusz Joe Sorbero miał pobladłą twarz, jakby nigdy wcześniej nie zetknął się ze śmiercią.

— Jako pierwszy przybyłeś na miejsce?

— Tak, pani porucznik.

— Dobrze się czujesz, Joe?

— Bywało lepiej — odparł ze słabym uśmiechem. — Ja mam

małe dzieci. — Wskazał niebieską toyotę RAV4 zaparkowaną daleko w rzędzie aut. — To tam, ten widok będzie wracać jako koszmar senny.

Podążyłam wzrokiem za jego palcem. Na końcu ciągu samochodów stał inspektor Conklin i przez okno od strony kierowcy zaglądał do wnętrza toyoty.

Kiedy Jacobi awansował o szczebel wyżej, na kapitana, moim partnerem został Conklin. Inteligentny i niepokojąco przystojny, obdarzony cechami rasowego detektywa. Dla nikogo nie będzie zaskoczeniem, jeżeli któregoś dnia zostanie mianowany kapitanem. Na razie podlega mnie.

Podszedł do mnie, zanim dotarłam na miejsce.

— Trzymaj się, Linds.

— Relacjonuj.

— Biała kobieta około trzydziestki; nazywa się Barbara Ann Benton. Druga ofiara to niemowlę. Około roku. Obydwoje zabici strzałami z bliska. Lekarz sądowy i ekipa dochodzeniowa są w drodze.

— Kto wezwał policję?

— Kobieta, która parkowała na stanowisku obok toyoty RAV-cztery. Przesłuchałem ją i pozwoliłem jechać do domu. Ona nic nie widziała. Jak dotąd nie ma żadnego świadka. Przeszukiwane są już pojemniki na śmieci i zabezpieczyliśmy taśmę z monitoringu.

— Czy niemowlę zostało postrzelone przypadkowo?

— Na pewno nie — odparł Conklin. — Przystawiono mu broń do skroni.

Podeszłam do SUV-a i wstrzymałam oddech, gdy zajrzałam do środka. Barbara Ann Benton spoczywała w nienaturalnej pozycji na fotelu kierowcy z twarzą zwróconą do tyłu, jak gdyby chciała przedostać się na tylne siedzenie.

Miała dwie rany postrzałowe: jedną w szyi, drugą w boku na wysokości serca. Zmusiłam się do spojrzenia ponad jej ciałem na dziecko w foteliku.

Chłopczyk miał na buzi i palcach ślady po różowym lizaku. Tylna szyba była zapryskana krwią. Strzał oddano z przyłożenia do skroni.

Conklin miał rację.

Śmierć dziecka nie była przypadkowa. Zważywszy na precyzję strzału, to nawet właśnie dzieciak mógł być pierwotnym celem zabójcy.

Miałam nadzieję, że chłopczyk nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Miałam nadzieję, że nie miał czasu się bać.

Rozdział 9

— A co ty o tym myślisz, Linds?

Conklin zwrócił moją uwagę na jaskrawoczerwone drukowane litery na przedniej szybie toyoty. Gapiłam się na nie, nie mogąc oderwać wzroku. To miał na myśli Jacobi, gdy mówił, że wołowymi literami jest wypisane, że sprawca to psychopata.

Nie powiedział, że podpisał się szminką.

Litery KDP nie kojarzyły mi się z niczym, pomyślałam tylko, że podpisy na miejscu zbrodni mogą zostawiać jedynie szurnięci mordercy. I naszło mnie wspomnienie sprzed lat, kiedy to San Francisco terroryzował Backstreet Killer, który pozbawił życia osiem niewinnych osób, za każdym razem zostawiał dla policji na miejscu zbrodni swoje inicjały i przesłanie, lecz mimo to aż dotąd nie został schwytany, a działał w latach dziewięćdziesiątych. Dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

— A te torby z zakupami w bagażniku — zwróciłam się do Conklina. — Czy były przetrzāsane? — Miałam nadzieję, że usłyszę potwierdzenie.

Mój partner pokręcił jednak głową.

— W portfelu ofiary jest na oko około stu dolarów. To nie był

napad rabunkowy. To była egzekucja. Dwie ofiary.

Pytania jedno za drugim napływały mi do głowy. Dlaczego nikt nie zgłosił odgłosów strzałów? Dlaczego zabójca wybrał akurat tych dwoje? Czy przypadkowo, czy miał motyw osobiste? Dlaczego zabił malutkie dziecko?

Odwróciłam się na odgłos ryku silnika i zobaczyłam nadjeżdżający van koronera, zapiszczały opony, gdy zahamował w odległości niewiele większej niż pięć metrów.

Z vana wysiadła doktor Claire Washburn ubrana w niebieski strój chirurgiczny i wiatrówkę — czarną z białym napisem z przodu i z tyłu: LEKARZ SĄDOWY. Mimo że jako czarna kobieta miała na starcie niewielkie szanse na powodzenie w swojej profesji, odniosła sukces. Moim zdaniem jest najwybitniejszym patologiem sądowym na zachód od Gór Skalistych. Jest również moją przyjaciółką od serca, lecz chociaż pracujemy w sąsiednich budynkach i rozdzielają nas zaledwie trzy piętra i niecałe trzydzieści metrów, nie widziałam jej od ponad tygodnia.

— Jezusie Najświętszy, co tutaj jest? — spytała, ściskając mnie i jednocześnie ogarniając wzrokiem widok za moimi plecami.

Podprowadziłam ją do toyoty i stałam obok, gdy zaglądała do auta i patrzyła na nienaturalnie wygiętą martwą kobietą z twarzą zwróconą ku swojemu dziecku.

Przyjrzała się martwemu chłopczykowi i cofnęła gwałtownie z wyrazem twarzy odzwierciedlającym może nawet jeszcze większą zgrozę niż ta, jaką odczuwaliśmy wszyscy.

— Dziecko jest w wieku mojej małej Ruby — powiedziała. —

Kto zabija dziecko tak malutkie, że nie może opowiedzieć, co się działo? Może to zemsta za coś. Porachunki handlarzy narkotyków. Dług karciany. A może zrobił to jej mąż.

Niech się okaże, że to jedna z tych rzeczy, Boże, spraw przynajmniej tyle, pomyślałam.

Claire wyjęła ze swojego zestawu minoltę i z miejsca, gdzie stałyśmy, pstryknęła dwa ujęcia Barbary Ann Benton, a potem obeszała auto i zrobiła z drugiej strony jeszcze dwa zdjęcia.

Gdy zaczęła fotografować dziecko, zobaczyłam, że łzy napłynęły jej do oczu. Wytarła je grzbietem dłoni. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałam Claire płaczącą.

— Matka pozwoliła zabójcy podejść blisko — powiedziała Claire. — Ślady prochu ma na policzku i szyi. Próbowwała zasłonić dziecko własnym ciałem, a ten łotr strzelił mu w głowę. I mam coś intrygującego: nie znam takiego rozkładu cząsteczek prochu wokół rany.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że KDP posłużył się rzadko spotykanym typem broni.

Rozdział 10

Dom Bentonów przy Czternastej Alei był skromny i niewielki, w kolorze niebieskim z białymi elementami elewacji, na panoramicznym oknie pozostały jeszcze świąteczne dekoracje z Czwartego Lipca, a na stopniach leżała zabawka ze sznurkiem. Conklin nacisnął dzwonek i kiedy Richard Benton otworzył drzwi od frontu, zdałam sobie sprawę, że jesteśmy świadkami ostatniego szczęśliwego momentu w jego życiu.

W zabójstwo zamężnej kobiety w ponad połowie przypadków uwikłany jest mąż, ale Richard Benton zrobił na mnie wrażenie człowieka autentycznie zdruzgotanego, gdy przekazaliśmy mu szokującą wiadomość. Ponadto miał alibi, gdyż w tym czasie pozostawał w domu z drugim dzieckiem, pięciolatkiem, upiekł na obiad kurczaka i niemal nie odchodził od komputera, śląc e-maile do swojego biura.

Początkowo Benton nie wierzył, potem się kompletnie załamał, mimo to przeprowadziliśmy z nim rozmowę na temat jego małżeństwa oraz przyjaciół i współpracowników Barbary. Zapytaliśmy, czy nie spotykała się z groźbami.

— Barbara wszystkich kochała — powiedział. — Nie wiem, co teraz bez niej zrobimy... — Nie mógł mówić dalej.

Jacobiemu złożyłam raport o dziewiątej wieczorem. Powiedziałam, że sprawdzę jeszcze Richarda Bentona w krajowym rejestrze skazanych, ale wszystko przemawia za tym, że jest niewinny, a inicjały KDP nic mu nie mówią.

— Barbara pracowała jako asystentka pielęgniarki w domu spokojnej starości. Rano zaczniemy od rozmów z osobami z jej zmiany — poinformowałam go.

— To zadanie przerzucam na Samuela i Lemkego — rzekł Jacobi. Brzmiał, jakby miał kluchę w gardle, słyszałam to u niego po raz drugi w ciągu dwóch godzin.

— Przerzucasz? Czy dobrze słyszę? O co tu chodzi?

— Wpłynęło coś nowego, Boxer.

Jak Boga kocham, nie zdzierzę, pomyślałam. Padałam na pysk, zaczynała się trzynasta godzina w robocie. Za mną w pokoju, w atmosferze gęstej od bólu, Conklin informował Richarda Bentona, że musi przyjść do biura lekarza sądowego w celu identyfikacji zwłok.

— Coś nowego w sprawie Bentona? — spytałam. Może okazało się, że mąż był jednak notowany za przemoc domową albo znalazł się świadek, albo technicy kryminalistyczni znaleźli coś w RAV4.

— Nie, to całkiem inna gorąca sprawa — powiedział Jacobi. — Jeżeli chcesz, żebym oddał ją w ręce Chi i McNeila, zrobię tak. Ale ty i Conklin zapewne chcielibyście w to wejść.

— Nie bądź taki pewny, Jacobi.

— Słyszałaś o Marcusie Dowlingu?

— Tym aktorze?

— Jego żona została zastrzelona przez nieproszonego gościa.
Jestem w drodze do domu Dowlingów.

Rozdział 11

Imponująca rozmachem rezydencja Dowlingów w Nob Hill ciągnęła się wzdłuż uliczki niemal do kolejnej przecznicy, ściany tego pałacu porastał bluszcz, a po obu stronach potężnych dębowych drzwi pyszniły się ozdobne rośliny w donicach. Trudno byłoby o większy kontrast między tym obiektem a skromniutkim domem Bentonów.

Zanim Conklin zdążył sięgnąć do dzwonka, drzwi otworzył Jacobi. Twarz naznaczona stresem, opadnięte powieki i obwisłe policzki — wyglądał starzej niż wtedy, kiedy nas obydwoje postrzelono na Larkin Street.

— To się stało w sypialni — powiedział nam. — Na piętrze. Rozejrzyjcie się tam, a potem zejźcie do nas na dół. Będę z Dowlingiem w bibliotece.

Sypialnia Dowlingów wyglądała jak karta wydarta z katalogu Neiman Marcus. Łoże wielkości wyspy Catalina, stojące pośrodku ściany zwróconej na zachód, miało pikowane guzikami jedwabne wezłowie w kolorze mosiądzu i satynową pościel w barwach brązu i złota. Więcej tu było ozdobnych frędzli niż frędzelków na sutki w pornorewii *Girls, Girls, Girls!* braci Mitchellów.

Delikatna toaletka leżała przewrócona na podłodze wśród

potrzaskanych bibelotów. Wietrzyk wydymał taftowe zasłony, ale w powietrzu wyczuwałam jeszcze zapach prochu.

Charlie Clapper, szef naszego zespołu techników kryminalistycznych, robił zdjęcia ciała Casey Dowling. Zamachał nam ręką na powitanie.

— Taka piękna kobieta, co za barbarzyństwo. — Cofnął się, odsłaniając nam widok.

Casey Dowling, naga, leżała na wznak na podłodze, platynowe włosy miała rozrzucone wokół głowy, a dłonie we krwi. Domyśliłam się, że zanim upadła, przycisnęła dłonie do rany na piersiach.

— Jej mąż twierdzi, że kiedy zmywał na dole naczynia, usłyszał dwa wystrzały — rzekł Clapper. — Wszedł tu do pokoju i zastał ją leżącą. Na podłodze zauważył przewrócony stolik i porozbijane te różności, a okno było otwarte.

— Czy coś zabrano? — spytał Conklin.

— Zginęła biżuteria z sejfów w garderobie. Dowling zeznaje, że była ubezpieczona na parę milionów.

Clapper podszedł do okna i odsunął zasłonę, odsłaniając otwór wycięty w szybie.

— Intruz użył noża do cięcia szkła i otworzył okno od wewnątrz. W szufladach nie grzebał, sejfów nie wysadzał, więc albo znał kombinację, albo, i to jest bardziej prawdopodobne, sejf był otwarty. Naboje są w ciele ofiary. Nie ma żadnych łusek. To była perfekcyjnie wykonywana robota, póki włamywacz nie potracił w drodze powrotnej stolika. Cóż, dopiero zaczęliśmy

ogłędziny miejsca. Być może znajdziemy odciski palców czy jakieś inne ślady.

Clapper to zawodowiec, od około dwudziestu pięciu lat w policji, z tego większość czasu spędził w wydziale zabójstw, zanim przeniósł się na kryminalistykę.

— Więc to włamywacz, któremu odbiło?

Clapper wzruszył ramionami.

— Jak każdy zawodowy nocny złodziej, był dobrze zorganizowany, można powiedzieć... pedantyczny. Może zabiera broń tak na wszelki wypadek, ale to nie jest w stylu cichych włamywaczy.

— Więc co się tu zdarzyło? — zastanawiałam się głośno. — Męża nie było w pokoju. Ofiara nie była uzbrojona. Co spowodowało, że seryjny złodziej, a nie seryjny zabójca, strzelił do nagiej kobiety?

Rozdział 12

Biegnącymi po łuku schodami zeszliśmy z Conklinem na parter. Bibliotekę odnalazłam, kierując się dochodzącym stamtąd znanym, donośnym głosem Marcusa Dowlinga, mówiącego z brytyjskim akcentem.

Widziałam wszystkie jego starsze filmy, w których grał albo szpiega, albo romantycznego bohatera, a nawet kilka nowszych, w których występował jako superheros. Zawsze mi się podobał.

Drzwi były otwarte, zobaczyłam Dowlinga stojącego na podłodze boso, w niebieskich spodniach i niezapiętej białej koszuli. Trzeba przyznać, że byłam trochę pod wrażeniem spotkania z gwiazdą ekranu, niemal tak popularną jak Sean Connery. Mówił, że mord popełniony na jego żonie to jakiś straszny absurd.

Jacobi przedstawił nas, informując Dowlinga, że sprawą będziemy zajmować się we troje.

Uścisnęłam dłoń legendzie filmu i usiadłam na skraju skórzanej kanapy. Dowling wyglądał na zrozpaczonego. Zauważyłam coś jeszcze. Miał mokre włosy.

Nie usiadł. Krążył po pokoju od jednej ściany z książkami do

drugiej i po raz drugi zdawał relację: mnie i Conklinowi.

— Casey i ja zaprosiliśmy na kolację François i Sheilę Devereaus. François jest reżyserem mojego nowego filmu.

— Będą nam potrzebne numery ich telefonów — wtrąciłam.

— Podam wam wszystkie numery telefonów, jakie tylko zechcecie — rzekł. — Oni wyszli tuż przed tym, co się stało. Casey poszła na górę przebrać się do snu. Ja zostałem na dole posprzątać. Usłyszałem głośny huk z góry. — Ściągnął brwi. — W ogóle mi nie przyszło do głowy, że to odgłos strzału. Krzyknąłem do Casey. Nie odpowiedziała.

— Co się działo potem, panie Dowling?

— Znowu ją zawołałem, a kiedy szedłem na górę, usłyszałem drugi huk. Tym razem pomyślałem, że to jednak wystrzał, a zaraz potem rozległ się trzask szkła. Wtedy ogarnęła mnie panika, inspektorze. Nie wiem, co się działo później... po tym, jak zobaczyłem żonę leżącą na podłodze. Chwyciłem ją w ramiona. — Głos mu się załamał. — Głowa opadła jej do tyłu, nie oddychała. Chyba dzwoniłem na policję. Pamiętam ślady krwi na telefonie. Jeszcze potem odkryłem, że sejf jest prawie pusty.

Przerwał na chwilę.

— Ktokolwiek to zrobił, musiał znać Casey — mówił dalej, płacząc. — Musiał wiedzieć, że nie zawsze zamyka sejf, bo nie znosi wystukiwania kombinacji... jakby ją to cholernie męczyło. Zabił ją jakiś chory umysłowo. — Spojrzał na Jacobiego, pocierając dłonią tors. — Powiedzcie, jak mogę pomóc złapać zwierzę, które to zrobiło.

Zamierzałam zapytać aktora, dlaczego wziął prysznic przed przybyciem policji, ale uprzedził mnie Conklin.

— Panie Dowling, czy posiada pan broń? — zapytał.

Zaskoczony Dowling wybałuszył oczy. Twarz wykrzywiła mu się bólem. Złapał się za lewe ramię.

— Coś... coś się ze mną dzieje.

Zwinął się wpół i osunął na podłogę.

Rozdział 13

Jezu Chryste! Marcus Dowling może umrzeć, przeraziłam się.

Conklin znalazł aspirynę, Jacobi podsunął Dowlingowi pod głowę ozdobną poduszkę z kanapy, ja zadzwoniłam do dyspozytorni. Musiałam powtarzać adres.

— Pięćdziesięcioletni mężczyzna! — wrzasnęłam wreszcie w słuchawkę. — Atak serca!

Do przyjazdu ambulansu Dowling skręcał się z bólu. Załadowano go na nosze i wyniesiono przez drzwi. Do szpitala pojechał z nim Jacobi, nam zlecając rozejrzenie się w sąsiedztwie.

Światła z bajkowych okolicznych domów kładły się jasnymi plamami na obsadzonej drzewami ulicy. Niepokoiła mnie ta nasza nowa sprawa. Casey Dowling była osobą bogatą i znaną, więc opinia publiczna, żadna wykrycia zabójcy, będzie naciskała na polityków, a ci z kolei na nas. Departament Policji w San Francisco borykał się z deficytem budżetowym i niedoborem kadry. A zważywszy, że w powszechnym mniemaniu przypadki zabójstw można szybko wyjaśnić, że wystarczy godzina między jedną przerwą reklamową w telewizji i drugą, zdawałam sobie sprawę, że czeka nas koszmar pracy w napięciu i w świetle

jupiterów.

Pocieszałam się myślą, że badania laboratoryjne naprowadzą Clappera na jakiś trop, bo na razie, nie mając żadnej wskazówki, co robić dalej, pozostawało mi jedynie niemiłe przekonanie, że wszystko, co powiedział nam Marcus, wiedzie nas na manowce.

— Dlaczego złodziej miałby strzelać do Casey Dowling? — spytałam Conklina, gdy szliśmy ulicą.

— Pamiętaj, co powiedział Clapper. Złodziej miał ze sobą broń do użycia w przypadku jakiegoś zagrożenia.

— Na przykład gdy stanie oko w oko z właścicielem domu?

— Właśnie.

— Casey Dowling nie miała broni pod ręką.

— To prawda. Lecz może rozpoznała intruza — wywodził Conklin. — Znasz te reportaże Cindy o Kocie Dachowcu?

Cindy to Cindy Thomas, dziennikarka działu kryminalnego „San Francisco Chronicle”, moja przyjaciółka „do końca świata”, z prawdziwym talentem do rozwiązywania zagadek kryminalnych.

Ostatnio pisała o złodzieju zakradającym się na piętro w czasie, gdy właściciele domu wydają na parterze proszoną kolację i wyłączają alarm. Ten włamywacz kradnie jedynie klejnoty i ulatnia się, a kosztowności nie wypływają na rynek. Cindy nazwała go Kotem Dachowcem i to się przyjęło.

Co było wiadomo o Dachowcu? Że jest wysportowany, zręczny i szybki. I udowodnił, że ma prawdziwe jaja.

— Pomyśl jeszcze o jednym — rzekł Conklin. — Ten Kot Dachowiec wie, w jakim domu i kiedy odbywa się przyjęcie. A może to ktoś z elity towarzyskiej? Jeżeli Casey Dowling go rozpoznała, być może nie miał innego wyjścia, jak tylko ją zastrzelić?

— Nie najgorsza hipoteza — przyznałam. Podchodziliśmy do frontowych schodów następnej rezydencji. Zatrzymałam się. — Chwileczkę. Jak wytłumaczysz mokre włosy Dowlinga?

— Zmywał z nich krew żony.

— Więc tak sobie wskoczył pod prysznic, gdy obok leżała jego zamordowana żona? To mi się wydaje dziwne.

— A jaką ty masz teorię? Zabójstwo bez osób trzecich?

— A dlaczego by nie? Dlatego że Dowling jest gwiazdą filmową? Coś mi się w nim nie podoba. Clapperowi powiedział, że słyszał dwa wystrzały. A nam, że najpierw jakiś jeden huk, a dopiero po pewnym czasie drugi, który rozpoznał jako odgłos strzału.

— Być może się streszczał, mówił językiem stenogramu — zastanawiał się mój partner.

— Może być hipoteza stenogramów — rzekłam. — A może jednak on coś dodaje do swojej wersji za każdym kolejnym razem i nie panuje nad tym.

Rozdział 14

Rezydencja sąsiadująca z posesją Dowlingów była cofnięta od ulicy, na wydzielonym placu stał dom ogrodnika, a na podjeździe dwa luksusowe samochody.

Nacisnęłam dzwonek i rozległ się melodyjny gong. Po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich chłopiec na oko dziesięcioletni, z kasztanową czupryną, w koszulce do rugby i spodniach od pizamy. Zadarłszy do góry głowę, spytał, kim jesteśmy.

— Jestem porucznik Boxer. A to inspektor Conklin. Czy rodzice są w domu?

— Kelllllyyyy!

Okazało się, że chłopiec nazywa się Evan Richards, a Kelly to jego babysitterka, dwudziestopięcioletnia kobieta, która zeznała, że oglądała akurat w pokoju telewizyjnym program *Misja Moda*, kiedy usłyszała syreny nadjeżdżających radiowozów.

— Zamordowali Casey Dowling? — zapytała. — To obłąd. Ten włamywacz mógł przyjść tutaj! Evan, podaj mi telefon, proszę. Muszę zadzwonić do twoich rodziców.

— Wydaje mi się, że ja coś widziałem — powiedział chłopiec.

— Byłem w swoim pokoju, akurat wyglądałem przez okno. Ktoś przebiegł koło naszego domu. Biegł pod drzewami, tam nie padało światło.

— Możesz go opisać? — spytał Conklin.

Evan pokręcił głową.

— Widziałem, że ktoś biegnie. Ubrany na czarno. Słyszałem, jak sapał.

Zapytałam, czy ten ktoś był wysoki, czy niski i czy biegł w jakiś szczególny sposób.

— Pomyślałem, że uprawia w nocy jogging. Chyba miał czapkę. Z góry widziałem tylko czubek jego głowy.

Conklin zostawił wizytówkę babysitterce i poprosił chłopca, żeby zadzwonił, gdyby przypomniało mu się coś jeszcze. Poszliśmy dalej do sąsiedniego domu.

— Być może mamy świadka ucieczki Kota Dachowca — powiedziała do Conklina. Nagle odezwała się moja komórka.

Yuki wysłała SMS-a: *Zadzwoń.*

Wcisnęłam przycisk oddzwania, Yuki odezwała się od razu.

— Boże! Znam ją!

— Kogo?

— Casey Dowling.

Cholerna poczta pantoflowa. Jakim cudem Yuki już o tym wie?

— Studiowałyśmy razem prawo, Lindsay. Niech to szlag. Casey była taka kochana. I śliczna. Kiedy już złapiesz zabójcę, będę walczyła, żeby dostać tę sprawę i wysłać mordercę Casey prosto do piekła.

Rozdział 15

Sarah Wells zziajana wpadła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Eskapadę miała za sobą, ale ręce wciąż jej się trzęsły. Stała przed lustrem, rozwichrzyła przyklepnięte włosy, popatrzyła bacznie na siebie.

Czy coś po niej widać?

Cerę miała białą, niemal przezroczystą i ogromne brązowe oczy. Przypomniała sobie, jak mąż powiedział jej kiedyś, że mogłaby wyglądać atrakcyjnie, gdyby tylko się postarała, ale po tej jego uwadze była tym bardziej zdeterminowana, żeby jej wygląd odpowiadał rzeczywistości: była dwudziestoosmioletnią nauczycielką i prowadziła podwójne życie. Nie, nie chodziło jedynie o te nocne eskapady.

Położyła dwie sakiewki na podłodze i otworzyła dolną szufladę dużej antycznej komody. Miała ona swoje sekrety, podobnie jak jej właścicielka.

Sarah wyjęła z otwartej szuflady poukładane w stosiki T-shirty i dresowe spodnie, po czym podważyła fałszywe dno. Jak zawsze wstrzymała oddech, nie chcąc nawet myśleć, że mogłoby tam nie być biżuterii.

Była.

Łup z każdego wypadu trzymała w osobnym woreczku z miękkiej tkaniny, w szufladzie leżało już pięć kolekcji wspaniałej biżuterii, a ze zdobyczą wyniesioną od Dowlingów równe pół tuzina.

Rozsunęła zamek błyskawiczny sakiewki z ostatnim łupem, żeby delektować się widokiem wspaniałych klejnotów, które jeszcze tego wieczoru należały do żony słynnego aktora. Wyglądały niewiarygodnie: obłędnie piękne, cudowne szafiry i diamenty, pierścionki i naszyjniki, i bransolety; ta biżuteria mogła być warta setki tysięcy dolarów, albo i więcej.

Od wpadki przy kradzieży dzieliła Sarah tylko cienka czerwona linia, w gruncie rzeczy jechała po bandzie. Na razie mogła czuć się bezpiecznie, ale powstał poważny problem: jak pozbyć się tych kosztowności.

Maury Green, paser i jej mentor, zginął na lotnisku od kuli policjanta przeznaczonej dla jego klienta, złodzieja klejnotów, który uciekał przed policją. Maury był zarówno dobrym instruktorem, jak i przyjacielem. Przygnębiał ją fakt, że nie dane mu było cieszyć się jej sukcesem i przy tym zarobić.

Podobnie jak inni paserzy płacił równowartość około dziesięciu procent ceny rynkowej. Niby to nie było dużo, zważywszy na piekielne konsekwencje, jakie by na nią spadły, gdyby została złapana, ale w porównaniu z tym, co zarabiała jako nauczycielka, to była masa pieniędzy. Niestety, Maury oszedł.

Zdawała sobie sprawę, że im dłużej będzie przechowywać skradzioną biżuterię, tym większe grozi jej niebezpieczeństwo. Nabrała dwie garście klejnotów Casey i pod lampką nocną kołysała je w dłoniach, by odbijało się od nich światło.

Siedziała za zamkniętymi drzwiami jak zahipnotyzowana, wpatrując się w cudowną grę refleksów świetlnych.

Rozdział 16

Sarah Wells nie była pierwszym złodziejem włamującym się do domów w czasie wieczornych przyjęć. Pilnie śledziła informacje o Dinnertime Burglar, rabusiu wykonującym skok w porze obiadowej, i o Dinner Set Gang, grupie włamywaczy okradających domy, gdy gospodarze z gośćmi siedzieli przy zastawionym stole. Łącznie ich łupem padły kosztowności warte dziesiątki milionów dolarów, a posługiwali się najprostszymi narzędziami, podczas gdy ich ofiary piętro niżej popijały kawkę i raczyły się deserem. Wzorując się na tych zawodowcach, Sarah zbierała też dokładne informacje o przyszłych ofiarach i ich zwyczajach. Dziwiła się przy tym, że mimo szczegółowych informacji w prasie o Kocie Dachowcu potencjalne ofiary wciąż czuły się do tego stopnia bezpiecznie w oświetlonych jasno domach, że nie włączały alarmów.

To było jakieś magiczne myślenie, zadziwiające. Ale mogła temu tylko przyklasnąć.

Gdy napawała się pięknem klejnotów stanowiących do niedawna część fortuny Dowlingów, jeden z nich przykuł jej szczególną uwagę. Był to pierścionek z naprawdę dużym kamieniem, bladożółtym, może dwudziestokaratowym, miał

poduszkowy szlif i absolutnie zachwycającą oprawę.

Porachowała z grubsza brylanciki otaczające centralny kamień i doliczyła się stu dwudziestu.

Co za pierścionek!

Zapierał dech. Budził romantyczne skojarzenia. Prawdopodobnie Marcus Dowling podarował go żonie na jakąś szczególną okazję. Sarah zastanawiała się, jaką może mieć wartość.

Od czasu, kiedy zaczęła dorabiać do pensji kradzieżami, posiadała niemałą wiedzę o szlachetnych kamieniach, lecz gemmologiem nie była, a bardzo ją ciekawiło, co trzyma w ręku.

Resztę łupów z domu Dowlingów i torbę z narzędziami schowała do dolnej szuflady komody, przykryła fałszywym dnem, na które położyła kupki ubrań. Wsunęła szufladę i sięgnęła do stojącej szafy, gdzie trzymała ilustrowany atlas kamieni szlachetnych. Z nim położyła się na małżeńskim podwójnym łóżku.

Przewracając kartki, znalazła parę podobnych kamieni. Wielki żółty kamień Casey Dowling wyglądał na topaz albo żółty turmalin. Miał jednak lekką nutę zieleni, więc ostatecznie uznała, że to cytryn, nieprzedstawiający wielkiej wartości mimo szpanerskiego wyglądu. To dodatkowo zachęciło ją do zatrzymania tego pierścionka dla siebie.

Wiedziała dobrze, że przechowywanie pochodzących z kradzieży przedmiotów może być strasliwym błędem, więc żeby z tym jednym pierścionkiem się nie rozstać, musiała coś

wymyślić. Chciała mieć coś więcej niż pamiątkę. Pragnęła trofeum. Nagrody. Doszła do wniosku, że najprościej będzie wyjąć żółty kamień z pierścionka i zrobić z niego wisior.

Pamiętała, co babka mówiła do jej matki, a ta z kolei do Sarah: „Na jednej kobiecie kryształ górski wygląda jak diament, a na innej diament jak kryształ górski”.

Sarah pomyślała sobie, że na niej — w zestawieniu z taną garderobą z magazynu T.J. Maxx i brakiem makijażu — cytryn będzie wyglądał jak szkiełko. Stanęła przed lustrem i przyłożyła żółty kamień do czarnego golfu tuż pod obojczykiem.

Wydawał się dużo mniejszy niż jako pierścionek.

Nabrała pewności, że jako wisior nie zdradzi jej sekretu. Gdy wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, rozległo się głośne pukanie do drzwi. To był jej mąż, Trevor.

— Dlaczego zamknęłaś drzwi na klucz, laluniu? Co robisz? Zabawiasz się sama ze sobą?

— Zgadłeś — odpowiedziała.

— Wpuść mnie.

— Nie.

— Otwieraj!

Sarah wsunęła pierścionek we wgłębienie w podstawie lampki na nocnym stoliku z jej strony łóżka.

— Idź do diabła! — wrzasnęła.

Zaczął szarpać, potem kopać drzwi. Podeszła do nich i

przekręciła klucz. Dzień jak co dzień, pomyślała, wpuszczając Trevora do sypialni. Dzień jak co dzień w podwójnym życiu Sarah Wells.

Rozdział 17

Zatrzasnęła drzwi od mieszkania i pomaszerowała do auta. Brzęczał jej w uszach błagalny głos tego idioty Trevora: „Jeszcze chwilkę, jeszcze minutkę”. To było dwadzieścia nieznośnych minut pod jego tłustym, wstrętnym cielskiem, a teraz groziło jej, że spóźni się do pracy — znowu.

Pojechała w kierunku Delores Street, by dostać się stamtąd na autostradę i w ten sposób nadrobić stracony czas. Włączyła w saturnie radio i znalazła poranny program Lisy Kerz i Rosemary Van Buren z wiadomościami o utrudnieniach w ruchu, pogodzie i najświeższych wydarzeniach lokalnych. Właśnie mówiła Lisa Kerz.

— Rosemary, mamy coś nowego w sprawie Casey Dowling, która została zastrzelona tej nocy.

Sarah zacisnęła ręce na kierownicy. Zastrzelona? Co ona bredzi?

— Czy policja wpadła na trop zabójcy? — zapytała Van Buren.

Zabójcy? Serce Sarah załomotało gwałtownie. Co za absurdalne wymysły? Przecież gdy uciekała z domu Dowlingów, słyszała wrzask Casey.

Casey na pewno nie była martwa.

— Nie ma tropu, mam coś o Dowlingu — mówiła Kerz. — To wiadomość z ostatniej chwili. Dziesięć minut temu prawnik Marcusa Dowlinga, Tony Peyser, wydał oświadczenie...

Sarah gapiała się na radio, jakby miała przed sobą żywą osobę. Lisa Kerz informowała, że Peyser wystąpił na żywo w lokalnej stacji telewizji publicznej KQED z prośbą o pomoc skierowaną do mieszkańców San Francisco. Sarah oderwała wzrok od radia i spojrzała z powrotem na drogę, unikając w ostatnim momencie uderzenia w barierkę.

— Otóż już mamy ten gorący news — odezwała się Van Buren. — Przytaczam dosłownie wypowiedź pana Peysera: „Pan Dowling wyznacza nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informacje mogące doprowadzić do zatrzymania osobnika, który zabił Casey Dowling”.

Sarah zobaczyła, że jej zjazd nagle wyrósł przed nią, szarpnęła za kierownicę bez wrzucenia kierunkowskazu i ostro skręciła, zostawiając ślad opon na jezdni. Dalszej jazdy nie pamiętała, ale znalazła się szczęśliwie na parkingu przed Booker T. Washington High, szkołą, w której pracowała.

Chwyciła plecak, zamknęła samochód, weszła przez czerwoną stalową bramę i skierowała się do głównego budynku, do pokoju nauczycielskiego po zastrzyk pozytywnej energii przed rozpoczynającym się dniem.

Było już po dzwonku. W pokoju przebywała tylko jedna osoba: Heidi Meyer, która stała przy ekspresie, mieszając w

filizance kawę.

— Cześć, Heidi! — zawołała Sarah.

— Cześć, Sarah. Ejże, czy dobrze się czujesz?

— Tfu! Trevor to drań. Dodać coś więcej?

Heidi odstawiła filiżankę i rozłożyła ręce. Sarah przytuliła się do niej i owionął ją zapach bzu. Zanurzyła twarz w chmurze miękkich rudych włosów Heidi i tak zastygła.

Ale krew w jej żyłach buzowała. Czy Heidi to wyczuwa? Dobry Boże. Z tego, co Sarah wysłuchiwała przez radio, wynikało, że nie uniknie konsekwencji. Policja zrobi wszystko, żeby ją wytropić, i zostanie oskarżona o zamordowanie Casey Dowling. Czysty obłąd.

— Spóźniamy się na lekcje — powiedziała Heidi, głaszcząc Sarah po plecach. — Nasze potwory zaczną rozrabiać.

— Jak zawsze — odparła Sarah, śmiejąc się.

Heidi cmoknęła Sarah w usta, a ta odpowiedziała pocałunkiem mocnym, namiętym, wkładając w to całe serce — rozchyliły się dla niej chętne wargi przyjaciółki.

Jakże chciałyby opowiedzieć Heidi o wszystkim.

Rozdział 18

Rano, dzień po morderstwach, ciała Barbary Ann Benton i Darrena Bentona oraz Casey Dowling chłodziły się w kostnicy, a ja i Conklin, oddzieleni szerokością dwóch zestawionych ze sobą biurk, gapiliśmy się na siebie, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

Pracowaliśmy nad zabójstwem Casey Dowling, ponieważ Jacobi postawił sprawę jasno.

— Dowling spycha w cień Benton. Dowling spycha w cień wszystkie inne sprawy — powiedział. Oczywiście dlatego, że Casey Dowling była publicznie znana, a pani Benton nie.

Powiedziałam Jacobiemu, że obłąkany zabójca, który zostawił swój podpis na aucie Bentonów, wywołuje u mnie dreszcz, jakbym wsadziła palec do kontaktu. Że facet sygnalizuje rozpoczęcie serii. Że Conklin i ja powinniśmy zajmować się wyłącznie sprawą Benton.

Jacobi rozłożył ręce. Czego chcesz ode mnie? — zdawał się mówić. Nie mam ludzi. Nie mam odpowiedniego budżetu. Chcę zachować stanowisko. Rób, co każę.

Conklin wyglądał na wypoczętego, w naszej ponurej hali

błyszczały jego roziskrzane oczy, na czoło opadły mu lśniące kasztanowe włosy. Przeglądaliśmy kartotekę kradzieży dokonanych przez Kota Dachowca i przerzucaliśmy zdjęcia z sypialni Dowlingów.

Wysyłałam akurat na serwer materiał fotograficzny Clappera, kiedy bramkę sforsowała Cindy Thomas i oczywiście zmierzała w naszym kierunku.

— Spójrzcie na to! — krzyczała, blond loki tańczyły wokół jej głowy jak na sprężynkach, niebieskie oczy błyszczały.

Machała „Oakland Tribune”, tabloidem objętościowo mniejszym i bardziej pikantnym niż „Chronicle”, z którą konkurował. Nagłówek krzyczał: *Kot Dachowiec zabija!* Ponieważ to Cindy wymyśliła przydomek dla tego złodzieja i zrobiła cykl reportaży o nim, uważała, że on jest „jej”.

— Każdy wchodzi w mój temat — mówiła, obrzucając rozgorączkowanym wzrokiem to mnie, to Conklina. — Dajcie coś z ostatniej chwili, błagam. Muszę mieć coś, czego nie mają w „Tribune”.

— Nic nie mamy — powiedziałam. — Niestety.

— Rich? — zwróciła się do mojego partnera.

Jestem starsza od Cindy o cztery lata, traktuję ją jak młodszą siostrę i jest mi bliższa niż moja rodzona siostra. Kocham ją i choć nieustannie ze mną walczy, jej bystrość, intuicja i nieustępliwość buldoga pomogły mi rozwiązać zagadkę niejednego zabójstwa. Ma to zapisane u mnie po stronie plusów.

Cindy przyciągnęła krzesło i usiadła z boku zsuniętych razem

biurek. Stworzyliśmy trójkąt, który bardzo mi się nie podobał.

— Dlaczego Kot Dachowiec miałby zabić Casey Dowling? — spytała. — Nigdy nie posuwał się do przemocy. Miałby zabierać ze sobą broń, żeby za jej użycie dostać dożywocie?

— Pracujemy nad tą sprawą, Cindy — powiedziałam. — W trybie ciągłym, na Boga. Ostatniej nocy dorwałam się do wyrka zaledwie na dwie godziny...

— Rich? — Cindy przekrzywiła głowę jak szczygiełek.

— Powiem to samo co Lindsay. Nic nie mamy. Żadnych śladów. Nic o broni. Żadnych świadków.

— Mamy umowę — rzekła Cindy. Zatrzepotała rzęsami, obdarzając Conklina zniewalającym powłóczystym spojrzeniem. — Proszę o jakąś nieoficjalną informację.

Conklin odczekał chwilę.

— Być może Casey znała intruza.

Cindy poderwała się z krzesła, zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go w usta i pofrunęła przez salę odpraw.

— Pa, Cindy! — zawołałam za nią.

Conklin zaśmiała się.

Rozdział 19

— Idę zobaczyć się z Claire — oznajmiłam partnerowi.

— Bądź w kontakcie.

Zbiegłam trzy piętra w dół, przecisnęłam się przez zatłoczone lobby i tylnymi drzwiami wyszłam za zadaszony pasaż prowadzący do zakładu medycyny sądowej.

Zastałam Claire w sali sekcyjnej, w czepku kąpielowym w kwiatki i fartuchu na ubraniu chirurgicznym w rozmiarze XXL — wciąż borykała się z nadwagą po ciąży i nie powróciła do swojego rozmiaru czterdzieści osiem. Gdy ją zawołałam, podniosła głowę znad ciała Barbary Ann Benton, leżącego na stole sekcyjnym już bez wnętrzości.

— Właśnie rozminęłaś się z Cindy — powiedziała, kładąc na wagę wątrobę denatki.

— Niezupełnie. Przed chwilą wpadła jak burza na naszą salę odpraw. Obezwładniła Conklina chwytem usta-usta. Przyrzekła nagrodę w zamian za dobry nagłówek i on oczywiście uległ. A co wyciągnęła od ciebie?

— Wiadomość z ostatniej chwili: Casey Dowling została zastrzelona, nie żyje. Cindy ma fajną robotę, nie uważasz? Może

sobie pozwolić na to, żeby się skupić na jednej jedynej sprawie, i znajduje czas na seks z napalonym inspektorem.

— Znalazłaś coś interesującego? — zapytałam, patrząc na otwartą jamę brzuszną pani Benton. Chciałam uciąć tamten drażliwy temat. Prawda była taka, że trudno było powstrzymać Cindy od wsadzania nosa w nasze niejawne czynności operacyjne — nie ja zresztą z nią sypiałam.

— Żadnych rewelacji po sekcji dla ciebie nie mam — rzekła Claire. — Pani Benton dostała dwie kulki. Każda z nich mogła ją zabić, ale to strzał w klatkę piersiową był przyczyną śmierci.

— A niemowlak?

— Przyczyną śmierci jest dziewięćmilimetrowy pocisk, który przeszedł przez płat skroniowy. A więc mamy zabójstwo. Podpisałam i przystawiłam pieczętkę jako osoba upoważniona. Pociski są w laboratorium.

Claire poprosiła asystenta, żeby zajął się dalej ciałem Barbary Ann, ściągnęła rękawiczki oraz maskę i wyszliśmy z sali sekcyjnej do jej gabinetu. Usiadła na krześle obrotowym, ja opadłam na drugie, stojące po przeciwnej stronie biurka. Wyciągnęła dwie butelki wody z lodówki, jedną mi podała.

Claire trzyma na biurku zdjęcie, odwróciłam je w swoją stronę, żeby popatrzeć na nas cztery, stojące na stopniach przed wejściem do Hall of Justice. Yuki, elegancko ubrana, włosy rozdzielone przedziałkiem, okalające twarz dwoma lśniącymi czarnymi skrzydłami; Cindy pokazująca w uśmiechu lekko nierówne zęby, które jedynie przyciągają wzrok do jej ślicznej

twarzy; i dalej Claire o bujnych kształtach, piękna kobieta po czterdziestce.

No i ja — góruję nad nimi wzrostem (metr siedemdziesiąt pięć) — mam na tym zdjęciu włosy związane w koński ogon i śmiertelnie poważną minę. Tymczasem uważam siebie za osobę pogodną. Dziwne, skąd u mnie to przekonanie.

— Coś nie tak, Lindsay?

— Nie zawsze dostajesz to, czego chcesz — powiedziałam niby-żartobliwie.

— Mówisz o sprawie Benton? Czy o tej drugiej?

— O obydwu. Sprawę Benton prowadzi Chi, ja go tylko nadzoruję.

— Wiem. I nie masz wątpliwości, że wypruje z siebie flaki, żeby ją wyjaśnić.

Kiwnęłam głową.

— Powiedz, co masz w sprawie Casey Dowling.

— Zabójca strzelał z czterdziestkiczwórki.

— Chyba żartujesz.

— Sama się dziwię. Po co złodziejowi armata, kiedy wystarczyłby mu zręczny mały pistolecik z nabojami kaliber dziewięć? Ale w laboratorium na nic w bazie danych nie trafili.

— Błyskawicznie poszło — powiedziałam.

— Nacisnęłam na Clappera, żeby to przyspieszył, i teraz muszę nadać kolejnemu dziecku imię od jego nazwiska.

— Clapper Washburn. Awangardowe imię dla dziecka.

Claire roześmiała się, po chwili spoważniała.

— Być może mam coś dla ciebie.

— Nie każ mi prosić na kolanach.

— Podczas sekcji zwłok Casey Dowling wykryłam, że przed śmiercią odbyła stosunek seksualny. Pod mikroskopem plemniki wiły się jak rybki.

Rozdział 20

Jak tylko wróciłam do swojego biurka, Conklin zaczął raportować:

— Podczas twojej nieobecności siedemdziesiąt dwie osoby dzwoniły w sprawie zabójstwa Casey Dowling. Spójrz!

Weszła Brenda i rzuciła na jego biurko plik różowych karteczek.

— Dziesięć kolejnych — rzekła.

— Co jeszcze straciłam?

— Adwokat Dowlinga mówił na wizji, że jego klient oferuje pięćdziesiąt tysięcy za informację, która doprowadzi do aresztowania zabójcy Casey.

— No to nasuwa się pytanie, Rich. Czy Dowling wyznacza nagrodę w dobrej wierze? Czy może chce nas sparaliżować, bo zajmując się stukniętymi jasnowidzami, nie będziemy w stanie normalnie pracować nad sprawą?

Zadzwoiłam do Yuki, by omówić możliwość uzyskania prokuratorskiego nakazu na sprawdzenie telefonu i komputera Dowlinga, lecz akurat Jacobi ustawił krzesło na środku naszej ciasnej sali, usiadł na nim okrakiem i poprosił nas o uwagę.

Ponownie zaskoczyło mnie, że tak fatalnie wygląda. Jacobi to policyjny wyga: służył około dwudziestu lat w wydziale zabójstw, uszedł z życiem z wielu sytuacji, przetrwał zmienne koleje losu. Co aż tak nadzwyczajnego się wydarzyło, że go przygięło do ziemi?

Jacobi skinął do mnie, potem przesunął wzrokiem po reszcie dziennej zmiany w składzie: inspektorzy Chi, McNeil, Lemke, Samuels i Conklin, obrzucił wreszcie spojrzeniem paru funkcjonariuszy ze zmiany popołudniowej, którzy mieli nas wspomagać. Domyślałam się, że Jacobi dręczy się tym, że jest nas tak mało, że prowadzimy za dużo spraw i że niewiele z nich uda nam się rozwiązać.

Najpierw Jacobi poprosił o raport Paula Chi.

Chi wstał — ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, mózg jak komputer. Relacjonował, że dalej sprawdzali Richarda Bentona, jego alibi się potwierdziło, a z ubezpieczenia na życie Barbary Ann Benton nie dałoby się pokryć nawet jej pogrzebu.

— Obrazy zarejestrowane na taśmie z kamery monitorującej parking są ziarniste — mówił Chi. — Ten, kto strzelał, miał na głowie czapkę. Głowę trzymał pochyloną, ale z widocznego fragmentu szyi sądzimy, że to biały mężczyzna. Wydaje się, że mówił coś do ofiary, zanim zastrzelił ją i dziecko. Nic nie zabrał, być może wpadł w panikę. Napad z bronią w ręku, w którym coś poszło niezgodnie z planem, tak to wygląda.

Jacobi zadał mu dwa pytania, które nam wszystkim cisnęły się na usta:

— Dlaczego zabójca strzelał do dziecka? I na Boga, Paul, co znaczy KDP?

— Nie ma w bazie danych KDP, kapitanie. To nie gang ani organizacja terrorystyczna. Wyskoczyło nam w wykazie telefonów około trzydziestu pozycji, w których imię właściciela zaczyna się na „K”, a nazwisko na „P”, w tym sześć osób ma środkowy inicjał „D”. Te przypadki sprawdzamy.

Przyszła kolej na mnie, żeby wejść pod piłę tarczową.

Raportowałam szczegółowo sprawę zabójstwa Casey Dowling, przyznając, że poczynione przez nas kroki prowadzą na razie donikąd, ale że analizujemy pięć dokonanych ostatnio kradzieży z podobnym modus operandi sprawcy.

— We wszystkich sześciu przypadkach gospodarze byli w domu i nikt nie widział złodzieja. Tym razem doszło jednak do zabójstwa i być może mamy świadka — powiedziałam. — Dziesięciolatek z sąsiedniego domu widział kogoś ubranego na czarno uciekającego z miejsca zdarzenia. Wygląda na to, że ofiara zaskoczyła złodzieja i dlatego do niej strzelał.

Jacobi kiwnął głową i nagle wypuścił bombę.

— Szef wezwał mnie dziś rano i oznajmił, że racjonalnym rozwiązaniem będzie połączenie sił naszego zespołu z ekipą wydziału zabójstw.

— Co znaczy „połączenie sił”? — zapytałam, wprawiona w osłupienie pomysłem, że zostaniemy stłoczeni w podwojonym składzie na niecałych sześćdziesięciu metrach kwadratowych naszej sali odpraw.

— Ci z wyższego piętra kombinują tak: więcej ludzi do pracy nad prowadzonymi sprawami, nacisk na grupowe rozwiązywanie problemów i, cholera, prawdopodobnie nowa hierarchia służbowa.

A więc dlatego Jacobi wyglądał, jakby został potrącony przez ciężarówkę. Zagrożone było jego stanowisko, a to mogło się odbić na nas wszystkich.

— Jeszcze nie zapadła decyzja — powiedział Jacobi. — Doprowadźmy sprawy do końca. Nie dam rady walczyć, jeżeli nam się nie uda.

Odprawa skończyła się zbiorowym westchnieniem, a Jacobi zabrał mnie i Conklina do swojej małej przeszklonej celi z widokiem na ulicę, nazywanej przez nas żartobliwie „gabinetem prezesa”.

Conklin wolał usiąść na krześle, ja zaś oparłam się o framugę drzwi i dociekałam, ile poziomych zmarszczek pojawiło się przez noc na czole Jacobiego.

— Dowling nie miał zawału — powiedział nam Jacobi. — Bóle w klatce piersiowej. Przyspieszony oddech. Wywołane stresem. To prawdopodobne. Ale niewykluczone, że grał. Być może tym razem dostanie Oscara. Wyszedł ze szpitala.

Poinformowałam Jacobiego, że zgodnie z raportem lekarza sądowego Casey Dowling odbyła przed śmiercią stosunek seksualny.

— Wybieramy się do Dowlinga — dodałam.

— Będę czekał pod telefonem — rzekł Jacobi.

Rozdział 21

Marcus Dowling otworzył drzwi i wprowadził nas do salonu przeładowanego sofami w stylu angielskim, dekoracyjnymi talerzami *flow blue* na ścianach i figurami lwów chińskich na kominku. Londyńska Mayfair w Mieście nad Zatoką.

Kobieta w czarnej sukni, której nam nie przedstawił, zaproponowała coś do picia, wyszła i wróciła z butelkami wody dla mnie oraz Conklina i z chivas dla gospodarza.

— Panie Dowling, proszę nam opowiedzieć raz jeszcze, co zdarzyło się wczoraj w nocy — poprosiłam.

— Jezu Chryste, czy ja nie powiedziałem już wam wszystkiego? Myślałem, że przychodzicie, bo wy coś dla mnie macie.

— Przepraszamy — odezwał się Conklin, rewelacyjny w roli dobrego gliny w parze z taką piłą jak ja. — Chodzi o to, że opowiadając wszystko raz jeszcze, być może wywoła pan z pamięci coś więcej, jakieś skojarzenie wskazujące na sprawcę.

Dowling kiwnął głową, rozparł się w fotelu i pociągnął tęgi łyk wytwornej szkockiej.

— Nasi goście, małżeństwo Devereaus, wyszli — zaczął. — Jak

mówiłem temu pierwszemu funkcjonariuszowi, wkładałem naczynia do zlewu...

— A ta pani, która przyniosła nam napoje? — przerwałam mu. — Nie było jej wtedy?

— Vangy przychodzi tylko na dzień. Ma dziecko.

I powtarzał swoją wersję: żona poszła na górę wcześniej niż on, usłyszał strzały, znalazł żonę na podłodze, nie oddychała, wezwał policję.

— Panie Dowling — odezwałam się znowu — zauważyłam wczoraj, że miał pan mokre włosy. Wziął pan prysznic przed przyjazdem policji?

Chrząknął i ścisnął w rękę szklanekę. Obserwowałam go bacznie i wydało mi się przez chwilę, że widzę twarz winowajcy.

— Byłem zdruzgotany. Stałem pod natryskiem i płakałem, nie wiedziałem, co mam robić.

— A pańskie ubranie? — zapytał Conklin.

— Ubranie?

— Panie Dowling, będę z panem szczery. Wiemy, że jest pan poszkodowany, ale są procedury. Zabieramy pańskie ubrania i przekazujemy je do laboratorium, poczekamy, czy nie wynikną jeszcze jakieś dalsze pytania.

Dowling spojrzał na Conklina z wściekłością.

— Vangyyyy! — wrzasnął. — Zabierz inspektora Conklina na górę, niech sobie weźmie, co zechce.

Conklin i gospoia wyszli z salonu, natomiast ja nie dałam jeszcze gospodarzowi spokoju.

— Panie Dowling, kiedy po raz ostatni miał pan intymny kontakt z żoną?

— Dobry Boże! Do czego pani zmierza?

— Ktoś odbył stosunek z pańską żoną — naciskałam go. — Jeżeli to był zabójca, zostawił ślady, które pomogą...

— Casey odbyła stosunek ze mną! — krzyknął Dowling. — Kochaliśmy się przed kolacją. I co ta informacja pani podpowiada?

Piętnaście minut później wychodziliśmy z domu Dowlinga z wydrukiem spisu telefonów, próbką DNA i wszystkimi sztukami nieupranej odzieży. Prawdopodobnie coś z tego miał na sobie, gdy zastrzelono jego żonę.

— Zabrałem wszystko z kosza na brudy i zdjąłem rzeczy z wieszaka na drzwiach łazienki — powiedział Conklin, gdy szliśmy do samochodu. — Jeżeli to on ją zastrzelił, będziemy mieli ślady prochu. Będziemy mieli plamki krwi. Będziemy mieć go w ręku.

Rozdział 22

Obydwie, ja i Claire, miałyśmy za sobą długi, ciężki dzień, kiedy wieczorem wchodziłyśmy z ciemnej ulicy do knajpki U Susie — w klimat malowanych gąbką kolorowych ścian, zapachów pikantnych przypraw, dźwięków muzyki *steel band*.

Cindy i Yuki już zajęły nasz ulubiony stolik w sali z tyłu, Yuki miała jeszcze na sobie reprezentacyjny kostium, w którym była na rozprawie, Cindy zmieniła dżinsowy komplet na kokieteryjną niebieską bluzkę z szyfonu i krótki kremowy żakiecik. Pałaszowały bananowe chipsy i raczyły się piwem, pochłonięte rozmową o sprawie Dowling.

Claire i ja wsunęłyśmy się do boksu, Cindy miała dla nas rewelację.

— Casey Dowling posiadała wart milion dolarów pierścionek z dwudziestokaratowym kanarkowym diamentem, znanym jako Słońce Cejlonu. Może walczyła z napastnikiem, żeby go nie zabrał. Co o tym myślisz, Linds? Czy to zmotywowało Dachowca do sięgnięcia po broń?

— Casey nie miała na ciele obrażeń po walce — powiedziała Claire.

— I nie wołała męża na pomoc — dodałam.

Nalałam dla siebie i Claire piwo z dzbanka.

— Skąd masz informację o tym diamencie? — zapytałam Cindy.

— Mam swoje źródła. Ale nie podniecaj się, Linds. Ten diament z pewnością jest już podzielony na małe kamyki.

— Może i tak — rzekłam. — Ale posłuchaj, coś mi przyszło do głowy. Skoro masz takie kontakty w elitarnych kręgach, przesuń palcem po stronach *Social Register* i zaznacz młodych i wysportowanych, którzy są w stanie wdrapywać się na piętra.

— Myślisz, że Kot Dachowiec należy do elity? — zapytała mnie Yuki.

— Rich tak uważa — odpowiedziałyśmy jednocześnie ja i Cindy.

Yuki założyła włosy za uszy i popatrzyła na nas.

— Jeżeli Dachowiec obraca się w tym tłumie, to wiedział, że Casey ma ten ogromny żółty diament, i jeżeli ona rozpoznała intruza...

— Trzeba przyznać, że to ma sens — powiedziałam. — U Dowlingów sforsowane zostało okno sypialni, identycznie jak w pięciu innych przypadkach. Jest świadek, który widział kogoś, kto stamtąd uciekał. Clapper mówi, że na ubraniach Dowlinga nie ma śladów prochu ani krwi. Więc jeśli Casey rozpoznała Dachowca...

Nagle Claire uderzyła pięścią w stół, aż podskoczyły w misce

chipsy i zachlupało w dzbanku piwo. Zapewniła sobie naszą pełną uwagę.

— Przepraszam was, ale jeżeli o mnie chodzi, to wciąż myślę o Benton i jej dziecku i dostaję gęziej skórki. KDP? Co to znaczy? Jakiś obłąkaniec. Groźny obłąkaniec. Zagadkowy układ cząsteczek prochu wokół rany. Tajemniczy motyw. Strzał w głowę dziecka! Jak egzekucja. Powiem prosto z mostu: nie obchodzi mnie, kto którą sprawę prowadzi, natomiast wiem, że to nie fair przejmować się jedną ofiarą morderstwa bardziej niż inną. Powiedziałam „przepraszam”, przepraszam bardzo, ale śmierć tego dziecka mnie boli. Jak rana. A teraz przepraszam, idę do domu, do męża i mojej małej dziewczuszki.

Rozdział 23

Yuki zapłaciła rachunek i powiedziała Lorraine, żeby zatrzymała resztę. Zdała sobie nagle sprawę, że nigdy nie udaje jej się porozmawiać z dziewczynami o swoich sprawach. Na tych wieczornych spotkaniach śmiały się, rozładowywały napięcie, delectowały się jedzeniem. Ale dzisiaj wszystkie były spięte, a potem... poszły sobie.

Wstała, zapięła zakiet i mijając kuchnię, przeszła do głównej sali. Już trzymała rękę na klamce drzwi wejściowych, gdy nagle pod wpływem impulsu odwróciła się i podeszła do baru.

Barman miał czarne kręcone włosy i radosny uśmiech, a do koszuli w krzykliwe wzory przypiętą plaketkę z imieniem.

— Miles?

— Tak mam na imię — rzekł. — Wydaje mi się, że już cię widziałem. Ciebie i twoje przyjaciółki. Piwo i margarity, zgadza się?

— Jestem Yuki Castellano — przedstawiła się, wyciągając do niego rękę. — Co ty pijesz dla uczczenia dobrego dnia w sądzie?

— Wyłgałaś się od mandatu?

Yuki roześmiała się.

— Powtórz ten uśmiech — poprosił Miles. — Jakby słońce zaświeciło.

— Jestem prokuratorem — powiedziała. — Dzisiaj los był dla mnie łaskawy. Więc jak myślisz? Co mam wypić?

— Klasyczny drink. Tradycyjny. Zawsze w modzie.

— Doskonale — rzekła, gdy nalewał jej szampana. — Dzisiejszy dzień był znakomity, ale coś jednak mnie uwiera, jak kamień w bucie.

— Opowiedz.

Zamówiła pikantną sałatkę krabową i opowiedziała Milesowi o sprawie przeciwko Adamowi Johnsonowi. Mówiła, że ofiara, doktor Harris, była złym człowiekiem, ale Johnson jeszcze gorszym. Pozwolił ofierze umierać we własnych wymiocinach przez całe piętnaście godzin.

— Przysięgłym powinno zająć nie więcej niż piętnaście minut, żeby uznać gościa za winnego — orzekł Miles.

— Też mi się tak wydawało, ale zajęło im to półtora dnia. Bo adwokat Johnsona ma gładką mowę, a on sam jest rozbijającą prostym człowiekiem. Więc wystarczy przymrużyć oczy i zapomnieć o zdrowym rozsądku, żeby uwierzyć w niewinność Johnsona, który rzekomo nie zdawał sobie sprawy, że Harris umiera.

— Więc to niesamowite, że wygrałaś.

— O tak. Jestem w tej robocie od paru lat. Mam na koncie wiele porażek.

— Tego nie chcę słuchać. Powiedz o kamieniu w bucie.

— Nazywa się Jeff Asher. Mój przeciwnik, obrońca oskarżonego. Kiedy jego klienta wyprowadzono w kajdankach, podszedł do mnie i powiedział: „Gratuluję, wygrałaś, Yuki”. I dodał: „Wreszcie ci się udało”.

— Nie umie przegrywać — pocieszał ją barman. — Zabolało go. O to chodzi. Wiesz co? Ten szampan jest na koszt firmy.

— Dziękuję, Miles. Tak, masz rację. On nie umie przegrywać.

— Barmani nigdy nie kłamią.

Roześmiała się.

— Znowu wyszło słońce — powiedział.

Rozdział 24

Bluzka Cindy z jedwabnego szyfonu jak chmurka spoczywała na podłodze między przednim a tylnym siedzeniem samochodu Conklina. Spódnice miała podwiniętą do pasa, a rajstopy dyndały na jednej stopie. Było jej cholernie niewygodnie, ale za nic by nie zmieniła pozycji.

Położyła rękę na wilgotnej po igraszkach klacie Richa, czuła, jak wali mu serce. Przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował.

— Cudowne zgranie — powiedział.

— Niesamowita sekcja rytmiczna — dodała i obydwójce wybuchnęli śmiechem.

Samochód stał na uliczce blisko nabrzeża Embarcadero. Rich podjechał w to zacienione miejsce, ponieważ czując rękę Cindy na swoim udzie, nie potrafił dłużej wytrzymać. A teraz...

— Niemal słyszę gliniarza, jak puka w szybę i zalewa nas światłem z latarki, mówiąc „Hej, co się tutaj dzieje?”.

— A ty przykładasz do szyby swoją odznakę, mówiąc: „Spadaj, glino!”.

Conklin zaczął się śmiać.

— Nie mam bladego pojęcia, gdzie jest w tej chwili moja odznaka. Jesteś czarownicą, Cindy, a traktuj to jak największy komplement.

Uśmiechnęła się przewrotnie i przesunęła ręką po jego nagiej piersi, zsuwając dłoń niżej, pocałowała go. Przyspieszył mu się oddech i znowu był twardy, gotów, nie przerywając pocałunku, wciągnął ją na siebie.

— Schowaj głowę — wydyszał nagle. — Reflektory.

Nachyliła się niżej i na chwilę przycisnęła wargi do jego ust, potem uniosła i opuściła biodra, pobudzając go. Wpatrzona w jego zmieniającą się twarz, nie kryła przed nim własnego podniecenia. Gdy znowu uniosła biodra, prowokując go, uciekając, chwycił ją w pasie, wszedł w nią i już nie pozwolił się wymykać.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Cin.

Przyłożyła policzek do jego obojczyka, pozwalając mu przejąć inicjatywę, przez cały czas czuła się bezpiecznie i jednocześnie miała świadomość ryzyka, a to była prawdziwa mieszanka wybuchowa. Wykrzykiwała jego imię, gdy wytrysnął.

— O mój Boże — westchnęła, dysząc ciężko, by za chwilę opaść z sił i marzyć o zaśnięciu w jego ramionach. Jednak coś ją dręczyło, a nigdy przedtem, aż do tej chwili, nie śmiała o to zapytać.

— Rich?

— Chcesz po raz trzeci? — zapytał.

— Nie dałbyś rady — powiedziała i obydwójce zaczęli chichotać. Ale po chwili wyrzuciła to z siebie: — Rich, czy kiedykolwiek...

— Do dzisiaj może raz albo dwa.

— Nie o to pytam. Powiedz, czy kiedykolwiek kochałeś się z Lindsay?

— Nie, nie. Daj spokój, Cindy. Lindsay jest moją partnerką.

— To znaczy, że spanie z nią jest... nielegalne?

— Kompletnie ścierpła mi ręka — usłyszała zamiast odpowiedzi.

Zsunęła się z niego i zajęli się zbieraniem swoich rzeczy, ubieraniem się i zastanawianiem, gdzie spędzić noc.

Popsułam nastrój, pomyślała Cindy, zapinając bluzkę. Do tego wcale nie była pewna, czy powiedział jej prawdę.

Rozdział 25

Pete Gordon stał przy kuchence, ubijał błyskawiczne purée ziemniaczane i jednocześnie śledził na ekranie podwieszanego telewizora przebieg meczu baseballowego. Do kuchni weszła jego żona.

— Co przypalasz?

— Słuchaj, księżniczko. Nie potrzebuję twoich pieprzonych porad kulinarnych, właśnie przegapiłem przez ciebie ostatni rzut.

— Dlaczego nie przewiniesz do tyłu, skarbie?

— Widzisz tu nagrywarke? Widzisz?

— Przepraszam, świrze. Chciałam tylko powiedzieć, że nie spaprałbyś purée, gdybyś dodał mleka i zmniejszył płomień.

— Na litość boską! — wrzasnął Pete, przykręcając gaz. Purée wrzucił do miski, wyskrobał garnek. — Musisz zepsuć mi każdą chwilę przyjemności, naprawdę musisz?

— Ale mam niespodziankę.

— Bardzo jestem ciekaw. — Podkręcił głośność na cały regulator i stanął przed ekranem z miską ziemniaków. Sparzył

się w usta, więc splunął do zlewu, ale zdążył w porę podnieść wzrok, by nie stracić momentu, kiedy przeciwna drużyna zdobyła bazę. — Niece! — wrzasnął. — Niech ich szlag! Jak Giants mogli przegrać ten mecz?

— Moja ciotka chciałaby jutro zabrać nas wszystkich gdzieś na obiad. Na prawdziwą ucztę. I ona płaci.

— Ajajaj! Nęcące. Twoja ciotka z tłustym dupskiem i my wszyscy przy stole w Olive Garden, uroczej knajpie dla rodzin z dziećmi.

— Pete.

Bez odpowiedzi.

— Pete — powtórzyła, ale tym razem podeszła do telewizora i go wyłączyła. Odwrócił głowę i spojrzał na nią. — Nie o ciebie chodzi, przystojniaczku. Dzieci będą się cieszyć obiadem w rodzinnym gronie.

— Idźcie beze mnie. Dasz sobie radę, księżniczko — powiedział i patrzył, nie wierząc własnym oczom, jak złapała pilota z lady i wcisnęła go w młynek do odpadków w zlewie.

— Idź do diabła, Petey. — Na tle odgłosów maszyny miażdżącej plastik dodała jeszcze: — Mówię serio.

Pete wyłączył młynek i powiódł wzrokiem za uciekającą z kuchni żoną. Ostatnią scenę odtworzył w wyobraźni, ale tym razem w młynku widział rękę żony. O tak, tak. Metalowe zęby rozszarpują mięśnie i kości, a ona drze się wniebogłosy.

Przyjdzie czas, że ją dopadnie.

Dopadnie ją i Sherry, i cuchnącą bombę — któregoś dnia, już niedługo.

KDP — zobaczycie. Poczekajcie tylko.

Rozdział 26

Otworzyłam oczy dokładnie o piątej pięćdziesiąt dwie. Wiem, ponieważ Joe ma zegar z projektorem, taki supergadżet, który wyświetla na suficie godzinę i temperaturę.

Podoba mi się, że mam taką informację, jak tylko odemknę powieki. Tego ranka, patrząc na czerwone cyfry, myślałam o trzech literach: KDP.

Przeklęty psychopata, zabójca malutkiego dziecka, wdarł się do mojego mózgu. Ani trochę nie miałam za złe Claire, że była tak strasznie rozsierzona, sama niemal gotowa mordować. Pozornie niewinne pisane szminką litery — trop donikąd — były jak pociąg towarowy najeżdżający na dom, z którego nie ma ucieczki.

Pomyślałam o Chi i McNeilu... pracują nad wykazem właścicieli telefonów z pasującymi inicjałami. Byłoby cudownie, gdyby to doprowadziło do zabójcy, ale morderca podpisujący się swoimi prawdziwymi inicjałami? Nie, to wykluczone.

Zamknęłam oczy, ale nie dała mi spokoju Martha. Położyła pysk na materacu i nie spuszczała ze mnie cudownych brązowych oczu. Gdy zaczęła walić o podłogę ogonem, Joe przewrócił się na bok. Oplótł mnie ramionami i uwięził w

niedźwiedzim uścisku.

— Linds, spróbuj zasnąć.

Było czternaście po szóstej.

— Okay — powiedziałam, odwracając się do niego tyłem, żeby mnie przytulił do wygiętego w łuk ciała. Czułam ciepło jego oddechu ponad ramieniem i cofnęłam się myślą do czasów, kiedy mieszkałam sama w dzielnicy Potrero Hill. Zupełnie inaczej wyglądało wtedy moje życie: prawie każdego ranka jogging z Marthą, cały dzień w robocie i powrót wieczorem do Marthy. Potem gotowanie jednodaniowych kolacji w mikrofalówce, trochę za dużo wina, zastanawianie się, kiedy zadzwoni Joe. Zastanawianie się, kiedy go zobaczę.

Moje mieszkanie się spaliło.

A teraz mieszkałam w jego apartamencie i na rękę miałam pierścionek zaręczynowy od niego. W tym momencie odniosłam wrażenie, jakby Joe podążał tokiem moich myśli. Przytulił mnie mocniej i ujął w dłonie moje piersi. Poczułam, że ma wzwód, przesunął rękę na mój brzuch i przycisnął mocniej do siebie.

Przyspieszył mu się oddech, mnie również. Jednym ruchem przekręcił mnie twarzą do siebie, jakbym była piórkiem — uwielbiam, gdy to robi. Zadrżałam pod jego dotykiem, a on pobudzał mnie bez pośpiechu; cudowny był ten sposób kochania się, choć tak różny od uprzedniego szaleństwa — w czasach, kiedy jeszcze nie zaczęliśmy życia pod jednym dachem.

Oplotłam ręce wokół jego szyi, a gdy podciągał mi nogi w górę, poczułam to nieprawdopodobne, zapierające dech uczucie

— pełen napięcia moment oczekiwania, kiedy we mnie wejdzie. Patrzyłam w jego ciemnoniebieskie oczy, byłam cała jego.

— Kocham cię, Blondasku — powiedział.

Tylko kiwnęłam głową, bo nie mogłam mówić. Łzy napłynęły mi do oczu i ścisnęło mnie w gardle, gdy zaczął się we mnie poruszać. Zaląła mnie fala szczęścia. Kochałam tego mężczyznę. Nareszcie byliśmy razem na co dzień w satysfakcjonującym i przewidywalnym związku.

Więc dlaczego w mojej głowie drzemała wizja ślepej uliczki? Dlaczego miałam poczucie zawodu?

Część druga

Wyzwanie

Rozdział 27

Sarah Wells przewróciła kotlet na patelni i wyjęła z piekarnika chleb czosnkowy. To jedzenie sprzyjające zawałowi, pomyślała z satysfakcją — a może to tylko myślenie życzeniowe?

W sąsiednim pokoju grał telewizor. Sarah widziała ekran przez prześwit do salonu i mimo skwierczącego na patelni tłuszczu dobrze słyszała Helen Ross, śliczną blondynkę, gospodynię wieczornego talk-show. Ross roztkliwiała się nad Marcusem Dowlingiem, wyrażając zrozumienie dla jego bólu po stracie żony.

— Dajże spokój, Helen — mruknęła Sarah pod nosem. — Przysmaż go trochę. Nie bądź idiotką.

— Była taka szczęśliwa — mówił Dowling. — Udana kolacja z przyjaciółmi. Wkrótce zamierzaliśmy wyjechać na wakacje i nagle coś takiego. To niewyobrażalne nieszczęście.

— To jest niewyobrażalne — przytaknęła Ross. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Dowlinga. — Casey miała w sobie tyle życia, charyzmę. W zeszłym roku razem zbierałyśmy pieniądze dla Czerwonego Krzyża.

— Nie sposób opisać, jakie męczarnie przechodzę —

powiedział Dowling. — Wciąż myślę, po co zabierałem się do tego nieszczęsnego zmywania...

Do kuchni wszedł Trevor, otworzył lodówkę i gdy schylił się, by wyjąć piwo, jego brzuszysko zafalowało nad slipami. Strzelił zawleczką puszki, pociągnął haust budweisera, a potem podszedł do żony i złapał ją za pośladek.

— Cześć — powiedziała, wywijając się spod jego ręki.

— Co z tobą?

— Weź to. — Wręczyła mu kuchenne szczypce. — Dalej ty tu działasz, okay?

— Gdzie idziesz?

— Miałam ciężki dzień, Trev.

— Powinnaś iść do lekarza, wiesz o tym.

— Zamknij się!

— Masz przedłużające się miesiączki.

Sarah padła na kanapę, przygłośniła telewizor. Od czasu ostatniej kradzieży z głowy nie wychodził jej Marcus Dowling. Usiłowała zrozumieć, co, do diabła, stało się po tym, jak katapultowała się przez okno tamtej sypialni.

— Nie mogłeś wiedzieć, co się wydarzy — mówiła Ross.

Usłyszała za sobą trzaśnięcie patelnią o kuchenkę. To Trevor przypominał o sobie. A na ekranie twarz Dowlinga.

— Policja nie wpadła na żaden trop i ten zabójca jest na wolności — żalił się.

Wreszcie Sarah zrozumiała. Nie wiedziała, dlaczego to zrobił, ale to on strzelał. Dowling zabił żonę. Nikt inny nie mógł tego zrobić. Włamanie do jego domu było mu na rękę — trafił się ktoś, kogo mógł wrobić w morderstwo żony.

— Strawa gotowa, kochanie! — zawołał Trevor. — Twoje cheerios podane, jak lubisz.

Wyłączyła telewizor i przeszła do aneksu jadalnego.

— Przepraszam, że wrzasnęłam na ciebie — powiedziała, uważając, że lepiej wyrazić skruchę, niż go dalej rozjuszać. Czasami posuwał się do rękoczynów. Kiedy rozmawiała o nim z Heidi, mówiły o nim „Terror”. Trafna ksywka.

Trevor chrząknął, odkrawając kawałek kotleta.

— Nie przejmuj się. Czasem tylko zastanawiam się, co zrobiłaś z tą słodką dziewczyną, z którą się żeniłem.

— To jedna z zagadek życia.

— Do przeprosin powinnaś dodać: „Wynagrodzę ci to dziś w nocy”. Dobrze mówię?

Wlepił w nią wzrok, umknęła ze spojrzeniem, zanurzając łyżkę w misce z płatkami. Postanowiła wykonać kolejny skok wcześniej, niż zaplanowała. Być może wbrew rozsądkowi, ale musiała zostać bogata albo czekało ją więzienie.

Tak naprawdę nie miała wyboru.

Rozdział 28

Sarah szła w ciemności, migotało tylko słabe światełko na tylnym ganku i przez gałęzie drzew przesączał się blask księżyca. Światełko sygnalizowało, że tylne drzwi za tymi z siatką nie są zamknięte na klucz.

Pchnięte ręką otworzyły się i cichutko podeszła do kobiety zmywającej w zlewie naczynia. Objęła ją rękami w pasie.

— Nie krzycz — szepnęła.

— Wow. Wcześniej przyszaś. — Heidi błyskawicznie odwróciła się do niej twarzą.

— Terror jak zwykle spił się do nieprzytomności — powiedziała Sarah. Pocałowały się i zakołysały w uścisku w przyćmionym kuchennym świetle.

— Gdzie jest Bestia? — zapytała Sarah, mając na myśli męża Heidi.

Heidi sięgnęła do szafki i wyjęła dwie szklanki.

— Wiesz, co zawsze mówi: „Wszędzie, byle nie tu”. Wyjmiesz butelkę z lodówki?

Schody skrzypiały pod ich nogami i skrzypiały deski w

korytarzu, gdy przechodziły obok pokoju dziecinnego, idąc do mansardowej sypialni na tylnej ścianie domu.

— Jak długo możesz zostać? — spytała Heidi. Włączyła elektryczną nianię monitorującą pokój dzieci, po czym rozpięła jasnożółty sweter i wyskoczyła ze spodni.

Sarah wzruszyła ramionami.

— Jeżeli się obudzi i stwierdzi, że mnie nie ma, to co może zrobić? Zadzwoń na policję?

Heidi zaczęła rozbierać Sarah, delikatnie rozpinając jej bluzkę, powoli, guzik za guzikiem, rozsunęła suwak dzinsów z obniżoną talią i z zachwytem przesunęła dłońmi wzdłuż jej szczupłego i silnego ciała biegaczki.

— Gdybym miała takie ciało jak ty, twoje wciąż byłoby dla mnie drugą najlepszą rzeczą — powiedziała.

— Jesteś doskonała. Kocham w tobie wszystko.

— To ja chciałam ci to powiedzieć. Wskakuj do łóżka. Byle szybko.

Heidi podała Sarah szklankę i położyła się obok kochanki. Umościły się na metalowym łóżku stojącym pod skośnym sufitem: Heidi położyła rękę na udzie Sarah, Sarah otoczyła Heidi opiekuńczym ramieniem.

— Więc co serwujesz dzisiaj w ramach podróżniczej prelekcji? — zapytała Heidi.

Sarah zamierzała mówić o trzech miejscach, ale specjalny sentyment budziło w niej Palau.

— To odległy zakątek. Tam w przecudnych grotach można pływać nago. I nikt cię nie pyta, kim jesteś.

— Nie będzie problemów z takim kwartetem jak my: dwie kobiety i dwoje dzieci?

— Powiemy, że jesteśmy siostrami. Ty wdową.

— Ej, czy jesteśmy do siebie podobne?

— Więc będziemy siostrami przyrodnimi.

— Okay. A jakim tam mówią językiem?

— Oczywiście językiem palau. Ale znają także angielski.

— Więc postanowione. Wypijmy za przyszłość w Palau — powiedziała Heidi, stukając kieliszkiem o kieliszek Sarah. Piły małymi łydkami i całowały się z otwartymi oczami, na koniec odstawiły szkło i wyciągnęły do siebie ręce. Jednak Heidi cały czas słuchała elektronicznej niani, a Sarah kątem oka zerkała w okno — lęk działał na nie pobudzająco.

Gdy Heidi ściągała z Sarah majtki, ta na chwilę wybiegła myślą w przyszłość. Uciekniemy natychmiast po moim ostatnim skoku, postanowiła. Jak tylko sprzedam wszystkie klejnoty.

— Sarah?

— Jestem, jestem, Heidi. Myślę, co będzie z nami dalej.

— Chodź tu do mnie.

Nagła myśl przemknęła Sarah przez głowę. Powinna powiedzieć Heidi, że jakąś kobietę i jej dziecko zamordowano na parkingu, ostrzec przyjaciółkę, żeby zachowała czujność. Nie

minęła sekunda, gdy tę myśl przesłoniła inna.

Sarah wpadła na pomysł, że sprzeda wszystko poza żółtym kamieniem. Któregoś dnia podaruje go swojej ukochanej Heidi.

Rozdział 29

O ósmej rano Jacobi ustawił krzesło na środku sali odpraw i przywołał nas wszystkich. Yuki usiadła koło mnie, Claire stanęła za Jacobim, skrzyżowała ramiona. Obydwie spięte — Claire zaangażowana emocjonalnie w sprawę zabójstwa Darrena Bentona, Yuki w sprawę Casey Dowling.

Zauważyłam obcą twarz. Facet siedział w kącie na metalowym krześle, biały mężczyzna dobrze po trzydziestce, opalony, wyblakłe od słońca długie blond włosy miał ściągnięte z tyłu gumką. Wzrost oceniałam na blisko metr osiemdziesiąt, wagę na niewiele ponad siedemdziesiąt kilogramów. Sądząc po bicepsach uwydatniających się pod swetrem, był nieźle umięśniony.

To był gliniarz. Gliniarz, którego nie znałam.

Jacobi kontynuował odprawę z poprzedniego dnia. Chi składał raport z postępów w sprawie Benton, informując, że nabojów znalezionych w ciele matki i dziecka nie udało się dopasować do żadnego rodzaju broni i że nie zidentyfikowano rozkładu cząsteczek prochu, ale doktor Washburn wysłała zdjęcia do FBI.

Chi zaczął potrząsać monetami trzymanymi w kieszeni i nie

sprawił wrażenia pewnego siebie, gdy dopowiadał jeszcze, że szminka, którą wypisano litery KDP, była zwyczajną, tanią pomadką z drogerii.

Konkluzja: nic nie mieli.

Z kolei wstałam ja, by zdać relację. Poinformowałam, że sprawdziliśmy wykazy połączeń telefonicznych obydwójga Dowlingów i okazało się, że powtarzały się numery, pod które dzwonili obydwój, i były ich dziesiątki. Niczego zwracającego uwagę nie wykryliśmy, przeglądając rejestr operacji bankowych.

— Casey Dowling posiadała bardzo charakterystyczny klejnot — kontynuowałam — i tego wątku pilnujemy. Jeśli chodzi o Kota Dachowca, nie wpadliśmy na żaden trop. Powitamy z radością każdą sugestią. Jeżeli ktoś jest gotów pomóc odbierać anonimowe telefony od psychopatów, proszę podnieść rękę.

Oczywiście nikt się nie zgłosił.

Odprawa się kończyła.

— Proszę, żebyście powitali porucznika Jacksona Brady'ego — odezwał się Jacobi.

Gliniarz siedzący z tyłu pomachał nam ręką i powiódł wzrokiem po sali.

— Jack Brady to nasz nowy nabytek — przedstawiał go Jacobi. — Od dwunastu lat funkcjonariusz policji w Miami, większość czasu pracował w tamtejszym wydziale zabójstw. To nasz szef Tracchio podjął decyzję o przeniesieniu go na jakiś czas do naszego wydziału z zamiarem pozostawienia z nami na stałe. Wiadomo, że potrzebujemy pomocy. Dajcie mu odczuć, że jest

mile widziany.

Jacobi dał sygnał do rozejścia się, a Brady od razu podszedł do mojego biurka i wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją i przedstawiłam mu Conklina.

Brady kiwnął głową i powiedział, że słyszał o sprawie dwóch nastoletnich podpalaczy, podkładających pod domy ogień, w którym ginęli właściciele — ja i Conklin wykryliśmy wtedy sprawców.

Zauważyłam, że podczas rozmowy Brady omiata przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu naszą małą halę. Podążyłam za nim wzrokiem — Claire rozmawiała z Jacobim, Cindy stała obok Yuki, a na ekranie telewizora w rogu sali Dowling znowu uwodził dziennikarzy.

— Im więcej mówi, tym mniej mu wierzę. — Brady wskazał brodą Dowlinga na wizji.

— Pracujemy nad tą sprawą od paru dni — powiedziałam. — Dopiero zaczynamy się w nią wgryzać.

— Pilnie słuchałem raportów, pani porucznik — rzekł Brady. — Nie macie żadnego tropu.

Rozdział 30

Lombard Erniego Coopera jest na Valencia Street, w samym sercu dzielnicy Mission, wciśnięty między chiński bar szybkiej obsługi i sklep z artykułami tytoniowymi. Biżuteria Casey Dowling była zbyt cenna, by mogła trafić do lombardu Coopera, ale Ernie, emerytowany funkcjonariusz Departamentu Policji San Francisco, chętnie nam pomagał, ilekroć się do niego zwracaliśmy.

Tego dnia zastaliśmy byłego policjanta przed sklepem — jego potężny korpus ledwie się mieścił w wystawionym na chodnik fotelu w stylu art déco. Siwe włosy miał splecione w opadający na plecy warkocz, kabelki iPoda zwisały mu z uszu, na kolanach trzymał otwarty program wyścigów konnych, a sądząc po wyrzuceniu pod hawajską koszulą, był uzbrojony.

Uśmiechnął się, gdy nas zobaczył, i wstał, żeby się przywitać.

— Pracujemy nad włamaniami, które zakończyło się morderstwem — powiedziałam.

— Żona gwiazdora filmowego? Siadajcie.

Przyciągnęłam dla siebie kuferek na zabawki, Conklin usadził zadek na wątlYM bambusowym stołku barowym.

— Mówcie, o co chodzi — rzekł Cooper.

Podalam mu folder ze zdjęciami ubezpieczonej biżuterii. Przerzucał karty, zatrzymywał się przy szafirach oprawionych w platynę, diamentowych naszyjnikach i na koniec oniemiał, gdy zobaczył pierścionek z żółtym kamieniem, wyglądający jak poduszka szacha na tronie z diamentów.

— Ludzie! — wykrzyknął Cooper. Przełożył kartę ze zdjęciem i wczytał się w opis pierścionka. — Wyceniony na milion. I mogę się założyć, że wart jest każdego centa z tej sumy.

— Jedyne w swoim rodzaju? — upewniał się Conklin.

— O tak. Każdy dwudziestokaratowy diament jest rzadkością. A diament kanarkowy? Sama oprawa świadczy o tym, że to autentyk. Dziwię się, że nie jest znakowany.

— A co ty byś zrobił, gdybyś ukradł taki kamień? — zapytałam.

— Cóż... nie sprzedawałbym go tutaj, to pewne. Oddałbym go „latającemu paserowi”, wziął swoje dziesięć procent i po sprawie.

„Latający paser”? Nie znałam tego określenia. Poprosiłam Erniego o wyjaśnienie.

— Latający paser od zwykłego różni się tym, że natychmiast przejmuje łup, wsiada do pierwszego samolotu do Los Angeles albo do Nowego Yorku, albo do jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie może nielegalnie zbyć diamenty; potrafi być w powietrzu w ciągu godziny od kradzieży.

— I co potem?

— Szlaki prowadzą w różne strony. Ten konkretny pierścionek został być może sprzedany bez przeróbki, ale z pewnością nie u nas w kraju. Prawdopodobnie gdy my tu sobie rozmawiamy, klejnot jest już na palcu jakiejś młodej damy w Dubaju.

Cooper zabębnił palcami po folderze. Miałam wrażenie, że nagle doznał olśnienia.

— Nie wiem, czy wiecie... parę miesięcy temu jeden taki latający paser dostał kulkę w Nowym Yorku. To był Maury Green. Specjalizował się w handlu kamieniami o dużej wartości. To facet, do którego taki gorący kartofel by niechybnie trafił.

— Został zabity?

— Tak, na miejscu. Green przejmował łup, a gliniarze deptali po piętach gościowi, który przekazywał towar. Jego nazwisko wyleciało mi z pamięci, ale był ścigany za napad z bronią. Bandzior wyciągnął broń i Maury Green dostał się w krzyżowy ogień. I łańcuszek handlu z ręki do ręki został przerwany. Myślę sobie, że jeżeli wasz Dachowiec korzystał z usług Greena, to na razie nie ma jak pozbyć się wartej milion dolarów błyskotki. Wasz kot wdrapał się na drzewo, ale nie wie, jak z niego zleźć.

Rozdział 31

Yuki uściskała opaloną, atrakcyjną kobietę, która otworzyła jej drzwi.

— Boże, ile to czasu minęło... sześć lat? Nic się nie zmieniłaś!
— Mówiąc to, Sue Emdin patrzyła na Yuki z niemym pytaniem na ustach: „Hej, nie dawałaś znaku życia od ukończenia studiów, więc co cię sprowadza?”.

Szły na tył domu, wspominając czasy studenckie w Boalt Hall Law School, a gdy już usiadły wygodnie przy mrożonej herbacie i ciastkach na werandzie okalającej dom, Yuki zaczęła mówić o Casey Dowling i jej śmierci.

— Chcesz rozmawiać o Casey służbowo?

— Hmm... A właściwie co za różnica, Sue? Casey nie żyje, ale coś jesteśmy jej winne... możemy pomóc w ujęciu zabójcy.

— Zrozum... Marc i Casey to moi przyjaciele, i ona, i on — powiedziała Sue. — Nie powiem niczego poza plecami Marca.

— Rozumiem, w porządku, wszystko zostaje między nami — uspokajała ją Yuki. — Jeżeli coś wiesz, powinnaś mi powiedzieć i zdać się na moje wyczucie. Tego samego oczekiwałabyś ode mnie.

— Dobrze, już dobrze. Tylko nie wmieszaj mnie w to, okay?
Kiedy ostatnim razem prosiłam cię o cokolwiek?

Yuki się roześmiała, Sue również.

— Nigdy cię o nic nie prosiłam, zgadza się?

— Tak, to twoja pierwsza prośba.

— Więc skoro ma to zostać między nami... Casey powiedziała mi, że Marcus ma romans. No to masz, co chciałaś.

— Miała na to jakiś dowód? Podejrzewała kogoś konkretnego?
Zrobiła awanturę?

— Zwolnij, nie pytaj o wszystko naraz.

— Przepraszam, wracam do pierwszego pytania. Czy miała jakiś dowód na to, że Marcus się z kimś pieprzy?

— Nie, jednak go podejrzewała. Marcus był znanym babiarzem. Raz czy dwa i mnie poklepał po pupie. Wiadomo, gwiazdor filmowy. Ale słuchaj, co mi powiedziała Casey... powtarzam słowo w słowo: „Przestał się mną interesować”. To znaczy, że już nie budziła w nim pożądania. Tylko taki dowód miała, więc żaden, ale była mocno zaniepokojona.

— Czy zrobiła awanturę?

— Yuki, chyba nie myślisz, że Marc zastrzelił Casey?

— Oczywiście, że nie. Jest poza podejrzeniami. Jednak wiedza o kłopotach w małżeństwie przydaje się w śledztwie.

— Pamiętaj, że też jestem prawnikiem, i mówię ci, że on tego nie zrobił. Marc kochał Casey, to na bank. Mówił, że ani przez

moment się nie nudził w ciągu czterech lat małżeństwa. Ja i Ben byliśmy wczoraj u niego. Był zdruzgotany. Mówił, że strasznie cierpi, chce umrzeć. Założmy nawet, że oszukiwał Casey, lecz nigdy by jej nie zostawił. A już na pewno by jej nie... nawet nie potrafię wypowiedzieć tego słowa.

— Czy Casey zażądałaby rozwodu?

Sue Emdin westchnęła.

— Nie wiem. Być może. Powiedziała mi, że gdyby się dowiedziała, że on ją oszukuje, odeszłaby od niego.

— Kiedy ci to powiedziała?

— We wtorek wieczorem.

— Sue, Casey zginęła w środę.

— Szukaj sprawcy gdzie indziej, Yuki. Uwierz mi. To był ten włamywacz. Marcus tego nie zrobił.

Rozdział 32

Pete Gordon polował na bulwarze Embarcadero, ciągnącym się wzdłuż wschodniego brzegu zatoki — od zbiegu Drugiej Ulicy i King Street, i dalej na północ obok hali targowej Ferry Building aż pod most Bay Bridge łączący San Francisco z Oakland. Po tej arterii, popularnej zarówno wśród miejscowych, jak i turystów, przelewał się tłum pieszych, rowerzystów i deskorolkarzy. Zachodzące słońce rozjaśniało blaskiem niebo w kolorze indygo.

Pete wybrał ofiarę na zewnątrz Ferry Building — wiotką jak trzcinka blondynkę, ubraną w czarną wiatrówkę z kapturem i długą czarną spódnicę. Ubranie wydymał jej wiatr i kobieta przypominała mu Irankę w burce.

Chuda blondynka pchała wózek z ubranym na różowo spokojnym dzieciakiem — gapił się z równym zaciekawieniem na turystów wysiadających z promu, jak i na stoiska targowe.

Pete szedł przez targ niemal krok w krok za kobietą w czerni — kupiła jeden bochenek chleba, główkę sałaty i filet rybny. Nie odstępował jej, gdy już wyszła z hali z reklamówkami zawieszonymi na nadgarstkach. Nie zagadywała do córeczki, a ta sprawiała wrażenie, jakby chciała nad wszystkim czuwać.

Kiedy kobieta dotarła do skrzyżowania Market i Spear,

skierowała się do wejścia na stację linii BART. Wjechała z wózkiem na sunące w dół ruchome schody. Pete uznał, że to odpowiedni moment. Zacisnął prawą dłoń na schowanej w kieszeni broni i zaczepił kobietę, gdy zjechała na dół.

— Proszę pani, proszę pani! — krzyknął. Gdy zawołał po raz trzeci, odwróciła głowę. Niechętne spojrzenie mówiło: „O co chodzi?”.

Przekrzywił głowę z nieśmiałym uśmiechem.

— Mam się spotkać z kimś na rogu California Street. I... niestety, zgubiłem się.

Popatrzyła na niego.

— Nie mogę pomóc. — Pchnęła wózek w stronę wejścia na perony.

— Wielkie dzięki! — wrzasnęła. — Co za pieprzony dzień mam.

Wsadził ręce do kieszeni, nie miał zamiaru na tym zakończyć. Zastanawiał się, czy nie zdradził go wyraz twarzy. Czy wyglądał na podnieconego? Wyglądał podejrzanie?

W Iraku było inaczej. Ale tu też nie nawali.

Był konsekwentny. Skoncentrowany. Miał do spełnienia misję.

I doprowadzi ją do końca.

Rozdział 33

Gdy uderzył w niego podmuch wiatru, powróciło natarczywe wspomnienie ostatniego dnia życia szeregowca Kennetha Marshalla.

Konwój wyjeżdżał po zakurzonej drodze z Al-Hadisy, Pete jechał wtedy w pierwszym wozie, a jego oddział w kolejnych pojazdach za nim. Byli w odległości czterdziestu metrów od grupy domów, gdy wybuchła bomba pułapka — kapral Lennar został wyrzucony z ostatniego wozu, Kenny'emu Marshallowi urwało obydwie nogi.

Pete kochał Kenny'ego jak brata. To był bystry chłopak z dołeczkami w policzkach i obrazkiem Jezusa pod hełmem. Grał w kopanie puszek z dziećmi wroga, dzielił się z nimi racjami żywności, wierzył w amerykańską misję przywrócenia Irakowi wolności. Zwykł mówić, że kiedy przyjdzie jego czas, Bóg go znajdzie, gdziekolwiek będzie.

Gdy już Bóg wezwał Kenny'ego do siebie, gdy żołnierze pod dowództwem kapitana Petera Gordona ochłonęli i podnieśli głowy, wtedy spojrzeli na swego dowódcę w oczekiwaniu na rozkaz. Pete nie potrzebował namysłu. Wydał rozkaz zgodnie z zasadami. Własnymi zasadami.

Nie miał wątpliwości, kto zdalnie odpalił fugasa. Oni jechali autem za humvee, którego prowadził Kenny. Następne minuty tak wryły się w pamięć zmysłów, że do tej pory czuł zapach kordytu, kurzu i strachu. Wciąż jeszcze słyszał krzyki wrogów, do których strzelał.

Teraz, chłodnym wieczorem, przemierzając dzielnicę Embarcadero, Pete Gordon odruchowo zacisnął rękę na broni w kieszeni marynarki. Wszedł w aleję między ulicami Sansome i Battery, obstawioną po obu stronach plastikowymi stolikami i krzesłami. Jakaś młoda matka z wrzeszczącym bachorem zbierała się po posiłku do odejścia.

Poszedł za nią. Młoda mama z dzieckiem weszła głównym wejściem do 1 EC, jednego z wieżowców Embarcadero Center, minęła cukiernię i włoską restaurację i pojechała ruchomymi schodami na piętro do kina, usytuowanego samotnie w rogu zachodniego skrzydła.

Usiadła w foyer i gapiła się na plakaty filmowe, przeczesując machinalnie palcami włosy dziecka. Poprzedni seans jeszcze się nie skończył i nikogo więcej nie było.

Odwróciła głowę w stronę głosu Pete'a.

— Przepraszam, czy mogłaby mi pani pomóc? Kompletnie się tu zagubiłem.

Rozdział 34

Gdy po wezwaniu przybyłam na miejsce, radiowozy i ambulanse już stały zaparkowane przy zbiegu Battery i Clay. Wjechałam swoim explorerem na chodnik, stanęłam za hyundaiem Jacobiego i natychmiast dopadłam funkcjonariusza, który pilnował zachodniego wejścia do wieżowca.

— Pierwsze piętro, pani porucznik — powiedział. — Przed wejściem do kina.

Zadzwoiłam do Jacobiego, odebrał telefon.

— Chodź tu na górę, Boxer. I nie myśl o kolacji.

Widzowie, którzy zostali wypuszczeni tylnym wyjściem, wrócili do głównego wejścia do 1 EC, dołączając do gęstego tłumu okolicznych pracowników oraz turystów, którzy zgromadzili się przed gmachem.

Trzymając w ręku odznakę, torowałam sobie drogę, opędzając się od natrętów, bo na ich pytania nie odpowiedziałabym, nawet gdybym potrafiła. Jakiś funkcjonariusz otworzył przede mną przeszkłone drzwi i znalazłam się w pasażu z ciągiem sklepów — każdy ze słynnym logo i każdy nienaturalnie pusty.

Schody ruchome zatrzymano, a żółta taśma odcinała całe

zachodnie skrzydło. Dałam pod nią nura i popędziłam po stalowych stopniach na górę. Jacobi czekał na mnie przy schodach i wystarczyło mi spojrzeć na jego twarz, żeby wiedzieć, co mnie czeka, a jeszcze nie zbliżyłam się do ciał leżących na czerwonej wykładzinie.

Najpierw zobaczyłam matkę. Upadła na plecy. Na jasnoniebieskim kardiganie widniała z przodu czarna plama — kobieta dostała dwa strzały w samo serce, a do tego miała ranę postrzałową głowy. Wyciągnęłam rękę i zamknęłam jej niewidzące oczy.

Dopiero wtedy odważyłam się spojrzeć na malutką, nieruchomą postać leżącą blisko matki.

Niech go jasna cholera, dziecko też zabił.

Widok był makabryczny i odruchowo się cofnęłam wstrząśnięta brutalnością zbrodni, ale uderzyło mnie to, że zabójca strzelał z metodyczną precyzją. Z zimną krwią strzelał z bliskiej odległości, żeby zabić.

Jacobi odszedł na bok, a ja obejrzałam ze wszystkich stron ciało dziecka leżące obok wywróconego wózka. Chłopczyk miał niecały rok. Mogłam się zwolnić od mówienia Jacobiemu, że te dwa zabójstwa i tamte przy centrum handlowym Stonestown były dziełem tego samego zabójcy.

Ale gdzie jego podpis? Gdzie litery KDP?

Jacobi wrzucił portfel młodej matki do torby na dowody rzeczowe.

— To Judy Kinski. Miała czterdzieści dolarów w drobnych

banknotach. Dwie karty stałego klienta. Kartę biblioteczną. W przyszłym tygodniu skończyłaby dwadzieścia sześć lat. McNeil ma skontaktować się z rodziną.

— A świadkowie? — zapytałam. — Przecież ktoś musiał to widzieć.

— Chi rozmawia ze sprzedawczynią biletów. Chodźmy tam.

Rozdział 35

Dziewczyna, która siedziała w niewielkim biurze kierownika kina, szlochała, zakrywając twarz rękami. Gdy weszliśmy z Jacobim, podniosła pobladłą twarz i spojrzała na mnie.

— To jest Robin Rose — przedstawił ją Chi. — Być może widziała tego, kto strzelał.

— Czy jest już moja mama? — zapytała Robin.

— Jest w drodze — rzekł Jacobi. — Jak tylko się pojawi, pod naszą ochroną zejdziecie na dół.

— Nie widziałam strzelającego — mówiła między jednym spazmem a drugim. — Otwierałam właśnie kasę przed seansem o godzinie siódmej.

Chi podał jej zwitek chusteczek higienicznych, mówiąc, że nie chcemy jej ponaglać.

— Niczego nie słyszałam — powiedziała, wycierając nos. — Ale kiedy podnosiłam żaluzję...

Zobaczyłam tę sytuację jej oczami. Ostatnie momenty niewinności: otwiera szufladę kasy, sprawdza bloczek z biletami, podnosi metalową żaluzję zabezpieczającą okienko kasy — i co widzi? Dwie osoby, które przyszły zakupić bilety przed

otwarciem kasy?

— Początkowo nie wierzyłam w to, co widzę — mówiła Robin. — Pomyślałam, że to jakaś pomysłowa reklama nowego filmu. Po chwili zorientowałam się, że to dzieje się naprawdę. Że patrzę na martwe ciała.

— Widziałaś kogoś obok tych ciał?

Kiwnęła głową.

— Musiał usłyszeć szelest podnoszonej żaluzji. Spojrzał na mnie, to był ułamek sekundy. Zobaczyłam broń, przykucnęłam na podłodze.

Zabójca, którego przez moment widziała Robin Rose, to był biały mężczyzna, ubrany w niebiesko-białą kurtkę baseballową i czapkę nasuniętą na oczy. Powiedziała, że nie potrafi opisać go dokładniej, ale spróbuje sobie przypomnieć coś więcej. Nie umiała nic powiedzieć o broni. Nie zauważyła, którędy wyszedł.

Mógł przejść krytym pasażem do sąsiedniego wieżowca Embarcadero Center albo na luzie zjechać schodami ruchomymi i wyjść na ulicę.

Ustaliłam z Robin, że obejrzy na policji taśmę z monitoringu, i wyszłam z Jacobim z biura kierownika kina. Jacobi zaczął nadawać organom ścigania informację, że poszukuje się białego mężczyzny w niebiesko-białej kurtce baseballowej, a po chwili na schodach zobaczyłam ciężko stąpającą Claire, a za nią jej głównego asystenta Bunny'ego Ellisa.

Claire miała wypisaną na twarzy furję, gdy przystępowała do fotografowania ciał ofiar swoją minoltą. Stałam obok niej.

— Widzisz to. Taki sam rozkład cząsteczek prochu, Lindsay. Precyzyjny strzał z bliska. To ten sam cholerny morderca dzieci. Coś ukradł?

— Nie ruszył zawartości portfela.

To Claire pierwsza zauważyła napis, był na spodzie wózka.

W stroboskopowym szaleństwie fleszy wpatrywałam się w znajome litery namazane szminką. Podpis niby ten sam, a jednak inny.

PKD.

— Co jest, do diabła? Nie KDP? Teraz PKD? — Spojrzałam na Claire.

— Mnie pytasz, Lindsay? Ten facet nie zostawia tropów. On chce nas wkurzyć.

Rozdział 36

Nasz rezerwowowy zawodnik Jackson Brady powiedział nam, że uczestniczył w warsztatach Akademii Szkoleniowej FBI w Quantico.

— Całe dwa letnie miesiące spędziłem na nauce robienia profili morderców. Nie znaczy, że jestem profesjonalistą, ale potrafię wyrobić sobie opinię.

Jacobi zarekwirował salę konferencyjną w sekcji Przestępstwa Przeciwko Życiu i siedzieliśmy wokół stołu z porysowanym, imitującym drewno blatem. Brady był w centrum zainteresowania. Paul Chi zreferował mu, jakie materiały mamy z oględzin pierwszego i drugiego miejsca, Brady pilnie notował.

Wszystkie oczy były w niego wpatrzone, gdy zaczął mówić.

— Zabijanie dzieci ma charakter reaktywny, u źródeł jest złe dzieciństwo, a może być również tak, że ten morderca jest emocjonalnie martwy, pozbywa się dzieci, ponieważ były świadkami.

— To były niemowlęta — odezwał się Jacobi.

Brady wzruszył ramionami.

— Zabójca najprawdopodobniej nie posługuje się tego typu

logiką. A gdy chodzi o zabijanie matek, to macie do czynienia z prawdziwą nienawiścią do kobiet.

— Chcemy znaleźć tego faceta — powiedział Jacobi. — Jakie ma mieć dla nas znaczenie zastanawianie się nad jego wczesnym dzieciństwem? Jego uczucia nie doprowadzą nas do niego.

— Masz rację, kapitanie. Istotne jest w gruncie rzeczy to, że gość nie potrzebuje działać z ukrycia. Pomyślcie, w jaki sposób dokonywał zbrodni, jak się niepostrzeżenie wymykał. Jest bardzo inteligentny, zdeterminowany, dobrze zorganizowany i działa w pojedynkę. I, co najważniejsze, nie zwraca niczyjej uwagi. Tylko dzięki temu mógł zbliżyć się do ofiar. Nawet nie krzyczały.

— I posiada broń, której nie udaje się zidentyfikować — dodałam.

— To bardzo interesujący szczegół — rzekł Brady. — Ten facet zna się na broni. Przypuszczam, że ma za sobą przeszkolenie wojskowe.

— Mamy naoczego świadka i taśmę z monitoringu — powiedziałam. — To jakaś podpowiedź, jak on wygląda.

— Niczym się nie wyróżnia, dobrze zgaduję?

— Fakt — przyznał Chi. — Biały mężczyzna, po trzydziestce, nosi czapkę. Przyjrzymy mu się jeszcze raz, przeglądając taśmy z monitoringu wieżowca One EC.

— Jeżeli to wojskowy, a przynajmniej gość dobrze przeszkolony, to na czym on może wpaść? — zapytał Conklin.

— Może go zgubić nadmierna pewność siebie — powiedział

Brady. — Poczuję się tak pewnie, że wreszcie zostawi trop. Ale zdajecie sobie sprawę, że może upłynąć sporo czasu, zanim popełni błąd.

Poruszyłam się na krześle. Brady ujął w innych słowach to, o czym myślałam od podwójnego zabójstwa na parkingu przy centrum handlowym Stonestown.

Będzie więcej ofiar.

Rozdział 37

Dziesięć dni temu Jacobi ogłosił: „Dowling spycha w cień wszystkie inne sprawy”.

Teraz w Embarcadero Center działał cały wyeksploatowany niemal do kresu sił zespół naszego wydziału plus dziesiątki zwerbowanych do pomocy gliniarzy, nie lekceważąc żadnego, nawet najbardziej absurdalnego tropu, pracując pod kierunkiem Jacobiego na zmiany w systemie dwunastogodzinnym, wszyscy dążący do jednego celu — zdemaskowania podpisującego się szminką zabójcy.

Byłam u Claire w prosektorium, kiedy wrzucono do jej skrzynki raport balistyczny z FBI. Powstrzymałam się z trudem od głośnych ponagleń, gdy kontynuowała rozmowę telefoniczną, ostrożnie rozrywając kopertę. Rozłączyła się wreszcie z rozmówcą i wyjęła z koperty pojedynczą kartkę papieru. Rzuciła okiem na tekst.

— Ho, ho! Nasz przypadek analizował sam doktor Mike.

— Wybacz moją ignorancję... i daj mi wreszcie ten przekłęty raport.

— Cierpliwości, przyjaciółeczko. Doktor Michael Sciarra to w

FBI „Doktor Pistolet” — powiedziała. — No dobrze. Przechodzę do rzeczy. Doktor Mike twierdzi, że obraz układu cząsteczek prochu na ciałach dzieci jest dlatego nietypowy, że strzelano przez tłumik. Ale nie chodzi o żaden udoskonalony odpowiednik plastikowej butelki po coca-coli czy stalowej rurki wypełnionej watą szklaną.

— Więc jaki? — zapytałam.

— Bardzo profesjonalnie wykonany... stal żaroodporna albo tytan. Niewiele jest takich. Cytuję doktora Mike'a: „Nie ma w Stanach Zjednoczonych żadnego udokumentowanego zabójstwa z użyciem tłumika, który pozostawiłby taki nietypowy ślad prochu, jaki widnieje na ciele dziecka Bentonów i dziecka Kinskich”.

— Jezusie, co to wszystko znaczy?

— Na początek wyjaśnia, dlaczego nikt nie słyszał strzałów.

— I dlaczego nie znaleziono przypadku użycia takiej broni w bazie danych — dodałam.

— Prawdopodobnie wwieziono ją do kraju — spekulowała Claire, ale przerwał jej sygnał mojej komórki. Zacisnął mi się żołądek, gdy spojrzałam na wyświetlacz. Mignęłam nim przed oczami Claire, otworzyłam przyciskiem klapkę.

— Tu Boxer — odezwałam się ze strachem, że znowu coś.

— Boxer, ten przeklęty, porąbany psychopata... przygotował kolejną makabryczną inscenizację! — wykrzyczał mi w ucho Jacobi.

— Nie, nie wierzę, niee...

— A jednak... kobieta i dziecko zastrzelone na wielopoziomowym parkingu przy Union Square. Wygląda identycznie jak dwie poprzednie zbrodnie. Jestem na miejscu z Chi i Cappym. W drodze jest Tracchio, położy swoje łapska na wszystkim.

Rozłączyłam się z Jacobim, przekazałam wiadomość Claire, zadzwoniłam do Conklina i popędziłam na tył gmachu na parking. Conklin już czekał na mnie za kierownicą wozu patrolowego i jak tylko trzasnęłam drzwiami, wcisnął gaz do dechy i wystrzeliliśmy z włączonymi migaczami i wyjąca syreną, zostawiając na asfalcie ślady opon.

— Robi coś takiego w samym centrum miasta. — Conklin przekrzykiwał ryk syreny. — Ma jaja ten typ.

— Lubi działać w centrum. To terrorysta. Kuty na cztery nogi. Nie miałam pojęcia, jak bardzo sprawdzą się moje słowa.

Rozdział 38

Przysięgam, że Conklin rozpędził auto do maksymalnej prędkości w ciągu trzech sekund. Wparłam się rękami w deskę rozdzielczą, gdy crown victoria z rykiem gnała Leavenworth, a potem niczym kolejka górską w zawrotnym, przyprawiającym o ścisk żołądka tempie pokonywała wzniesienia, strome spadki i ostre zakręty — uroki ulic naszego miasta.

W momentach, kiedy wyzwalałam się od przemożnej ochoty kierowania autem z siedzenia pasażera, myślałam o zabójcy podpisującym się szminką. On nie był zwykłym psychopata.

To był obłąkaniec.

Zabił cztery osoby — być może okaże się zaraz, że więcej. Jego podpis był tak enigmatyczny, że nic nam nie mówił. Jak mamy przewidzieć jego zachowanie, jeżeli nie rozumiemy jego przekazu?

Zjechawszy ze wzgórza, Conklin szarpnął kierownicą w prawo i wpadliśmy w korek na skrzyżowaniu. Miałam ochotę wyskoczyć z auta i tłuc w dachy pojazdów, póki nie ustąpią z drogi, ale zamiast tego złapałam megafon.

— Z drogi! Natychmiast zjechać na bok!

Co chwila ruszaliśmy i zatrzymywaliśmy się, bo samochody utykały w zatorze, niemal wjeżdżały jeden na drugi. Nieznośnie wlokły się sekundy, zanim korek się rozładował. Po kilku minutach Conklin parkował między czarno-białymi radiowozami przed wjazdem na parking podziemny przy Union Square. Wyskoczyłam z auta, nim docisnął hamulec.

Razem zaczęliśmy się przeciskać przez tłum ogarniętych paniką ludzi, których samochody zostały na parkingu. Na twarzach malował się strach, niemal słyszałam zbiorowy szept: „Tu był morderca. Mógł strzelać do mnie”.

Pokazując odznakę, torowałam nam drogę przez ciżbę, wpisałam przybycie i poprosiłam funkcjonariusza Sorbero o krótką informację.

— Mam déjà vu... — rzekł Joe. — Miejsce zbrodni na czwartym poziomie. Ruchome schody wyłączone.

Conklin podniósł żółtą taśmę, przeszliśmy pod nią i zanurzyliśmy się w chłód parkingu. Ciemne tunele odchodzące z poziomu parteru, przejścia dla pieszych biegnące ze wszystkich stron — od domów towarowych Macy's oraz Saks i hotelu Sir Francis Drake — wspaniałe warunki dla drapieżnika, żeby podejść ofiarę.

Gdy maszerowaliśmy w górę wiodącym zakolami dwukierunkowym pasem głównym między rzędami zaparkowanych aut, zbierałam w sobie odwagę, by stawić czoło temu, co Jacobi nazwał „makabryczną inscenizacją”. Znaleźliśmy go na trzeciej kondygnacji, rozmawiał z szefem Anthonym Tracchio. Obydwaj — Tracchio z poszarzałą twarzą, a Jacobi z tak

zapuchniętymi powiekami, że niemal nie widać było oczu — wyglądali, jakby dopiero co zajrzeli w otchłań z matecznikiem diabła.

— Chi i McNeil są na kondygnacji czwartej — powiedział Tracchio, ledwie poruszając ustami. — Popołudniowa zmiana penetruje teren. Dokooptowałem ochotników i każdego funkcjonariusza, na którego się natknąłem.

— Czy byli świadkowie? — zapytałam.

— Nie — odparł Jacobi. — Nikt nic nie widział ani nic nie słyszał, ni cholery.

Rozdział 39

Szłam w górę z Conklinem, wokół nas równe rzędy zaparkowanych aut, a mnie ogarniało coraz większe przerażenie. Gdy witaliśmy się z McNeilem i Chi na poziomie czwartym, miałam wrażenie, że pająki suną po moich ramionach jak po autostradzie i jeden za drugim wpełzają mi pod włosy na karku.

Nie chciałam oglądać ofiar, ale musiałam. Zmusiłam się do spojrzenia w dół. I były tam — dwa ciała leżały na wolnym stanowisku między dwoma pojazdami.

Kobieta była śliczna i nawet po śmierci jej uroda brunetki rzucała się w oczy. Biały sweter i długie włosy przesiąkły krwią, kałuże krwi zebrały się wokół ciała, od nich rozchodziły się po betonowej podłodze cieniutkie strumyki. Widoczne były krwawe odciski obuwia, krew na podeszwach butów kobiety.

Dziecko leżało wtulone w wygięte w łuk ciało matki. Wyglądało to tak, jakby tych dwoje upozowano.

Oczy zaszły mi mgłą, pod stopami poruszyła się ziemia, niby z oddali doszedł głos Conklina:

— Linds? Lindsay? — Gdyby nie podtrzymał mnie ręką w

pasie, upadłabym na beton. — Co z tobą, Linds? Źle się czujesz?

Kiwnęłam odruchowo głową.

— Czuję się dobrze. W porządku. Jeszcze nic dzisiaj nie jadłam — wymamrotałam. Byłam zła na siebie za okazanie słabości. Kobiecej słabości. Moi dwaj szefowie i koledzy z wydziału oczekiwali, że będę trzymać ster w ręku. Musiałam wziąć się w garść.

Z jednej strony ofiar stał czerwony dodge caravan, z drugiej srebrny highlander. Otwarta torebka leżała na ziemi, wokół rozrzucona zawartość portfela.

Wszystkie drzwi dodge'a były otwarte. Spojrzałam na przednią szybę i zobaczyłam czerwone litery DKP.

Znowu ten dziwaczny podpis. Co on, u diabła, znaczy?

Z tyłu zawołał mnie po imieniu Paul Chi, odwróciłam się i nie zdziwiła mnie jego pobladła twarz. Wiedziałam, że tak jak ja jest do głębi wstrząśnięty tą okrutną zbrodnią.

— Ofiara to Elaine Marone — informował mnie Chi. — Wiek: trzydzieści cztery lata. W portfelu miała pięćdziesiąt sześć dolarów, karty kredytowe, prawo jazdy i tak dalej. Nie znamy imienia małej dziewczynki.

— Czy znalazłeś szminkę? — zapytałam, mając nadzieję, że być może potoczyła się pod wózek, że zabójca zostawił na błyszczącej oprawce odciski palców.

— Nie znaleźliśmy żadnych kosmetyków — odparł Chi. — Mamy jednak coś nowego: przyjrzyj się sińcom na nadgarstkach

pani Marone. Prawdopodobnie usiłowała rozbroić napastnika.

Kucnęłam przy ciele Elaine Marone. Jak powiedział Chi, na jej prawym nadgarstku były zasinienia — ślady po czyichś palcach. W swetrze naliczyłam sześć wyraźnych otworów wlotowych od kul. Elaine Marone podjęła rozpaczliwą próbę obrony. Walczyła jak lew.

W tym momencie dał się słyszeć krzyk, a raczej rozdzierające wycie wibrujące w betonowej grocie.

— Laineee...! Lilly...!

O Boże, nie...

Usłyszałam łomot butów na betonie.

— Stać! — krzyknął Jacobi. — Ani kroku dalej!

Ostrzeżenie było wyraźne, ale tupot się zbliżał.

Rozdział 40

Ruszyłam rampą w dół na trzeci poziom i wybiegając z zakrętu, zobaczyłam Jacobiego i Tracchia w szamotaninie z potężnym facetem w dzinsach i flanelowej koszuli. Usiłowali go obezwładnić, ale to był osiłek, szarżujący byk naładowany adrenaliną. Strząsnął z siebie Jacobiego i Tracchia, jakby byli małymi pieskami, i dalej biegł w górę rampy na miejsce zbrodni. Wyglądało na to, że jak tornado zmiecie mnie z drogi.

— Stać! — wrzasnął znowu Jacobi i wyciągnął zza pasa paralizator.

— Jacobi, nie! Nie rób tego, nie! — krzyknęłam. Wiedziałam jednak, że nie ma wyboru. Usłyszałam trzask paralizatora, potężnym mężczyzną szarpnęło i runął na beton, jakby mu przetrącono kręgosłup. Zwiotczałe ciało zaczęło się ześlizgiwać w dół po pochylni. Podczas tego pięciosekundowego ślizgu był sparaliżowany i przestał krzyczeć.

Jacobi dobiegł do niego.

— Jezu Chryste, człowieku, do czego ty mnie zmusiłeś! Uspokoisz się wreszcie? Uspokoisz się?

Ciszę po trzaskach paralizatora przerwały straszliwe spazmy

leżącego mężczyzny — nie potrafił ich powstrzymać. Pochyliłam się nad nim, a Jacobi wykręcał mu ręce do tyłu i zakładał kajdanki.

— Jestem porucznik Boxer — powiedziałam, przeszukując go od góry do dołu. Wyciągnęłam mu z tylnej kieszeni portfel i sprawdziłam, czy to jego zdjęcie widzę w prawie jazdy. Nazywał się Francis Marone.

— Pozwólcie mi się podnieść. Muszę iść do nich!

— Przykro mi, panie Marone. Jeszcze nie teraz.

— Co się stało? Co z nimi? — wykrztusił. — Dopiero co rozmawiałem z Elaine. — Znowu szlochał. — Zatrzymałem się, żeby kupić papierosy, powiedziałem jej, że spotkamy się przy samochodzie.

— Rozmawiał pan z nią przez telefon?

— Słyszałem, jak mówiła do kogoś: „Czego chcesz?”. A potem usłyszałem... Boże, powiedzcie, że nic jej nie jest.

Po raz drugi powiedziałam: „Przykro mi, panie Marone”.

— Nie, nie moje dziewczynki! — krzyknął. — Proszę was, puśćcie mnie do nich.

Pękało mi serce z żalu nad nim, a najbardziej okrutne w tym wszystkim było to, że jeśli mieliśmy dać sobie szansę na schwytanie zabójcy, nie mówiąc już o postawieniu go w stan oskarżenia, musieliśmy z uwagi na zabezpieczenie śladów chronić miejsce zdarzenia przed wtargnięciem tam Marone’a.

Wokół mnie wyrósł las nóg — Tracchio, Jacobi, Conklin, Chi,

McNeil. Zapytałam Marone'a, czy mam zadzwonić do kogoś z jego krewnych lub przyjaciół, ale mnie nie słuchał. Musiałam mu jednak zadać kolejne pytanie.

— Panie Marone, czy przychodzi panu na myśl jakaś osoba, która mogła chcieć skrzywdzić pana żonę?

Marone wbił we mnie przekrwione oczy.

— Jestem operatorem betoniarki! — krzyknął. — Elaine zajmuje się PR-em... sklepu z zabawkami. Jesteśmy nikim. Nikim!

Marone krwawił z otarć na przedramionach. Poklepałam nieszczęśnika po ramieniu i odeszłam na bok, a Jacobi i Tracchio go podnieśli.

— Nie chciałem cię skrzywdzić, człowieku — rzekł Jacobi.

Przywołałam dwóch funkcjonariuszy, Noonana i Mackeya, prosząc, by zawieźli Marone'a do szpitala. Przyrzekłam, że przyjdę do niego najszybciej, jak to będzie możliwe. Musiałam zejść z drogi pędzącemu rampą w górę vanowi Claire.

Rozdział 41

Gdy wróciłam na czwartą kondygnację, Claire już chowała minoltę. Spojrzała na mnie i na jej twarzy zobaczyłam odbicie mojej własnej zgrozy. Rozłożyłyśmy ramiona i przytuliłyśmy się do siebie — tym razem nie przejmowałam się, że ktoś pomyśli, iż okazuję słabość.

— Te maluszki. Nie mogę sobie z tym poradzić.

— Już nigdy sobie nie poradzisz — szepnęła Claire w moje ramię. — Nawet gdy dorwiesz tego drania. Już nigdy nie będzie tak samo. Wiesz o tym, prawda?

Oderwałyśmy się od siebie, gdy podszedł jeden z asystentów Claire, pytając, czy już mogą nakładać na ręce ofiar foliowe torebki dla zabezpieczenia śladów. Zaczynała się ponura procedura „sprzątnia” miejsca zbrodni.

— Czy widziałaś litery na przedniej szybie? — zapytałam Claire.

— Uhm, uhm. DKP. Jakaś kolejna perwersja. „D” i „K” są nadal obok siebie, a więc to „P” zmienia miejsce. I to moje jedyne trofeum poza następnymi dwoma martwymi ciałami, które trafią na mój stół, a nie powinny być martwe.

Claire pociągnęła mnie za rękaw, bym się odsunęła na bok, bo z impetem jechał w górę furgon laboratorium kryminalistycznego. Zatrzymał się obok vana lekarza sądowego. Technicy kryminalistyczni wyskoczyli tylnymi drzwiami, Clapper podszedł do ofiar i nie odrywał spojrzenia od wstrząsającego widoku.

— Człowiek się zastanawia — odezwał się głośno, nie zwracając się do nikogo w szczególności — czy Bóg nie odwrócił się całkiem od rodzaju ludzkiego.

Błysnęły flesze i zaczęto nakręcać wideo — ujęcia ciał, otwory strzałowe w samochodzie od zewnątrz i od wewnątrz. Zabezpieczono pociski na potrzeby śledztwa. Rozstawiono znaczniki i zrobiono szkice, sporządzono notatki.

Stałam z boku i przyglądałam się pracy ekipy techników, myśląc o Elaine Marone, która godzinę wcześniej robiła zakupy z mężem i malutkim dzieckiem, a teraz asystenci Claire zawijali dwa ciała w białe płótna, zasuwali zamki błyskawiczne dwóch worków. Nieodwracalny kres życia. Byłam zadowolona, że Francis Marone tego nie widzi i nie słyszy.

Znowu zaczęłam myśleć życzeniowo, licząc na to, że znalezione pociski dadzą się zidentyfikować i będziemy mieli jakiś dowód rzeczowy w tej krwawej jatce. Przerwał mi Conklin.

— Linds, musisz tu spojrzeć.

Podeszłam do minivana Marone'ów. Mój partner wskazywał palcem trzyliterowy „podpis” na przedniej szybie.

— To nie szminka — powiedział.

Rzuciłam światło latarki na litery i aż mnie zelektryzowało.

— To krew — potwierdził Conklin. — Namazał te litery ich krwią, umaczał w niej swój palec.

Jeden technik z ekipy Clappera zrobił szereg ujęć w zbliżeniu. Drugi pobrał z liter próbki krwi. Iskierka nadziei rozpalila się we mnie płomieniem.

Czy to możliwe?

Czy zabójca podpisujący się szminką zagubił się w swoim szaleństwie i zostawił dla nas, dla gliniarzy, krwawy odcisk palca?

Rozdział 42

O ósmej trzydzieści wieczorem cała nasza wataha — inspektorzy i ci z patroli — stłoczyła się w sali odpraw. Jackson Brady wsadził do naszego starego odtwarzacza kasetę wideo.

— Jeżeli ktoś zauważy cokolwiek, co umknęło mojej uwadze, niech krzyknie — zaapelował.

W dolnym prawym rogu czarno-białego ekranu pojawiła się nieostra sylwetka mężczyzny idącego wzdłuż centralnego pasa parkingowego w kierunku dodge'a caravana zaparkowanego blisko końca rzędu aut.

Obraz na ekranie skakał, ciemniał i momentami śnieżył — z winy słabego oświetlenia i taniej taśmy, setki razy kasowanej i nagrywanej. Mimo wszystko dało się śledzić ruch zabójcy. Tym razem też miał czapkę z daszkiem i dwubarwną kurtkę baseballową. Szedł z pochyloną głową, odwracał twarz od kamer monitorujących.

Brady komentował nagranie.

— Tutaj trzyma ręce w kieszeniach. Zbliżając się do vana pani Marone, coś do niej woła. Co? Pyta ją o godzinę? Prosi, by rozmieniła mu dwadzieścia dolarów? Tu widać, jak pani Marone

kładzie paczki na tylne siedzenie vana, zasuwa drzwi. Przechodzi na stronę kierowcy, rozmawiając przez komórkę z mężem.

Patrzyłam dalej na ekran. Zabójca zbliżał się do jeszcze żywej Elaine Marone. Usiłowałam coś wyczytać ze sposobu, w jaki się poruszał, z mowy ciała jego i jej. Wydawało się, że ją przeprasza, gdy podchodzi, a Elaine Marone nie wyglądała na zaniepokojoną.

Przypomniało mi się, co Brady mówił o facecie: „nie zwraca niczyjej uwagi”. Pomyślałam o najbardziej bezwzględnych seryjnych zabójcach — o takich robi się filmy — a każdy z tych psychopatów też wygląda zupełnie zwyczajnie.

— Patrzcie, teraz trzyma w ręku broń — mówił Brady. — To dziewięćmilimetrowa beretta. Z wyrafinowanym tłumikiem. A tu widać, jak pani Marone rzuca okiem na tylne siedzenie, po czym sięga po torebkę. To właśnie w tym momencie mówi: „Czego chcesz?”. Próbuje przekupić zabójcę, ale bez rezultatu. Niestety, toyota highlander przysłała kamerze dolne partie ich ciał, lecz sądząc po tym, w jaki sposób Elaine Marone schyliła głowę, myślę, że kopnęła napastnika. On wyrywa jej torebkę z ręki i wtedy pada pierwszy strzał. Ona przyciska rękę do klatki piersiowej, powyżej serca.

Brady kontynuował narrację, lecz ja skoncentrowałam się na tym, co sama widzę. Elaine Marone schwytła rękę, w której napastnik trzymał pistolet. On wolną ręką złapał ofiarę za nadgarstek, mocno ścisnął i się uwolnił. Stąd te zasinienia na ręku Elaine. Sekundę później ciało jej czterokrotnie zadrgało, a potem się osunęło, znikając z pola widzenia.

Zabójca otworzył tylne drzwi vana i oddał jeden strzał. I

zniknął z zasięgu kamery.

— Patrzcie — odezwał się Brady — mamy go znowu. Lewą ręką podtrzymuje w pasie ciało Elaine Marone, a w prawej ściska jej palec wskazujący, żeby złożyć nim podpis na szybie. Nie miała szminki przy sobie, więc musiał improwizować.

Poprosiłam Brady’ego, by cofnął taśmę, i bacznie przyjrzałam się, w jaki sposób morderca posłużył się ręką ofiary, wypisując jej krwią „DKP”. Z całą pewnością pisał jej palcem, a nie swoim, i do tego drań miał na dłoniach rękawiczki. Moja nadzieja na odciski palców umarła.

Brady kontynuował.

— Zostawił drzwi vana otwarte i ułożył ciała. A teraz mamy go tutaj, jak idzie w górę na piątą kondygnację, a tam kolejna kamera filmuje go, gdy wsiada do windy. To nagranie też mamy. Dziesięciosekundowe, widać od góry jego czapkę bez żadnego logo. I kolejne: wychodzi z parkingu na ulicę. Trzy minuty i czterdzieści sekund — zakończył Brady, wskazując pilotem na monitor i wyłączając go. — Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy wyciągnął broń, do momentu, gdy zniknął.

Rozdział 43

Siedzieliśmy na skórzanej kanapie w salonie i czekaliśmy na wiadomości o dziewiętnastej. Moje stopy spoczywały na kolanach Joego, Martha chrapała na dywanie koło nas. Byłam sfrustrowana i skrajnie zmęczona. Potrzebowałam snu, ale w mojej głowie się kłębiło.

— Wyobraź sobie, Joe, że jakaś kobieta przyszła dzisiaj do nas na Bryant. Opowiedziała Jacobiemu, że tego wieczoru, kiedy została zamordowana Kinski i jej dziecko, podszedł do niej przed Ferry Building jakiś mężczyzna. Powiedział, że się zgubił. Miał czapkę z daszkiem i granatowo-białą kurtkę baseballową.

— Brzmiała wiarygodnie?

— Jacobi mówił, że była roztrzęsiona, gryzła wargi niemal do krwi. Zeznała, że facet ją wystraszył. Gdy powiedziała, że nie może mu pomóc, i odjechała z wózkiem, wrzasnął coś o pieprzonym dniu. Jacobi pokazał jej kasetę z monitoringu. Uważa, że to może być ten człowiek.

— Dobra wiadomość, Linds. Masz kogoś, choć to nie świadek samego zdarzenia.

— Może to jest coś, ale facetów, którzy noszą takie kurtki, jest

wielu. A co powiesz na KDP, potem PKD, a teraz DKP? Uwielbiasz łamigłówki. Co ci to mówi?

— Nie ma sensu wymyślać czy przypominać sobie nazw, które mogą odpowiadać tym skrótom.

— Masz rację, to nie ma sensu. To są zmyłki. On się z nami bawi.

— Linds, chcę ci coś powiedzieć, bo zapomnę...

— Zaczyna się!... — krzyknęłam, chwytając pilota leżącego na stoliku do kawy i wzmacniając dźwięk, gdy na ekranie ukazała się znana twarz niezastąpionej prezenterki Andrei Costelli.

— Mamy dziś nowe informacje o podpisującym się szminką zabójcy. Został nagrany przez kamerę monitorującą na parkingu przy Union Square, gdy oddalał się z miejsca kolejnego straszliwego podwójnego zabójstwa — powiedziała.

Na ekranie pojawiło się dziesięciosekundowe wideo — zabójca wchodzi do windy, uderza w przycisk dłonią w rękawicze, stoi w jednym miejscu, patrząc pod nogi, a gdy drzwi windy się rozsuwają, wyparowuje.

— Anonimowy świadek opisał policji mordercę, udostępniono naszej stacji naszkicowany na tej podstawie portret — dodała jeszcze Costella. Na ekranie w miejsce nagrania z monitoringu pokazano szkic twarzy.

— No i co? — zapytałam Joego. — Przeciętniak. Nie widzisz koloru oczu ani koloru włosów. Regularne rysy twarzy. A dowody rzeczowe? Najzwyklejsze dziewięćmilimetrowe pociski, bardzo popularne. Ale nie mówi się widzom, że używa

superprofesjonalnego tłumika.

— Wygląda mi na to, że to wojskowy. Z oddziału do operacji specjalnych. Albo żołnierz kontraktowy. Nabył tłumik na czarnym rynku lub poza krajem.

— Mówisz, że to wojskowy. To ma sens. Ale co z tego, skoro w mieście mamy tysiące byłych wojskowych. Połowa z nich odpowiada opisowi tego gościa. A to co?! — zawołałam, gdy kolejne wideo pokazało się na ekranie.

Obserwowałam z otwartymi ustami niestabilny obraz z kamery reportera idącego za Claire. Nagrywał ją, gdy wychodziła z prosektorium, kierując się na parking na tyłach swojego biura. Dziennikarze zarzucali ją pytaniami o ofiary, pytali, czy ma coś do powiedzenia mieszkańcom San Francisco.

Claire szła odwrócona plecami do kamer, wsiadła do nowej toyoty prius z miną „spadajcie, sępy”. Włączyła silnik, więc pomyślałam, że już po wszystkim, ale nie, bo opuściła szybę, oparła łokieć o ramę i zwróciła twarz ku kamerom.

— Tak, mam coś do powiedzenia mieszkańcom San Francisco, ale nie mówię do was jako główny lekarz sądowy. Mówię jako żona i matka. Czy to jasne?

Rozbrzmiał chór potakiwań.

— Proszę was, wszystkie mamy, miejcie oczy otwarte. Nikomu nie ufajcie. Nie parkujcie w odosobnionych miejscach i nie podchodźcie do swojego samochodu, jeżeli nie ma w pobliżu innych ludzi. Oraz... nie żartuję... wyróbcie sobie pozwolenie na broń. I noście ją przy sobie.

Rozdział 44

Pete Gordon siedział w kuchni przy stole z czerwonym blatem z laminatu, patrzył w monitor laptopa, odwrócony był plecami do ganku, gdzie Sherry zabawiała braciszka pacynkami. Mały śmierdziel wrzeszczał z radości albo strachu, powód był dla Pete'a obojętny, bo i tak miał przez cały czas uczucie, że śrubokręt wkręca mu się w błonę bębenkową.

— Macie być cicho, Sherry! — wrzasnął przez ramię. — Bo jak nie, to za minutę przyjdę z pasem.

— Już będziemy cicho, tato.

Gordon powrócił do listu, który miał być czymś w rodzaju żądania okupu. Tak. Właśnie tak lubił o tej sprawie myśleć. Potrafił posługiwać się słowem pisanym, ale tym razem miał dać przekaz klarowny i niczym nie naprowadzić na trop swojej tożsamości.

Oto mój otwarty list do obywateli San Francisco — napisał. Mam Wam coś ważnego do przekazania.

Zastanowił się nad słowem „obywatele”, uznał je za zbyt oficjalne i zastąpił wyrazem „mieszkańcy”. Dużo lepiej.

Oto mój otwarty list do mieszkańców San Francisco. Zmienił

także kolejne zdanie i wpisał: *Mam dla Was propozycję*. Nagle rozległ się przejmujący wrzask z ganku, potem słyszał, jak Sherry ucisza małego i podchodzi do okna.

— Przepraszam, tato, nie bądź zły. Stevie nie rozumie.

Niemowlak darł się, wprost się zanosił i nie zamierzał przestać. Pete zacisnął pięści. Nienawidził tych dzieciaków i nienawidził życia, jakie teraz prowadził. Spójrzcie na mnie, panie i panowie, oto ja, kapitan Peter Gordon, były komandos, obecnie pomoc domowa w stopniu szeregowca.

Co za tragifarsa.

Jedyną przyjemność znajdował w realizowaniu swojego planu. Wyobrażaniu sobie, jak po unieszkodliwieniu Sherry i cuchnącej bomby pokaże księżniczce, kim naprawdę jest. Ile będzie miał satysfakcji. Nie mógł się doczekać, kiedy ją uciszy na dobre i nie będzie słuchał uprzykrzonego głosu: „Kochanie, nie zapomnij zabrać mleka sprzed drzwi i nie zapomnij wziąć leków, dobrze? Hej, przystojniaku, dałeś lunch dzieciom? Pościeliłeś łóżko? Wezwałeś faceta od kablówki?”.

Widział oczami wyobraźni pobladłą twarz Heidi w obramowaniu rudych włosów i jej wzrok, gdy dotrze do niej, co zrobił. I co zrobi z nią.

Hej, hej, Heidi. Pa, pa, pa, Heidi.

Część trzecia

Pułapka

Rozdział 45

Sarah Wells przykucnęła w krzewach ozdobnego żywopłotu oddzielającego od ulicy wielki dom w stylu Tudorów. W mroku jej ubranie wtapiało się w tło. Naszło ją retrospektywne wspomnienie skoku na dom Dowlingów — jak na trójwymiarowym filmie widziała siebie w ich garderobie, gdy się kochali w sypialni, potem przewracający się stolik z gadżetami, przez co o mały włos nie udałoby się jej uciec. I wreszcie pomyślała o najgorszym — zagrażającym jej oskarżeniu o morderstwo.

Zastanawiała się nad wycofaniem się z uwagi na ryzyko. Jednak rezydencja Morleyów była łakomym kąskiem.

Dwupiętrowy biały dom z wykuszami, ozdobiony ciemnymi belkami, był własnością Jima i Dorian Morleyów, właścicieli sieci sklepów sportowych rozlokowanych w górę i w dół Zachodniego Wybrzeża. Przeczytała o tej parze wszystko, co było dostępne w internecie, i obejrzała dziesiątki zdjęć. Dorian Morley lubiła epatować strojami i posiadała imponującą kolekcję biżuterii, którą się obwieszała.

Sarah sporządziła sobie nawet notatkę z wypowiedzi pani Morley, która chwaliła się dziennikarzowi „Chronicle”, że

uwielbia na co dzień nosić diamenty, „nawet chodząc po domu”.

Wyobraźcie sobie. Diamenty na co dzień.

Dlatego Sarah umieściła Morleyów na swojej roboczej liście, zrobiła kilka rundek w okolicy, żeby sprawdzić, jak wygląda tam ruch o dziewiątej wieczorem, i starannie wybrała miejsca do zaparkowania samochodu i na ewentualną kryjówkę. Podczas jednego z takich zwiadów na początku tygodnia widziała nawet Jima Morleya wychodzącego z domu i wsiadającego do mercedesa. Krępy i muskularny — o takim mawia się „kawał chłopa”.

Nie byłoby przyjemnie wpaść w jego ręce podczas wieczornego skoku. I nie wpadnie. Tego dnia Morleyowie urządzali w ogrodzie z tyłu domu festiwal muzyczny dla przyjaciół — „Big Chill”, jak go nazwali — z występami zespołu grającego rock and rolla z lat sześćdziesiątych. Słyszała początek występu, brzdąkanie elektrycznych gitar zniekształcone przez mikrofony.

Cudownie, zagłuszą wszystkie inne odgłosy.

Piętnaście minut wcześniej jeden z wynajętych parkingowych zaparkował samochód ostatnich gości dość daleko od domu i teraz przechadzał się z kumplem po ulicy. Słyszała ich stłumione śmiechy i czuła dym papierosowy.

Musiała się na to zdobyć. Podjęła ostateczną decyzję. Bardziej sprzyjających okoliczności być nie mogło.

Spojrzała na okno sypialni Morleyów i wzięwszy głęboki oddech, wyskoczyła spod osłony żywopłotu i przebiegła niecałe

dziesięć metrów pod budynek. Znalazłszy się tam, wykonała manewr podobny do wielokrotnie przećwiczonego w hali gimnastycznej. Paluch lewej stopy w butcie wspinaczkowym zaklinowała na desce sidingowej, prawą ręką chwyciła się rury spustowej biegnącej od rynny i tak zaczęła się wspinać do zewnętrznego parapetu.

W połowie pokonywania trzech metrów wzwyż obsunęła jej się lewa noga i Sarah, z walącym sercem, rozplaszczona na ścianie, zawisała całym ciężarem na prawej ręce, którą trzymała się rury spustowej. Przeraziła się, że ściągnie rynnę, robiąc straszny hałas, co skończy się krzykami i twardą ręką na jej plecach.

Zrezygnuj, Sarah. Wracaj do domu.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, gdy tak wisiała przyklejona do ściany.

Miała jednak wyrobione mięśnie ramion, ponieważ spędzała godziny, wisząc na drążku w drzwiach do garderoby, i za każdym razem wisiała tak długo, póki mięśnie nie odmówiły posłuszeństwa i palce nie puściły drążka — nigdy nie puszczała się wcześniej. Wzmacniała chwyt palców, ściskając gumową piłkę, gdy prowadziła samochód czy oglądała telewizję — w każdej wolnej chwili. Lecz sprawność fizyczna i determinacja to za mało, gdy światło księżyca nie pozwalało być niewidoczną.

Rozplaszczona na ścianie Sarah usłyszała, że za rogiem zatrzymuje się jakieś auto. Potem dobiegły głosy nadchodzących nowych gości. Odczekała, aż weszli do domu, i gdy uznała, że jest już bezpiecznie, zdecydowała się oderwać rękę od rury i sięgnąć

do parapetu. Gdy uczepiła się go obiema rękami, podciągnęła tułów w górę i zarzuciła nogę na parapet najdalej na zachód wysuniętego okna sypialni Morleyów.

Praktycznie już w niej była.

Rozdział 46

Przeturlała się przez parapet na dywan pod oknem.

W głowie gotowała się jej wysokooktanowa mieszanka euforii, niecierpliwości i strachu. Sarah spojrzała na zegar cyfrowy stojący na nocnej szafce przy ogromnym łóżu z baldachimem. Zanotowała w pamięci czas: była dwudziesta pierwsza czternaście. Przysięgła sobie, że gdy niebieskie cyfry pokażą dwudziestą pierwszą siedemnaście, jej już tu nie będzie.

Mrok w przestronnej sypialni rozpraszało światło wpadające z holu. Prześlizgnęła się wzrokiem po wnętrzu. Antyki z czasów królowej Anny, z klonowego drewna — zapewne częściowo odziedziczone i częściowo nabyte za pieniądze z handlu artykułami sportowymi. Koło łóża małe obrazy olejne, dalej stylowa szafa na ogromny ekran plazmowy, na ścianach zdjęcia liczego klanu Morleyów na jachtach. Teraz ściany drżały od rockandrollowych rytmów.

Sarah poczuła się jak w blokach, gotowa do startu. Przeszła przez długi, wyłożony dywanem pokój i zamknęła od wewnątrz drzwi do holu. Znalazła się w ciemności, w której migwały tylko niebieskie światełka cyfrowego budzika.

Było piętnaście po dziewiątej.

Idąc wzdłuż ściany, wymacała drzwi do garderoby, otworzyła je i włączyła swoją latarkę czołową. Garderoba wielkości dużego pokoju wyglądała fantastycznie i innej nie spodziewała się zobaczyć u bogatych Morleyów. Rzędy i rzędy wieszaków z ubraniami — jej z jednej strony, jego z drugiej — trójskrzydłowe lustro od podłogi do sufitu na tylnej ścianie, wszystko, co chciałoby się znaleźć w garderobie... poza sejfem. Gdzie on jest?

Pracowała szybko, przesuając wieczorowe suknie, obmacując ozdobne listwy podłogowe oraz półki, lecz miała poczucie, że przegrywa wyścig z czasem, buszując w tej cholernej garderobie.

Będzie musiała stąd wyjść. Z pustymi rękami.

Właśnie wyłączyła latarkę i wyszła z garderoby, gdy z korytarza dobiegły odgłosy mocnych stąpnięć na parkiecie. Ktoś zatrzymał się przy drzwiach do sypialni. Poruszył gałką w jedną i drugą stronę.

— Hej! Kto zamknął drzwi? — rozległ się męski głos.

Sarah zeszywniała. Czy ma się schować? Pobiec w ciemności do okna?

Mężczyzna odezwał się ponownie.

— To ja, Jim. Potrzebuję do toalety. — Rechetliwy śmiech świadczył, że Morley jest na rauszu. — Halo, kootku? Czy to ty? — Nadał głosowi wyższe, śpiewne brzmienie.

W Sarah zamarło serce. Jim Morley we własnej osobie dobijał się do drzwi swojej sypialni.

— Hej! Otwieraj!

Rozdział 47

Pobiegła do okna, nie zważając, czy potrąci jakiś przeklęty mebel. Miała już rękę na parapecie, kiedy otworzyły się drzwi i do sypialni wlało się światło. Morley wszedł do łazienki z sąsiedniego pokoju i jego masywna sylwetka, podświetlona z tyłu, wypełniła framugę drzwi.

— Czy jest tu kto?! — zawołał, po omacku szukając na ścianie kontaktu.

Umysł Sarah wykonał myślowe salto. Póki w sypialni było ciemno, ona widziała go dobrze, a on jej nie. Mogła to wygrać.

— Jim, czy mógłbyś nas zostawić samych?

— Laura? Laura, to ty? Chryste. Lauro i Jesse, przepraszam. Bawcie się do woli. Nie spieszcie się.

Drzwi do łazienki się zamknęły. Znowu zaległa ciemność. „Nie spieszcie się”, powiedział Morley, ale zaraz wróci do towarzystwa, zobaczy Laurę i Jesego i natychmiast włączy alarm.

Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia.

Postawiła już stopę na parapecie i nagle coś jej zaświtało w głowie. Kiedy biegła jak po swoje do garderoby, kątem oka

dostrzegła wyróżniający się jakoś obrazek pola z pszenicą. Tuż przy łóżku. Czy on nie trzymał się na zawiasach?

Trzydzieści sekund, nie więcej, lecz musiała to sprawdzić.

Do łoża z baldachimem trafiła, kierując się w stronę niebieskich cyferek na zegarze. Rzuciły wokół skąpy blask, ale to wystarczyło — obmacała ramy małego obrazka i pociągnęła go do siebie.

Niemal krzyknęła, gdy obrazek odskoczył na zawiasach. Za nim leżało metalowe pudełko z wiszącą otwartą kłódką. Szybkim ruchem wyciągnęła je ze ściany, położyła na łóżku i podniosła wieczko. Do skórzanej sakiewki, którą zabrała na łupy, zaczęła przerzucać małe saszetki i puzderka z biżuterią.

Kiedy sakiewka się zapełniła, Sarah zasunęła zamek błyskawiczny, a puste metalowe pudełko odłożyła na jego miejsce w ścianie.

Najwyższa pora uciekać!

Wyjrzała przez okno. Jakiś mężczyzna spacerował z rottweilerem. Zatrzymał się przy parkingowym, zagadał do niego, na szczęście poszedł dalej. Wskoczyła na parapet, odwróciła się twarzą do sypialni, przykucnęła. Położyła ręce między zgiętymi nogami i opuściła się w dół. Wparła się wspinaczkowymi butami w mur i odskoczyła.

Jedną stopą trafiła na dołek w trawniku i skrzyła nogę w kostce.

Stłumiła krzyk, zaciskając z bólu zęby. Pod osłoną chmur nachodzących na księżyc pokuśtykała do samochodu.

Rozdział 48

Gdy zobaczyła swojego czerwonego saturna, którego zaparkowała przy ulicy nieopodal domu Morleyów, poczuła taką ulgę, że prawie się rozplakała. Wsiadła, jednym ruchem ściągnęła z głowy obcisłą czapkę z dzianiny wraz z czołową latarką, potem rękawiczki. Jakoś upchnęła to wszystko do skórzanej sakiewki z biżuterią i wsunęła ją pod siedzenie pasażera.

Ściskając kierownicę, czując pulsujący ból w kostce, w kojącej ciemności nocy odtwarzała kolejne minuty pełnej napięcia eskapady.

To było nieprawdopodobne.

Jim Morley zawołał do niej: „Halo, kotku!”.

Otworzył drzwi łazienki i patrzył wprost na nią. I mimo wszystko nie została schwytana.

Jeszcze nie zostałam schwytana, przygasiła przedwczesną radość. Pod siedzeniem auta znajdowała się wystarczająca ilość dowodów rzeczowych, żeby dostać dwadzieścia lat odsiadki nawet bez oskarżenia o morderstwo.

Rozwichrzyła przyklapnięte włosy, włożyła niebieską

pikowaną bluzę, którą trzymała na tylnym siedzeniu, i włączyła silnik. Dojechała do Columbus Street i uważając pilnie na ograniczenia prędkości, jechała nią w kierunku Bay Street, przecinając przecznice Chestnut i Francisco. Rozmyślała podczas jazdy o tym, co wyniknie z jej sukcesów, a przede wszystkim zapragnęła zobaczyć się z Heidi.

Wyobraziła sobie scenę, kiedy odkrywa przed Heidi prawdę o sobie i zapewnia ją, że za ukradzione kosztowności kupi dla nich obu niezależność, być może na resztę życia, i ich wspólne fantazje, by stworzyć jedną rodzinę, staną się rzeczywistością.

Widziała w wyobraźni, jak Heidi klaszcze w dłonie i oplata ją ramionami, lecz tę wizję zakłócił jękliwy odgłos, odległy na razie, choć nieprzyjemny, ale gdy przeszedł w wycie, nie mogła go dłużej ignorować. Pulsujące, przenikliwe wycie dochodziło z tyłu, coraz głośniejsze. W lusterku wstecznym zobaczyła czerwone migacze.

Gliny.

Czyżby ją ścigali? Czy Jim Morley wezwał policję? Być może włączył alarm i to parkingowy namierzył ją, gdy kuśtykała ulicą. Jednak była pewna, że nikt za nią nie szedł do samochodu.

Więc co schrzaniła?

W głowie miała gonitwę myśli, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy zjeżdżała na pobocze. Wepchnęła sakiewkę głębiej pod siedzenie i patrząc w lusterko wsteczne, obserwowała nadjeżdżający radiowóz, który zahamował z tyłu.

Rozdział 49

Natychmiast musiała wymyślić jakieś alibi, ale szare komórki zawiodły. Była daleko od swojej dzielnicy i niewątpliwie sprawiała wrażenie osoby podejrzanej. Oblała się zimnym potem na widok otwierających się drzwi radiowozu, z którego wysiadł gliniarz w kapeluszu z rondem.

Ten kapelusz osłaniał jego oczy, ale widziała kwadratową szczękę, prosty nos i ani cienia uśmiechu na ustach. Wyglądał na służbistę, który nie stosuje taryfy ulgowej.

— Prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu, proszę.

— Tak, oczywiście — powiedziała i sięgnęła ręką do skrytki. Znalazła portfel na pliku map, ale ze spoconych z nerwów rąk wyslizgnęły się na podłogę karty kredytowe, między nimi prawo jazdy. Podniosła je i ponownie wsadziła nos do skrytki, żeby wyciągnąć dowód rejestracyjny. Jedno po drugim podała funkcjonariuszowi.

— Czy zrobiłam coś złego? Przekroczyłam prędkość?

Poświecił latarką na dokumenty i mówiąc, że za moment wróci, odszedł do radiowozu, żeby sprawdzić jej nazwisko w komputerze.

W lusterku wstecznym migają czerwone światła jego wozu. W głowie Sarah kołatała się spóźniona refleksja, że kradzież u Morleyów to najgłupsza rzecz, jaką w życiu popełniła. Oczami duszy widziała, jak gliniarz każe jej wyjść z auta i położyć ręce na masce. Jak potem bez trudu znajduje klejnoty Dorian Morley.

Upływały minuty, więc wyobrażenia podpowiadała jej dalej. Przyjeżdża więcej radiowozów, śmieją się z niej, że dała się przyłapać na gorącym uczynku. Potem będą ją przesłuchiwać, póki się nie przyzna — a przyzna się natychmiast, bo jak się wyłgać, gdy są takie dowody rzeczowe.

Ból w kostce był potworny, przyćmiewał zdolność myślenia, zaczęły się nudności.

Co z nią będzie? Co będzie z Heidi?

Uderzył ją w oczy snop światła — wrócił policjant. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej jej dokumenty.

— Ma pani stłuczony lewy reflektor. Proszę bezzwłocznie usunąć defekt.

Sarah przeproszała z takim poczuciem winy, że nawet w jej uszach zabrzmiało to kuriozalnie — gorąco przysięgała, że nie wiedziała o uszkodzeniu reflektora i że pojedzie do warsztatu. Na tym się skończyło. Gdy radiowóz ją minął, otworzyła drzwi auta i zwymiotowała na ulicę. Potem oparła czoło na kierownicy.

— Dzięki Ci, Boże — powiedziała na głos.

Wciąż trzęsły jej się ręce, gdy włączała stacyjkę i ruszała. Na Marina Boulevard spojrzała w stronę mostu Golden Gate, rozbłyskującego łańcuchem świateł. Naszyjnik świateł — dobry

znak. Wrócił jej optymizm i niemal wpadła w euforię.

Nie popełniła przecież żadnych kosztownych błędów. Dobrze odrobiła pracę domową u Morleyów — skok był na piątkę z plusem i bardzo przybliżył ją do celu. A teraz wpadła na genialny pomysł.

Jak tylko naprawi tylne światło, pojedzie do wdowy po Maurym Greenie. Złoży pani Green propozycję nie do odrzucenia — zaoferuje honorarium za skontaktowanie jej z innym paserem.

I jej myśli zaczęły krążyć wokół saszetek i pudełek z klejnotami Dorian Morley... noszonymi na co dzień. Nie mogła się doczekać, kiedy obejrzy, co zabrała z ich sejfu.

Rozdział 50

Otworzyła drzwi do niewielkiego apartamentu z jedną sypialnią, którą dzieliła ze swoim budzącym wstręt mężem brutalem. Zatrzymała się w małym holu, nasłuchując, i kiedy usłyszała chrapanie, zajrzała do salonu. „Terror” leżał rozwalony na skórzanym rozkładanym fotelu, spał w podkoszulku i szortach z rozsuniętym suwakiem, spod których wyzierały slipy...

Zmarszczyła nos, widząc na ekranie pieprzącą się w ciszy parę, prześlizgnęła się koło męża i wsunęła do sypialni. Zamknęła drzwi i cichutko przekręciła klucz.

Wreszcie poczuła się bezpiecznie, wciągnęła głęboko powietrze. Jednym szarpnięciem zaciągnęła zasłony i pstryknęła górne światło. Dopiero wtedy otworzyła sakiewkę i wytrząsnęła zawartość na łóżko.

Błyszczały jej oczy i z podniecenia spłycił się oddech, gdy otwierała małe pakieciki, uwalniając ich zawartość. Diamentowe naszyjniki wypływały z nich jak mieniące się strumyki. Dotykała czubkami palców każdej wysadzanej klejnotami bransoletki i broszki, każdego wisiorka i pierścionka, pełna podziwu dla własnego zuchwalstwa i jednocześnie oczarowana —

czegokolwiek dotknęła, było dziełem jubilerskiej sztuki.

Dorian Morley miała godny podziwu gust. Diamentowe naszyjniki były nowe, ale biżuteria antyczna wyglądała na indywidualną kolekcję. Sarah zastanawiała się, czy te skarby Dorian odziedziczyła, czy też zbierała sztuka po sztuce.

Po raz pierwszy, od kiedy kradła, Sarah miała pewność, że kobieta, która posiadała te klejnoty, wpadnie w skrajną rozpacz, gdy odkryje stratę.

To były z punktu widzenia złodzieja klejnotów bezsensowne myśli, więc szybko je wyparła. Tacy jak Morleyowie mają polisy ubezpieczeniowe i kasę, a ona i Heidi nie tylko żadnych funduszy, ale też nikogo, kto by je w razie czego uratował z opresji. Mogą liczyć tylko na siebie, a tymczasem i dla jednej, i dla drugiej każdy dzień pod jednym dachem z mężem stanowił poważne ryzyko.

Powkładała z powrotem biżuterię w te same opakowania, w których były, i otworzyła dolną szufladę komody. Odsunęła T-shirty i dresowe spodnie na bok, podniosła cienką deseczkę fałszywego dna i wrzuciła torbę ze sprzętem.

Jeszcze nie chowała klejnotów pani Morley, bo uległa impulsowi... musiała zobaczyć tamtą rzecz. Wsunęła rękę w prawy tylny róg tajnego schowka i wymacała małe skórzane pudełeczko z zaokrąglonym wieczkiem.

Mieściło się idealnie w jej zamkniętej dłoni. Otworzyła wieczko i nie mogła oderwać oczu od cudownego pierścionka Casey Dowling. Mienił się w świetle lampy, jakby był żywy.

Żółty kamień. Bajeczny klejnot.

Rozdział 51

Conklin zaparkował nasz wóz patrolowy przed rezydencją w stylu Tudorów na Russian Hill.

— Co za zbieg okoliczności — mruknął. — Tej samej nocy Kot Dachowiec robi skok i zabójca psychopata atakuje Elaine Marone i jej dziecko.

— Rich, czy wiesz, kiedy otwierają mi się oczy? Po trzech godzinach snu dochodzę do wniosku, że już tego za wiele, że ta robota mnie wykańcza i powinnam ją rzucić, zanim mnie zabije. I wtedy zadaję sobie pytanie, co, do cholery, będę potem robić.

— Kiedy mnie nachodzą podobne wątpliwości, myślę o otwarciu na Martynice sklepu ze sprzętem do nurkowania.

— To bądź miły dla Morleyów. Prawdopodobnie będą mogli ci pomóc.

Conklin stłumił śmiech, bo otworzyły się masywne drzwi wejściowe. Stała w nich Dorian Morley, wysoka kobieta około czterdziestki, atrakcyjna, ubrana w tunikę w kwiatowy wzór i czarne spodnie, brązowe włosy miała upięte wysoko kłamrą. Z przekrwionymi oczami wyglądała na kompletnie roztrzęsioną. Zaprosiła nas do kuchni — ogromnej, dobrze oświetlonej, z

blatami ze szkła w kolorze morskiej zieleni i całą resztą ze stali nierdzewnej. Jej mąż siedział przy stole z kubkiem kawy w muskularnej ręce. Wstał, pani Morley nas przedstawiła.

— Czuję się jak dupek — powiedział, gdy usiedliśmy. — Drzwi do sypialni były zamknięte od wewnątrz. To mnie zdziwiło. Zawołałem: „Halooo, koootku, czy to ty?!”. — Zasłonił ręką usta, zakrztusił się lekko, pokręcił głową. — Dlaczego człowiekowi nie przychodzi do głowy, że i jemu może przydarzyć się coś złego?

Morley opowiadał dalej, że poszedł do pokoju gościnnego i tamtędy dostał się do łazienki.

— Widział pan tę osobę? — zapytałam z nadzieją, choć bez wiary.

— Nie, w sypialni nie było światła, tylko ją słyszałem. Powiedziała, że ma prośbę... zależało jej na chwili prywatności i dlatego pomyślałem, że to zaprzyjaźniona z nami Laura Chenoweth. Ona i jej mąż przechodzą trudny okres w małżeństwie, i uznałem, że się... godzą, rozumiecie... na osobności... No a gazety wciąż piszą o Kocie Dachowcu jak o mężczyźnie, tak?

Byłam zszokowana nową informacją.

Jeżeli Dachowiec był kobietą, mieliśmy pierwszą wskazówkę. Mocno niekonkretną, ale jednak coś.

— Rzuciłam biżuterię, którą nosiłam wieczorem, na komodę — zeznawała Dorian Morley. — Nie wiedziałam, że nas obrabowano, dopóki nie podeszłam do sejf, żeby ją schować.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cichutko płakać.

— Wiele kosztowności należało do mamy Dorian. Niektóre do jej babki. Jakie są szanse na ich odzyskanie? — zapytał Morley.

Nadal byłam oszołomiona nowiną, że nasz nocny złodziej jest kobietą. Słuchałam jednym uchem, jak Conklin mówi Morleyom, iż żadna biżuteria z poprzednich kradzieży Dachowca nie wypłynęła na rynku.

Dorian Morley podniosła na to głowę.

— Nie chodzi o moje klejnoty, Jim. Chodzi o przerażający fakt, że morderca dostał się do naszego domu. Do naszej sypialni. Co by było, gdybyś nie odszedł, tylko usiłował ją powstrzymać? Mój Boże, Jim, ona mogła cię zastrzelić!

Rozdział 52

Wezwanie do gabinetu Tracchia to za każdym razem swoista przygoda. Nigdy nie wiadomo, czy dostaniesz piątkę z plusem, czy cię zetrze na proch.

Weszliśmy w trójkę — Jacobi, Chi i ja — i usiedliśmy wokół mahoniowego biurka, gapiąc się na Tracchia, który jedną ręką przyglądał zaczesane na łysinę pasmo włosów, w drugiej trzymał słuchawkę. Odłożył ją. Nie mogę powiedzieć, że go nie lubię, ale zawsze mam w pamięci, że to biurokrata, który wykonuje robotę, jaką tylko prawdziwy gliniarz wykonywać powinien.

— Burmistrz łączy się ze mną szybkim wybieraniem — mówił, nie przerywając, gdy sekretarka przyniosła mu filiżankę gorącej herbaty. — Znalazłem się na liście jego „faworytów”... rozumiecie, co to znaczy... jako jeden z pięciu. Dzisiaj rano udało mi się zostać numerem jeden. Po tym, jak to zobaczył...

Pomachał „Chronicle” ze zdjęciem Claire, wychylającej się z okna samochodu — widniało pod nagłówkiem: „Kupujcie broń”.

Zaczerwieniłam się z wrażenia, zarówno z lęku o przyjaciółkę, jak i zażenowana jej występem.

— To powiedział ktoś z nas. — Tracchio podniósł głos. — Nakazał naszym obywatelom noszenie broni, a burmistrz mówi, że my wszyscy, nie wyłączając ciebie, ciebie, a zwłaszcza ciebie — wymierzył tłustym paluchem w Jacobiego — nie odróżniamy własnych dupsk od placków drożdżowych.

Jacobi poderwał się w proteście z krzesła, ale Tracchio machnięciem ręki go usadził.

— Nic nie mów, Jacobi. Nie jestem w nastroju. Mam wam do pokazania coś jeszcze.

Otworzył leżącą na biurku teczkę, wyjął z niej jednostronnie zadrukowaną gazetową szpalte i pchnął ją po blacie w naszym kierunku.

— To się ukaże w jutrzejszym wydaniu „Chronicle”. Wydawca przesłał wydruk próbny gazety do burmistrza, a ten udostępnił go szerzej.

Przeczytałam nagłówek: „List otwarty do mieszkańców San Francisco”. Tracchio pochylił się nad biurkiem i krzyknął: — Czytaj, Boxer! Czytaj na głos.

— „List otwarty do mieszkańców San Francisco” — zaczęłam posłusznie czytać. — „Mam dla Was propozycję. Bardzo ucziwą. Chcę dwóch milionów dolarów w gotówce i wskazania osoby do kontaktu, której będę mógł zaufać. Gdy dostanę pieniądze, wyjadę z San Francisco na zawsze i ustaną zabójstwa kobiet i dzieci. Oczekuję odpowiedzi w mediach i wtedy wypracujemy szczegóły. Miłego dnia”. — Gdy skończyłam, dodałam od siebie: — Nie ma podpisu, ale wiemy, kto jest autorem.

Mało mi w głowie nie eksplodowało, pomysł był szatański.

— Panie komendancie, chyba nie rozważa pan na poważnie okupu dla tego psychopaty? — zapytałam Tracchia.

— Nie z naszego budżetu, ale w ogóle tak... już zgłosił się jeden z obywateli z kasą.

— Szefie, nie możemy pozwolić na to, żeby ktokolwiek płacił mordercy. To wskazanie drogi każdemu szaleńcowi z bronią i chorymi pomysłami...

— Ona ma rację — poparł mnie Jacobi. — Nie muszę ci tego mówić, Tony. Ulec mu to najgorsza rzecz, jaką możemy zrobić.

Tracchio pochylił się nad biurkiem i trzasnął otwartą dłonią w wydruk.

— Posłuchajcie mnie, wy troje. Kilka niewinnych osób zastrzelono w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Czterdziestoosobowy zespół mężczyzn i kobiet pracuje nad tą sprawą dwadzieścia cztery godziny na dobę i nic nie mamy. Kompletnie nic. A główny lekarz sądowy zachęca ludzi do ucieczki. Więc jaki mam wybór? Żadnego. Ten list się ukaże jutro — mówił komendant, patrząc po kolei na każdego z nas. — Nie mogę wstrzymać publikacji. Zatem wymyślcie sposób na schwytanie tego psychola. Zorganizujcie zasadzkę. Jak to zrobicie, wasza sprawa. Wiem, że to trudne. Po to jesteśmy w tej robocie. A teraz potrzebuję wolnego gabinetu. Muszę zadzwonić do burmistrza.

Rozdział 53

Biegliśmy w dół po schodach, nie odzywając się do siebie, wszyscy troje przetrawialiśmy upokorzenie. Dostaliśmy wycisk od Tracchia, ale gorsze było to, że miasto stało się zakładnikiem psychopaty. A Tracchio znalazł się w sytuacji na tyle krytycznej, że zamierzał ulec terroryście.

Najwyraźniej sprawa toczyła się już tym torem. Ktoś z bliskiego otoczenia burmistrza zgłosił się z ofertą wyłożenia dwóch milionów dolarów dla Szminkowego Zabójcy, zanim jeszcze list tegoż został opublikowany. To była irracjonalna, całkowicie magiczna wiara w to, że zabójca po otrzymaniu dwóch milionów dolarów wyniesie się z miasta. A nawet gdyby, to dokąd się uda? I co będzie robił w tym nowym miejscu? A ilu szaleńców zainspiruje do popełniania zbrodni z perspektywą okupu?

Kiedy wkroczyliśmy do sali odpraw, wszystkie oczy zwróciły się na nas, a milczące pytanie zawisło w powietrzu niczym chmura burzowa:

Co powiedział szef?

Jacobi zatrzymał się u wejścia.

— Szminkowy Zabójca chce dwa miliony dolarów w zamian za zaprzestanie mordów — wyszczeniwał z wściekłością kolejne słowa do sześciu mężczyzn neodrywających od niego wzroku. — Szef nakazuje zorganizowanie zasadzki.

Rozbrzmiały głośnie prychnięcia i komentarze — z chmury burzowej lunął deszcz.

— Dość! — krzyknął Jacobi. — Boxer przejmuje odpowiedzialność. I mam być informowany na bieżąco, pani porucznik. Co godzinę. Co do minuty.

Usiadłam przy biurku naprzeciwko Conklina, Chi przyciągnął dla siebie krzesło. Opowiadałam Conklinowi, jak Tracchio nas obsztorcował, i jednocześnie łączyłam się z Henrym Tylerem. Przebrnęłam przez menu do sekretarki Tylera i utknęłam na linii, słuchając melodyjki „grania na czekanie”.

Henry Tyler to wpływowy człowiek, zastępca redaktora naczelnego „San Francisco Chronicle”. Jego córka, Madison, została jakiś czas temu porwana — słodka, nad wiek rozwinięta dziewczynka, z wyjątkowym talentem muzycznym.

Dzięki Conklinowi i mnie Madison Tyler nie została znaleziona w rowie — gra na pianinie, chodzi do szkoły, baraszkuje ze swoim pieskiem.

Tyler i jego żona byli oczywiście niewymownie nam wdzięczni za uratowanie Madison, Tyler zapewniał, że ma wobec mnie i Conklina ogromne zobowiązanie. Miałam nadzieję, że nie zapomni obietnicy — po chwili usłyszałam jego głos w słuchawce.

Rozdział 54

— Dzień dobry, panie Tyler — powiedziałam, wywołując w pamięci obraz wysokiego, szpakowatego mężczyzny. Ostatni raz widziałam go w parku z małą córeczką. Roześmianego.

— Prosiłem, żebyś mówiła do mnie Henry. Spodziewałem się twojego telefonu. Przykre tylko, że mamy rozmawiać o tym facecie.

— Jesteśmy zadowoleni, że się odezwał. To dla nas szansa, pod warunkiem że będziemy mieli dość czasu na opracowanie planu. Czy mógłbyś wziąć go na przetrzymanie? Mógłbyś nie publikować tego listu jutro, dając nam jeszcze jeden dzień?

— Jakże mogę pozwolić sobie na coś takiego? Jeżeli nie puszczę tego listu, a on zabije kolejne osoby, wina spadnie na mnie... Boże, nie potrafiłbym żyć z czymś takim. Ale słuchaj, Lindsay, mogę mieć dla niego pieniądze. Liczę na to, że będziesz pośrednikiem między nim a nami.

— A więc to ty chcesz mu zapłacić dwa miliony dolarów?

— Jakkolwiek na to patrzeć, kwota nie jest duża — powiedział Tyler. — Mógł zażądać pięć razy tyle i też warto byłoby mu zapłacić. Będzie zabijał dzieci i ich matki, jeżeli nie damy mu,

czego chce... to jasne. Jestem pewien, że od początku miał tę forszę w głowie.

Byłam zaskoczona tym, co mówił Tyler. Zdziwiło mnie, że chce przekupywać mordercę, ale jeszcze bardziej zdumiała mnie jego konkluzja: że Szminkowemu Zabójcy przez cały czas chodziło jedynie o pieniądze.

— Henry, niepokoi mnie to, że przekazanie mu okupu nie powstrzyma go od zabijania, a jedynie zachęci innych do podobnych szantaży.

— Rozumiem, o co chodzi, Lindsay. Musimy go jakoś przechytryć. Dlatego chcę z tobą współpracować.

Dokuczał mi ból głowy, który zogniskował się między oczami. Znałam się na policyjnej robocie, to wszystko. Nie przenikałam wzrokiem ścian ani nie prześwietlałam mózgow psychopatów. Pochlebiała mi wiara Henry’ego Tylera w moje możliwości unieszkodliwienia Szminkowego Zabójcy, ale ten akurat morderca był bardzo szczywany — zbyt szczywany, żeby dać się nabrać na klasyczną sztuczkę: odbierać walizkę z pieniędzmi, gdy w pobliżu czatuje van z policjantami.

Najbardziej prawdopodobny był najczarniejszy scenariusz: morderca podejmuje pieniądze; morderca się wymyka; morderca dalej morduje. I staje się wzorem do naśladowania dla innych terrorystów amatorów w kraju. Nie ma aż tylu policjantów w Ameryce, żeby walczyć z plagą czubków zabijających dla pieniędzy.

— Muszę się upewnić, że cię dobrze rozumiem —

powiedziałam. — Nie kontaktowałeś się jeszcze ze Szminkowym Zabójcą, czy tak? Nie wie, że masz zamiar przekazać mu pieniądze?

— Nie, nic nie wie o mnie i moich zamiarach. Zapłacił za zamieszczenie swojego listu i będzie czekał na odpowiedź w gazecie. Mogę się wstrzymać, przygotować pieniądze oraz tekst i puścić go w gazecie pojutrze.

— Czyli mamy dwa dni.

— Tak, tak by to wyglądało.

— Masz więc od jutra jeszcze jedną sekretarkę. Będę do twojej dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Rozdział 55

W pokoiku z ekspresem do kawy czekał stos pączków. Ruszyłam tam. Od prawie dwóch tygodni nie zjadłam uczciwego posiłku i nie zdarzyło mi się spać jednym ciągiem więcej niż pięć godzin. Do tego zero gimnastyki, chyba że uwzględnić nieustającą gonitwę myśli jak w kołowrotku dla chomika — przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Posłodziłam kawę, wróciłam do naszej hali i zobaczyłam Cindy przy moim biurku i na moim krześle — mizdrzyła się do Conklina, potrząsając blond lokami.

— Cześć, Linds. — Wstała, by mnie uściskać.

— Cześć, Cindy. — Odwzajemniłam uścisk może ciut za mocno. — Rich i ja mamy coś dla ciebie... nieoficjalnie.

— Że Kot Dachowiec to kobieta?

Spojrzałam na partnera, wzruszył ramionami.

— To nie jest wiadomość do publikacji — zastrzegłam i szybko klapnęłam na swoje krzesło, z satysfakcją patrząc, jak Cindy przyciąga inne dla siebie. Ułożyłam pączki na serwetce papierowej, a kubek z kawą postawiłam na teczce z

dokumentami.

— Sporządziłam tę listę facetów z rubryki towarzyskiej, którzy potrafią wspinać się po ścianach — mówiła Cindy, wyciągając kartkę z pokrowca z laptopem. — Otóż księżę Edgerton, William Burke Ruffalo i Peter Carothers to alpiści. Byli na czele mojej listy gwiazd, ale teraz okazuje się, że mają niewłaściwą płeć, czy tak? Bo Dachowiec to dziewczynka.

— Nie wiemy, czy ta kobieta w domu Morleyów to Dachowiec, czy nieznana gospodarzowi dama spośród gości — powiedziałam do Cindy. — Nie szalej i nie dawaj do druku szkodzącego sprawie newsu.

— Hmm...

— Wysłuchaj mnie, Cindy, nie będziemy w stanie zweryfikować telefonicznej nawałnicy, jeżeli opublikujecie, że Dachowiec to kobieta.

— U Morleya było wczoraj pięćdziesiąt osób — polemizowała ze mną Cindy. — Uważasz, że nic nie poszło w świat?

— Jest różnica między pogłoskami a informacją potwierdzoną przez policję. Wiesz o tym doskonale.

Roześmiała się.

— No dobrze, a jeżeli napiszę tak: „Źródła bliskie policji zdradziły naszej gazecie, że pojawiła się nowa informacja, która może doprowadzić do ustalenia tożsamości nocnego złodzieja, znanego jako Kot Dachowiec”?

— Okay — zgodziłam się. — Tyle możesz napisać. A jeszcze

jedno... nie wiem, czy szef ci powiedział...

— Henry? Jasne, że powiedział. Gorący dzień się szykuje, co? List Szminkowego Zabójcy pójdzie na pierwszą stronę.

— Cóż, widzę, że jesteś ze wszystkim na bieżąco. Masz coś jeszcze, Cindy, kochanie?

— Lecę zrobić wywiad z Morleyami, z Dorian i Jimem. Z góry was uprzedzam.

— Dziękujemy — powiedział Conklin.

— Idźże już — dorzuciłam. — I baw się dobrze.

— Jesteś zła na mnie?

— Skądże. Dzięki za listę wspinaczy. — Przyłożyłam kciuk do nosa i pomachałam jej palcami na pożegnanie.

— Pa, do zobaczenia — zaświergoliła do Conklina. Odwróciłam głowę, gdy czule dotknęła jego policzka i go pocałowała. Kiedy Złotowłosa sobie poszła, przestawiłam kubek z kawą, otworzyłam teczkę i rozłożyłam na biurku zdjęcia ciała Elaine Marone i jej córeczki Lily.

— Wracajmy do pracy — rzuciłam do Conklina. — Co masz do powiedzenia?

Każde moje słowo było ostre i zimne jak sopelek lodu.

Rozdział 56

— Niczego nie chlapnąłem — powiedział.

— Nieważne — burknęłam. Miałam wrażenie, że kręcę się w błędnym kole. Kot Dachowiec. Szminkowy Zabójca. Kot Dachowiec...

Szminkowy Zabójca spycha wszystko w cień.

— Nawet słowem nie pisałem jej niczego na temat Morleyów.

— Wierzę ci. Ale mleko się rozlało. Cindy opublikuje opowieść o kobiecie Dachowcu i znowu nasze linie telefoniczne zostaną zablokowane przez dzwoniących.

— Cindy dotarła do kogoś ze znajomych Morleyów. Sama sobie poradziła.

— Czy możemy przystąpić do pracy?

Nie chciałam uwierzyć w to, że Conklin nie przekazał jej najświeższej informacji, ale mu uwierzyłam. Wierzę mu. Jest uczciwy. Jest moim partnerem z patrolu od ponad roku i w ciągu tego czasu więcej niż raz moje życie było w jego rękach, a jego w moich.

Przemknęły mi przez głowę sceny interwencji naszego patrolu: wybuchy bomb i pożary, wymiana strzałów z młodocianymi bandytami, kiedy się nawzajem osłanialiśmy.

Jako partnerzy byliśmy ze sobą organicznie związani i było „jeszcze coś”, jak o tym mówiła Claire.

Wciąż między nami iskrzyło i nigdy tego nie rozładowaliśmy. Pamiętam, jak tarzaliśmy się kiedyś półnaczy na hotelowym łóżku, co udało mi się przerwać, zanim byłoby za późno. Były wyznania uczuć. Przysiężenia, że więcej ich nie będzie, że nie wyjdziemy poza kontakty służbowe, że to najlepsze i jedyne rozwiązanie.

Teraz Rich zaangażował się bez reszty w romans z Cindy. Pewnie dlatego przyjąłem postawę rygorystki. I dlatego, że kochałam Joego. Bardzo go kochałam, a Cindy i Rich stanowili idealnie dobraną parę.

Z porcji pączków wybrałam jednego z nadzieniem czekoladowym i podałam go Conklinowi.

— O! Czekoladowy. Dla mnie?

— Przepraszam cię. Nie radzę sobie z emocjami. Nie potrafię.

— Pozwól sobie na trochę dystansu, Linds, okay?

— Próbuję.

Conklin wstał, przeszedł na moją stronę naszych razem zestawionych biurek i usiadł na krześle, które zwolniła Cindy.

— Czy jesteś pewna uczucia do Joego? — zapytał.

Znowu mnie zahipnotyzował. Na pół sekundy. Jego przystojna

twarz tak na mnie działała, także ten jego zapach. Wszystko jedno, jakiego mydła używał.

— Jestem pewna. — Uciekłam ze wzrokiem.

— To ten jedyny?

Kiwnęłam głową.

— Ten jedyny.

Poczułam wargi Conklina na policzku. Znajdowaliśmy się w sali odpraw, a gest był zdecydowanie nieregulaminowy, ale nie przejmowałam się, że ktoś może to widzieć.

— Czyli jest dobrze.

Wrócił na swoje krzesło i położył nogi na biurku.

— Jaką różnicę robi fakt, że Dachowiec jest kobietą? Dlaczego miałyby strzelać do Casey Dowling? — spytał.

Rozdział 57

Zaczynała się przerwa na lunch i Sarah pierwsza wyszła z budynku. Gdy Heidi weszła do jadalni, zastała ją w boksie koło okna.

Od wejścia Heidi śmiała się i machała ręką, potem wsunęła się głębiej na kanapę z skóry, żeby siedzieć tuż przy Sarah i móc trzymać ją za rękę. Szybko pocałowała Sarah i zerknęła przez ramię, czy przypadkiem nie znaleźli się tu inni nauczyciele.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochana — powiedziała Sarah. — Jesteś ponętą trzydziestolatką.

Heidi się zaśmiała.

— Nie czuję się inaczej, niż gdy miałam dwadzieścia dziewięć. A myślałam, że poczuję różnicę.

Wybrały z karty tosty z indykiem i szybko je zjadły, gdyż południowa przerwa była krótka, a miały o czym rozmawiać.

— Gdybyśmy naprawdę mogły być razem, nie bojąc się, że nas wywalą z pracy, i gdybyśmy nie żyły w strachu przed Terrorem i Bestią... czy coś by się między nami zmieniło, jak myślisz? — ni stąd, ni zowąd spytała Heidi.

— Pytasz, czy mniej by nam na sobie zależało, gdybyśmy

czuły się bezpiecznie?

— Właśnie.

— Uważam, że byłoby lepiej. I będzie lepiej. Obiecuję. Patrz, Heidi...

Trzy kelnerki wyszły z kuchni, idąca przodem niosła tort z trzydziestoma zapalonymi miniświeczkami, które osłaniała wolną dłonią. Stały przy ich stoliku i zaśpiewały *Sto lat*.

Rozbrzmiały oklaski wzdłuż ciągu stolików. Heidi spojrzała na Sarah, ścisnęła ją za rękę i zdmuchnęła trzydzieści świeczek przy pierwszej próbie.

— Nie musisz mi mówić, jakie miałaś życzenie — powiedziała Sarah.

— Jasne. Znasz je.

Uściskały się, a Sarah poczuła przyspieszone bicie serca na myśl o prezencie, który miała schowany w kieszeni dzinsów.

— Mam coś dla ukochanej jubilatki — powiedziała. Wydobyła z kieszeni pakiecik tak malutki, że mogło się w nim znajdować tylko coś cennego. Heidi rzuciła jej szelmowskie spojrzenie, odwinęła srebrny papier, odsłaniając małe skórzane pudełeczko z zaokrąglonym wieczkiem.

— Nie śmiem odgadywać, co to jest.

— Więc zobacz.

Trzymając pudełeczko na dłoni, Heidi podniosła wieczko i wyjęła łańcuszek z wisiorkiem... cudownie żółtym, pięknie szlifowanym kamieniem. Wydała okrzyk zachwytu i rzuciła się

Sarah na szyję, prosząc, by pomogła jej to cudo założyć.

Sarah promieniała. Odsunęła miękkie rude włosy Heidi z jej karku i zapięła łańcuszek. Właściciel kramiku ze sztuczną biżuterią w dzielnicy Fisherman's Wharf sprawił się znakomicie, osadzając kamień w nowej oprawie, nie zadając żadnych pytań ani nawet nie patrząc na Sarah, gdy przyjmował dwadzieścia dolarów za usługę.

— Jest zachwycający. Najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Jaki to kamień, Sarah?

— Cytryn, ale myślę o nim jak o kamieniu nadziei.

Heidi spojrzała głęboko w oczy Sarah i pokiwała głową.

Sarah dotknęła klejnotu tak uroczo zwisającego u szyi Heidi i postanowiła w tym momencie, że zrobi jeszcze tylko jeden skok ze swojej listy, że zaraz potem skontaktuje się z paserem i że niezwłocznie wywiezie Heidi oraz Sherry i Simona z San Francisco, aby im obydwu i dzieciom przestało towarzyszyć na co dzień uczucie strachu.

Rozdział 58

Po opublikowaniu w „Chronicle” adresowanej do Szminkowego Zabójcy odpowiedzi na jego list z żądaniem okupu cała planeta zwolniła i wszystkie oczy zwróciły się na San Francisco. Przed Hall of Justice i siedzibą „Chronicle” pojawiły się wszelkiego rodzaju i zasięgu media — dziennikarze siedzieli w wozach satelitarnych i biegali z kamerami, zajmując linie telefoniczne Tylera prośbami o wywiad, zaczepiając na ulicy policjantów i pracowników gazety. A do tego kto tylko miał pogląd na sprawę i komputer, wysyłał e-maile do wydawcy gazety — nawet dzieci.

Odmawiano wywiadów, a burmistrz zaapelował do prasy w słowach: „Pozwólcie nam zajmować się tym, co do nas należy. Pełną informację podamy po fakcie”.

...

Rich, Conklin, Cappy McNeil i ja zapaściliśmy korzenie w redakcji „Chronicle”, obarczeni zadaniem wyłowienia spośród pocztowych śmieci jednej rzeczy istotnej: odpowiedzi zabójcy z instrukcją, jak przekazać mu dwa miliony dolarów — okup naznaczony ludzką krwią — w zamian za opuszczenie przez niego San Francisco.

Znajdowaliśmy się w stresującej sytuacji, praktycznie niedającej szans na wygraną — mogła się zmienić na naszą korzyść tylko pod warunkiem, że uda nam się schwycić mordercę w zasadzkę. Plan był prosty: „podążać śladem walizki z pieniędzmi”.

O drugiej piętnaście po południu na piętro dyrekcji przyjechał wózek z pocztą, a w nim szara pękata koperta zaadresowana do H. Tylera. Nałożyłam lateksowe rękawiczki i przepytalam chłopaka rozwożącego pocztę.

— Kto to dostarczył?

— Hal z firmy Speedy Transit. Znam go.

— Podpisałeś odbiór?

— Osiem do dziesięciu minut temu.

— Jak się nazywasz?

— Dave Hopkins.

Kazałam Hopkinsowi odszukać w którymś z boksów sali biurowej inspektora McNeila, wysokiego faceta w brązowej kurtce, i przekazać mu, że ma natychmiast przesłuchać owego Hala. Zawołałam Conklina, który wyłonił się z boksu naprzeciwko, i zabrałam go do gabinetu Tylera.

— Henry, mam to w ręku. A być może to jest listowna bomba.

— Pokazałam kopertę Tylerowi.

— Chcesz to wrzucić do sedesu czy otworzyć?

Spojrzałam na Conklina.

— Mnie szczęście dopisuje — powiedział.

Położyłam przesyłkę na środku skórzanego blatu biurka Tylera. Przyglądaliśmy się kopercie z nazwiskiem Tylera i napisem „Pilne”, nakreślonymi dużymi czarnymi literami. W miejscu na adres zwrotny widniały trzy czerwone litery: KDP.

Mieliśmy w formie wydruku kopię specyficznego podpisu mordercy, więc właściwie nie miałam wątpliwości, że ta poczta jest od niego. Tyler wziął do ręki nożyk do listów i rozciął kopertę. Ostrożnie nią potrząsnął — dwie rzeczy wyslizgnęły się z niej na biurko.

Pierwsza to telefon komórkowy. Model na kartę, nie większy niż kostka mydła do rąk, do niego paski do zawieszenia na szyi, obręcz na głowę ze słuchawkami dousznymi, mikrofon pod brodę i wbudowana kamera.

Druga to standardowa biała koperta zaadresowana: „H. Tyler”. Otworzyłam ją i wysunęłam złożoną białą kartkę. Wiadomość była napisana na komputerze i wydrukowana na drukarce atramentowej. Krótki tekst:

Tyler, zadzwoń do mnie z tego telefonu.

Pod nim numer telefonu i trzy litery: KDP.

Rozdział 59

— Czy możecie namierzyć i podsłuchiwać rozmowę prowadzoną z telefonu na kartę? — spytał Tyler.

Pokręciłam głową.

— To nie takie proste. Nie ma nadajnika GPS, więc również nie można śledzić jego lokalizacji.

Tyler wziął do ręki komórkę i wybrał podany numer. Stałam obok i przyłożyłam ucho do jego ucha. Po sygnale odezwał się męski głos: — Tyler?

— Tak, tu Henry Tyler. Z kim mówię?

— Czy masz, o co proszę?

— Tak, mam.

— Włącz w komórce kamerę. Pokaż pieniądze.

Henry podniósł na biurko aluminiową walizeczkę, otworzył zatrzaski i skierował telefon na dwa miliony dolarów w obanderolowanych paczkach. Pstryknął zdjęcie.

— Masz zdjęcie? — zapytał.

— Tak. Proszę, żebyś wybrał osobę pośredniczącą.

— Ja będę twoim kontaktem — powiedział Tyler.

— Jesteś za bardzo rozpoznawalny — rzekł morderca.

— Mam odpowiedniego człowieka w dziale ogłoszeń. — Tyler spojrział na Conklina. — I zgłosiła się na ochotnika moja sekretarka, choć niechętnie na to patrzę.

— Jak się nazywa?

— Judy. Judy Price.

— Podaj jej telefon.

Wzięłam z rąk Tylera komórkę.

— Tu Judy Price.

— Słuchaj, Judy. Ten telefon może przekazywać obraz na żywo do mojego komputera przez trzy godziny. Mam nadzieję, że załatwimy sprawę w krótszym czasie. Zawieś telefon na szyi i trzymaj obiektyw skierowany na otoczenie. Kamera ma być włączona przez cały czas, dopóki nie odbiorę pieniędzy. Będę kierował twoimi ruchami podczas całej akcji. Czy mnie zrozumiałaś?

— Mam mieć cały czas włączoną komórkę i trzymać ją tak, żeby przesyłała do ciebie obrazy na żywo.

— Pojętna dziewczynka. Zawahasz się podczas wypełniania poleceń, będziesz próbowała mnie wykiwać, natychmiast się rozłączę. I zabiję jeszcze kilka osób, a ich śmierć obciąży ciebie.

— Hej, a co, jeśli stracę zasięg? — spytałam.

— Zadzwoń do ciebie. Pilnuj, żeby linia była wolna. Nie

próbuj żadnych głupich sztuczek z telefonem, Judy.

— Jak mam się do ciebie zwracać?

— Mów do mnie „proszę pana”. Czy wszystko jest jasne?

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. Zawieś teraz telefon na szyi i zrób obrót, żebym sprawdził, kto jest tam z tobą.

Obróciłam się wokół własnej osi, robiąc panoramiczne ujęcie gabinetu.

— Rozpoznaję Tylera. Kim jest ten drugi facet?

— To Rich z działu ogłoszeń.

— Włącz głośnik — polecił.

Odnalazłam ikonkę głośnika, włączyłam go.

— Rich, nie jedź za Judy. To samo odnosi się do ciebie, Tyler. Nie muszę chyba mówić, że jeżeli zauważę gliny... cokolwiek, co każe mi podejrzewać, że za Judy ciągnie się jakiś ogon, to się rozłączam. Koniec gry. Zrozumiałeś?

— Tak.

— Odwróć kamerę na siebie, Judy.

Zapadła cisza. Dłuższa, niż mogłam się spodziewać. Powrócił po niej głos mordercy.

— Ładny biust, Judy. Mam nadzieję, że jesteś inteligentną blondynką. Teraz połącz komórkę ze słuchawkami. Czy mnie słyszysz?

— Tak.

— Okay, skarbie. Zjedź teraz windą na dół i wyjdź na ulicę. Kiedy znajdziesz się na rogu Mission i Piątej Ulicy, dostaniesz dalsze instrukcje.

— Nie mogę się doczekać — burknęłam pod nosem.

— Słyszę cię głośno i wyraźnie, Judy — powiedział ostrzejszym tonem. — Ostrzegam cię raz jeszcze. To pomyślny zwrot w życiu miasta. Nie schrzań tego.

Rozdział 60

Odnosiłam wrażenie, że mam na szyi zawieszoną nie komórkę, lecz ładunek wybuchowy. Szminkowy Zabójca widział wszystko, co ja widziałam, słyszał, co ja słyszałam oraz mówiłam, i było dla mnie jasne, że jeżeli temu nędznemu, okrutnemu psychopacie coś się nie spodoba, to znowu pozbawi życia niewinnych ludzi.

Ostrzegł nas.

Wychodziłam z budynku „Chronicle” w ponure szare popołudnie. Obrzucając wzrokiem przechodniów przy wejściach do sklepów i przebiegających na żółtych światłach przez jezdnię, zastanawiałam się, czy Szminkowy Zabójca rozpoznał nieoznakowane auta u zbiegu Piątej i Mission. Zobaczyłam Jacobiego, Brady’ego, Lemkego, Samuelsa i Chi.

Conklin zdążył ich poinformować, że to ja odegram rolę pośrednika, oczywiście pod przykrywkową tożsamością. Jednak na wszelki wypadek, żeby ktoś z nich nie dawał mi znaku, ściągnęłam wzrokiem Jacobiego i trzymając rękę poza zasięgiem obiektywu, przyłożyłam dwa palce do oczu, a potem do komórki, sygnalizując, że jestem cały czas obserwowana.

I nagle zobaczyłam Cindy. Przylepiona do ściany gmachu

„Chronicle” patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami i z taką miną, jakbym szła pod gilotynę. Serce mi stopniało. Chętnie bym ją uściskała, ale tylko podniosłam rękę, pokazując gestem, by trzymała za mnie kciuki.

Wyduсила z siebie uśmiech.

Odwróciłam się plecami do ulicy i przełożyłam aluminiową walizeczkę marki ZERO Halliburton do prawej ręki. Jasne, że się bałam. Po oddaniu walizki „szanownemu panu” będę niepotrzebnym świadkiem. Prawdopodobieństwo, że do mnie strzeli, niemal stuprocentowe. Chyba że ja strzelę pierwsza.

— Jestem na rogu Piątej i Mission. Co teraz? — powiedziałam do mikrofonu.

— Wrzuć swoją torebkę do pojemnika na śmieci. Chcę to zobaczyć.

— Moją torebkę?

— Zrób to, księżniczko.

Występowałam jako rzekoma sekretarka Tylera, więc broń i swoją komórkę miałam ukryte w torbie na ramię. Wrzuciłam ją do pojemnika i przechyliłam telefon kamerą w dół, żeby ten przeklęty skurwysyn widział, iż to zrobiłam.

— Grzeczna dziewczynka. Teraz ruszaj na stację BART przy Powell Street.

Stacja BART przy Powell była oddalona o półtorej przecznicy. Gdy przechodziłam na pasach przez Market Street, dostrzegłam Conklina, który szedł za mną, trzymając się poza zasięgiem

kamery. Poczułam niewysłowioną ulgę. Nie miałam broni, ale mój partner czuwał.

Zeszłam po schodach w dół na peron dla pociągów jadących w kierunku lotniska. Szybkie jak pociski pociągi sieci BART wjeżdżają na peron z ostrzegającym gwizdem — na ten moment trafiłam.

Zapisały hamulce. Otworzyły się drzwi. Wsiadłam do pociągu jadącego na lotnisko i zobaczyłam Conklina na drugim końcu tego samego wagonu. Pociąg ruszył, a do moich uszu wdarł się zniekształcony lekko głos zabójcy.

— Chcę mieć ujęcie wnętrza wagonu — powiedział.

Odwracałam się powoli, żeby Conklin miał czas ustawić się tyłem. Pociąg zwalniał przed następnym przystankiem i dał się słyszeć komunikat: „stacja Civic Center”.

Włączył się zabójca.

— Judy, wysiadaj.

— Mówił pan, że mam jechać na lotnisko.

— Wysiadaj.

Conklin był zaklinowany w kącie wagonu, w którym jechały dziesiątki pasażerów. Uświadomiłam sobie, że zauważy mnie dopiero na peronie, gdy już drzwi będą się zamykać. Gdy pociąg ruszał ze stacji, mignęła mi twarz zdenerwowanego Conklina.

— Zdejmij kurtkę i wrzuć ją do pojemnika na śmieci — odezwał się zabójca.

— W kieszeni mam klucze od domu.

— Pozbądź się kurtki. Nie dyskutuj ze mną, cukiereczku. Rób, co mówię. Teraz na schody. Gdy wjedziesz na górę, zrób panoramiczne ujęcie podestu, żebym wiedział, że nikt się za tobą nie ciągnie.

Zrobiłam, co kazał. Był zadowolony.

— Ruszaj dalej, księżniczko. Mamy randkę w hotelu Whitcomb.

Rozdział 61

Wyszłam z metra na Civic Center Plaza. To obsadzony drzewami skwer, otoczony z czterech stron gmachami rządowymi, bankami i siedzibami instytucji kulturalnych — piękny plac publiczny okupowany po zmierzchu przez narkomanów.

Idąc ze stacji BART do hotelu Whitcomb, zwracałam uwagę na zaparkowane samochody z nadzieją, że mam ochronę. Usłyszałam auto skręcające ostro w lewo w Market Street — nieoznakowany szary ford, który się zatrzymał z piskiem opon. Nie mogłam się odwrócić, bo kamera pokazałaby, kto prowadzi, pozostawało mi tylko łudzić się nadzieją, że Jacobi czy ktoś inny nie traci mnie całkiem z oczu.

Przeszłam przez jezdnię do Whitcomb, eleganckiego, zabytkowego hotelu wiktoriańskiego z czterystoma pokojami, i znalazłam się w wytwornym lobby, gdzie w świetle kryształowych żyrandoli lśniła dekoracyjna marmurowa podłoga i ciemna boazeria, a ogromne bukiety kwiatów nasyciły zapachem chłodne powietrze.

Mój osobisty przewodnik wysłał mnie po dalsze instrukcje do Market Street Grill. Ta elegancka restauracja była prawie pusta.

Za recepcyjną ladą siedziała szczupła młoda kobieta, ciemne włosy miała ściągnięte do tyłu, a na zakiecie niebieskiego uniformu widniał identyfikator z imieniem SHARRON. Zapytała, czy będę przy stoliku sama.

— Przyszłam tylko po list adresowany do mojego szefa, pana Tylera. Wpadł tu na śniadanie i wydaje mu się, że w roztargnieniu zostawił ten list.

— Tak, tak — powiedziała Sharon. — Widziałam tę kopertę. Odłożyłam ją. Proszę chwilkę poczekać.

Pogrzebała pod ladą i z okrzykiem: „Mam ją!” wręczyła mi białą kopertę z nazwiskiem H. Tyler wypisanym czarnym markerem.

Chciałam zapytać, czy widziała mężczyznę, który zostawił tę kopertę, ale w mojej głowie wciąż rozbrzmiewały słowa ostrzeżenia: „...będziesz próbowała mnie wykiwać, natychmiast się rozłączę. I zabiję jeszcze kilka osób, a ich śmierć obciąży ciebie”.

Podziękowałam hostessie i przeszłam z restauracji z powrotem do lobby.

— Otwórz kopertę, skarbie — odezwał się zabójca. Zaciskając zęby, spełniłam polecenie.

Wewnątrz znalazłam odcinek kontrolny biletu z parkingu na Trinity Plaza i dwadzieścia pięć dolarów w szeleszczących banknotach. Znałam ten całodzienny parking, znajdował się niedaleko.

— Dobrze się pan bawi? — spytałam.

— Znakomicie. A jeśli ty się nudzisz, opowiedz mi o sobie. Zamieniam się w słuch.

— Wolałabym mówić o panu. Dlaczego strzelał pan do tych matek i dzieci?

— Powiedziałbym ci, ale wiesz, jak świat jest urządony... musiałbym potem zabić ciebie... Lindsay.

— Lindsay? A kto to? — spytałam, lecz doznałam szoku. Nogi ugięły się pode mną i omal nie zwałam się z hotelowych schodów. Skąd wie, jak mam na imię?

— Myślałaś, że cię nie rozpoznałem? O rany, księżniczko, w tym mieście jesteś niemal celebrytką. Od początku wiedziałem, że dacie do tej gry glinę. I ku mojej uciechu padło na ciebie. Porucznik Lindsay Boxer trzymana przeze mnie na smyczy.

— Cóż, jeżeli to pana bawi...

— Bawi? Jestem w ekstazie. Posłuchaj, Lindsay. Po kilku kliknięciach w Google jestem bogaty w wiedzę, gdzie mieszkasz, z kim się przyjaźnisz, kogo kochasz. Więc, jak sądzę, masz dodatkowy powód, żeby się udał dzień mojej wypłaty, prawda, cukiereczku?

Zobaczyłam Cindy stojącą w oku kamery, Conklina, Joego pracującego w domu w swoim gabinecie, Marthę u jego nóg. Zobaczyłam siebie z moim glockiem w ręku, a na przecięciu linii celowniczych miejsce między bezbarwnymi oczami faceta w kurtce baseballowej. Widziałam, jak pociągam za spust.

Problem polegał na tym, że nie miałam swojego glocka.

Rozdział 62

— Nic nie mówisz, księżniczko — odezwał się jego głos w moim uchu.

— Co miałabym mówić?

— Masz rację. Nie myśl za dużo. Wypełniaj swoją misję.

Myślałam jednak intensywnie. Jeżeli zobaczę jego twarz i uda mi się ujść z życiem, rzućę służbę, gdy to będzie konieczne, po to, żeby doprowadzić do finału tę sprawę. Przejrzę tysiące zdjęć wszystkich żyjących w San Francisco byłych żołnierzy, marynarzy, strażników przybrzeżnych i marines.

A jeżeli okaże się, że nie jest obywatelem San Francisco, będę przeglądała dalsze zdjęcia, póki go nie znajdę, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką będę robiła w życiu.

Niestety, on nie da mi się wymknąć, jeżeli poznam jego twarz. Ten typ nie popełni błędu.

Szłam Market Street, skręciłam i zobaczyłam parking. Facet w budce siedział oparty o ścianę, oczy miał zamknięte, wsłuchany był w muzykę z iPod'a. Zastukałam w szybę. Gdy podawałam mu bilet, ledwie na mnie spojrział.

— Należy się dwadzieścia pięć dolarów — powiedział.

Pchnęłam banknoty w jego stronę, wręczył mi kluczyki.

— Który to samochód? — spytałam bezcielesne indywiduum wiszące u mojej szyi.

— To zielony chevy impala. Stoi za czterema autami na prawo. Jest kradziony, Lindsay, więc nie posłuży wam jako trop prowadzący do mnie.

Stary chevy wyglądał na auto z lat osiemdziesiątych. Ze zgłoszeniem kradzieży takiego złomu właściciel z pewnością nie będzie się spieszył. Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam na tylnym siedzeniu nowiutką walizkę na broń — firmy Pelican, długą, mogącą zmieścić karabin automatyczny.

— Po co mi to? — spytałam.

— Otwórz — polecił.

Produkty Pelicana słyną z superwytrzymałości. Wyłożone pianką, wyposażone w antywłamaniowe zamki, są odporne na działanie ognia i wody, przetrzymują wysoką temperaturę, gdy znajdują się w centrum wybuchu.

Otworzyłam walizkę. Była pusta.

— Włóż do niej pieniądze — rozkazał.

Kolejny raz zastosowałam się do polecenia, przepakowując pieniądze z aluminiowej walizki Tylera do tej nowej, a układając pliki banknotów i zatraskując zamki, kipiałam ze złości, nie mogąc się pogodzić z tym, że pomagam psycholowi uniknąć kary za szantażowanie miasta. Nieodparcie nasuwało mi się skojarzenie ze zniewoleniem przez nazistów Paryża podczas

drugiej wojny światowej.

— Wsuń walizkę Tylera pod lexusa, który stoi z lewej strony — odezwał się. — To taki środek ostrożności, księżniczko. Na wypadek gdyby ukryto w niej nadajnik GPS.

— Nie ma tam nadajnika — powiedziałam, chociaż wiedziałam, że jest. Był wmontowany w rączkę od walizki.

— I zdejmij buty. Wsuń je pod lexusa obok walizki.

Zrobiłam, co kazał, widząc oczami duszy, jak Jacobi, doprowadzony na parking sygnałem nadajnika, znajduje aluminiową walizkę — i jest w ślepych zaułku.

— Masz ochotę na przejażdżkę? — zapytał mój nieodłączny towarzysz.

— Marzę o tym! — wykrzyknęłam sztucznie radosnym tonem.

— Czegoś mi zabrakło — powiedział KDP.

— Marzę o tym... proszę pana.

Usiadłam za kierownicą i włączyłam stacyjkę.

— Dokąd? — Mój głos zabrzmiał, jakbym już była martwa.

Rozdział 63

— Zapraszam na pełną tajemnic podróż — powiedział.

— Którędy mam jechać?

— Skręć w lewo, księżniczko.

Spojrzałam na zegarek. Od chwili, kiedy na mojej szyi zawisnął diabeł wcielony, minęła chyba wieczność, a ja wciąż nic o nim nie wiedziałam i nie miałam pojęcia, co dalej knuje. Ponieważ nasz genialny plan, żeby „podążać śladem walizki z pieniędzmi”, został przez mordercę udaremniony, mój mózg pracował na najwyższych obrotach nad nową koncepcją. Ale co mogłam działać? Nawet nie wiedziałam, gdzie ten drań zechce odebrać pieniądze.

Wyjechałam z parkingu, minęłam Muzeum Sztuki Azjatyckiej. Kazał mi jechać przed siebie Larkin Street. Spojrzałam w lusterko wsteczne, ale nie dostrzegłam auta wyglądającego na któryś z naszych nieoznakowanych wozów.

Nikt z obstawy za mną nie jechał.

Dotarłam do Tenderloin, najbardziej mrocznej dzielnicy San Francisco, gdzie na ciemnych ulicach koegzystowały ściśnięte obok siebie małe bary, kluby striptizowe i hoteliki na godzinę. W

jednej z uliczek postrzelono niegdyś mnie i Jacobiego, ledwie wyszliśmy z tego żywi.

Te ulice patrolowałam dawniej jako mundurowy policjant, teraz minęłam doskonałą pizzerię, do której niedawno przyprowadziłam Joego, oraz bar, do którego czasami wpadaliśmy z Conklinem, żeby się odprężyć po dwóch zmianach. Skręciłam w Geary i przejechałam koło Mel's Drive-in, gdzie niegdyś przesiadywałam z Claire — obie debiutowaliśmy wtedy zawodowo i potrzebowałyśmy czasem pożartować, żeby dać ujście frustracjom, jakie przeżywałyśmy, przebijając się w męskim świecie.

Łzy napłynęły mi do oczu, ale nie z powodu wycisku, jaki mi dawał Szminkowy Zabójca. Ogarnęła mnie nostalgia — poczułam bolesne ukłucie w sercu na wspomnienie dobrych chwil spędzanych z przyjaciółmi i lęk, że po raz ostatni oglądam utrwalone w pamięci miejsca.

Znowu odezwał się głos drania, który odebrał życie trzem młodym matkom i ich malutkim dzieciom.

— Zawieś komórkę na lusterku wstecznym tak, żeby obiektyw był skierowany na ciebie.

Stałam akurat na światłach na skrzyżowaniu Van Ness z Geary. Zawiesiwszy telefon na lusterku, patrzyłam w małe jak groszek oko kamery i czekałam.

— Zdejmij bluzkę, cukiereczku — powiedział.

— O co tym razem chodzi?

— Żadnych pytań.

Domyśliłam się, że chce sprawdzić, czy nie mam przymocowanego do ciała nadajnika. Poszła już torebka, potem kurtka, następnie kazał pozbyć się butów i walizki. Przyszła kolej na bluzkę.

Zdjęłam ją.

— Wyrzuć ją przez okno.

Spełniłam polecenie. Żaden z podejrzanych wyglądających przechodniów nie zwrócił na to uwagi.

— To samo zrób ze spódnicą.

— Mam zielone światło.

— Podjedź dalej i zatrzymaj się na chwilę. Jesteś bystrą dziewczynką. Zdejmij spódnicę i ją wyrzuć. A potem stanik.

Poczułam się strasznie, ale nie miałam wyboru. Rozpięłam stanik, wysunęłam rękę przez okno i upuściłam go. Drań gwizdnął z uznaniem — wilk i czubek zarazem — a ja poczułam upokorzenie każdą cząstką mojej psychiki. Także dlatego, że ten mordujący dzieci i nienawidzący kobiet łotr ubezwłasnowolnił mnie i wymanewrował całą policję San Francisco.

Nikt nie wiedział, gdzie jestem.

— Jesteś grzeczną dziewczynką, Lindsay. Bardzo, bardzo grzeczną. A teraz powieś komórkę na szyi i jedziemy dalej. Najlepsze jeszcze przed nami.

Rozdział 64

Wymuszałam na starej impali jazdę w górę i w dół krętymi ulicami, aż wreszcie znalazłam się na przyciągającej turystów jak magnes Lombard Street, „najbardziej pokręconej ulicy świata”, zwanej tak od ostatniego odcinka pnącego się ostro w górę do Hyde Street — z tego najwyższego punktu Lombard Street roztacza się wart milion dolarów widok, który powinien zapewnić miastu San Francisco miejsce wśród nowych siedmiu cudów świata.

Oglądałam tę panoramiczną scenerię wielokrotnie, ale po raz pierwszy nie dostałam zawrotu głowy, gdy przed oczami rozpostarła się w całej okazałości Zatoka San Francisco z Alcatraz i Angel Island — mignęła mi tylko i już toczyłam się w dół stromym słynnym dziewięcioserpentynowym odcinkiem Lombard.

Do moich uszu docierały dalsze wskazówki zabójcy wraz z komentarzem, że docenia to, że ja prowadzę, a on może podziwiać widoki i myśleć o czekających pieniądzach. Tymczasem ja przy każdym czerwonym świetle modliłam się, kuląc ramiona, żeby nikt nie zauważył, że na jednej z najciekawszych ulic w kraju prowadzi auto kobieta z gołym

biustem.

Zerkałam w lusterka i na każdym skrzyżowaniu kręciłam głową w jedną i drugą stronę, rozglądając się, czy nie ma Jacobiego, Conklina, Chi, kogokolwiek.

Przyznaję się do tego. Na moment przestałam myśleć racjonalnie, poddałam się fali wściekłości. Czym innym jest położyć na szali życie dla sprawy, w którą wierzysz, a czym innym godzić się z rolą robota w rękach mordercy — być jedyną ofiarą akcji, w którą nie wierzysz, a w gruncie rzeczy postrzegasz ją jako szaleństwo.

Znowu się odezwał. Kazał mi zawrócić w kierunku dzielnicy Presidio, co zrobiłam, i wkrótce znalazłam się na Richardson Avenue i zjechałam z niej na drogę prowadzącą do Golden Gate.

Czy miałam opuścić miasto?

Oprzytomniałam i wygasła we mnie wściekłość — przecież oni wszyscy odchodzą od zmysłów, by ustalić, gdzie jestem. Ale czy mogli mnie wytropić w starej zielonej impali?

Gdy włączyłam się w sznur pojazdów jadących na most, Szminkowy Zabójca przestał dowcipkować i spoważniał. Zauważyłam, że wskaźnik paliwa zbliża się do zera.

— Musimy napęlnić bak — zgłosiłam.

— Nie ma potrzeby — rzekł krótko. — Na środku mostu znajdziesz się za minutę. Powiem ci, kiedy masz się zatrzymać.

— Zatrzymać? Nie można zatrzymywać się na moście.

— Zrobisz, co ci każe. Przekonasz się, że można.

Rozdział 65

Pot zalał mi oczy, gdy zabójca odliczał od dziesięciu do jednego.

— Zjedź teraz na bok — rozkazał.

Mój kierunkowskaz był włączony od momentu, kiedy wjechałam na most, ale każdy mógł prawdopodobnie pomyśleć, że nie wyłączyłam go przez roztargnienie.

— Zjedź na bok! — powtórzył.

Nie było miejsc do zatrzymywania się, więc zwolniłam i zahamowałam na pasie najbliższym barierki odgradzającej jezdnię od chodnika.

Włączyłam światła awaryjne i słuchając ich klikania, oczami wyobraźni widziałam straszny wypadek — ktoś najeżdża na mnie z tyłu, giną tamci ludzie, a mnie wgniata w kierownicę. Ryzyko obliczyłam na pięćdziesiąt procent, by je po chwili zmniejszyć do dziesięciu. Dlaczego akurat dzisiaj miałabym kończyć życie?

— Weź walizkę z tylnego siedzenia, Lindsay — usłyszałam.

Odpięłam pas bezpieczeństwa, sięgnęłam po długą, nieporęczną walizkę i jakoś ją przeciągnęłam na przednie

siedzenie.

— Dobrze. Teraz wysiądź z samochodu.

Samobójstwem byłoby wychodzić na jezdnię od strony kierowcy. Auta śmigały koło mnie z dużą prędkością, niektóre z wyciem klaksonów, w innych widziałam kierowców wrzeszczących przez szybę, gdy mijali zaparkowany samochód. Przesunęłam walizkę w bok, sięgnęłam do klamki od strony pasażera, podciągnęłam się na niej i kopniakiem otworzyłam drzwi.

Chociaż byłam naga, bardzo pilno mi było wydostać się z samochodu. Z obijającą się o nogi walizką pokonałam jakoś odgradzającą jezdnię barierkę i postawiłam wreszcie stopy na chodniku. Nadjeżdżające auta gwałtownie skręcały, by ominąć impale, wyły klaksony. Ktoś krzyknął: „No skacz, skacz!”.

— Most ma szczelną ochronę — powiedziałam zabójcy. — Policja będzie tutaj lada chwila.

— Zamknij się — warknął. — Podejdź do zewnętrznej barierki.

W głowie mi się zakręciło, gdy spojrzałam w dół na lśniąca powierzchnię wody. Będzie mnie zmuszał do skoku. Około kilkunastu tysięcy osób skoczyło z tego mostu, szukając śmierci. Nie więcej niż dwadzieścia przeżyło ten skok. Nadeszła rozstrzygająca chwila. Miałam zginąć, nie wiedząc nawet, czy kogokolwiek przez to ocale, czy też morderca przejmie pieniądze i będzie dalej zabijał.

Ale w jaki sposób je przejmie?

Wyteżając wzrok, przyjrzałam się historycznemu fortowi usytuowanemu dokładnie pod mostem na jego południowym końcu. Powoli przesunęłam spojrzeniem wzdłuż nadmorskiego parku Crissy Field. Gdzie jest ten drań? Gdzie on jest? I nagle zobaczyłam na dalekim brzegu zatoki małą motorówkę wypływającą z Fort Baker, historycznego fortu u stóp północnej wieży mostu.

— Czas się pożegnać, Lindsay — usłyszałam jego głos. — Zrzuć z mostu komórkę i przerzuć walizkę przez barierę. Pilnuj dalej swojej roboty, księżniczko. Jeżeli nie schrzanisz teraz, wszystko będzie dobrze.

Wiatr nawiewał mi włosy na twarz, gdy ciskałam do wody telefon, a potem spychałam walizkę z barierki. Patrzyłam, jak leci blisko osiemdziesiąt metrów w dół do zatoki.

Rozdział 66

Walizka uderzyła w wodę, wzbijając w górę fontannę, i po chwili zobaczyłam, jak kołysze się na powierzchni. O ile wzrok mnie nie mylił, w motorówce był tylko jeden mężczyzna, który sterował, płynąc w stronę walizki.

Otrząsnęłam się z transu — byłam wolna.

Przeszłam przez barierkę, stanęłam z tyłu za impalą i podniosłam rękę. Kierowca hondy w kolorze błękitnego pawia, śmigając koło mnie, wcisnął klakson, a jadący za nim w chevroletcie corvette facet łypnął pożądliwie okiem, ale się nie zatrzymał. Co sobie pomyślał? Że jestem prostytutką?

Stałam na jezdni, próbując uniesioną ręką zatrzymać kogoś i trzęsąc się przy tym ze strachu, że jakaś niedojda mnie rozjedzie. Nareszcie zwolniła jasnobłękitna beemka, zjechała na bok przed impalę i zahamowała.

Podeszłam od strony pasażera, nachyliłam się.

— Jestem z policji, potrzebna mi twoja komórka.

Za kierownicą siedział z głupawą miną jakiś osiemnastolatek. Podał mi telefon, a ja wskazałam jeszcze gazetę leżącą na tylnym siedzeniu. Dał mi ją. Zasłaniając nią piersi, zadzwoniłam do

dyspozytorni, podałam nazwisko i numer służbowy.

— Lindsay! O mój Boże! Co z tobą? Czego potrzebujesz? Gdzie jesteś?

Znałam tę dyspozytorkę. To była May Hess, która sama siebie nazwała „królową gorącej linii”.

— Jestem na moście...

— Z tą nagą samobójczynią?

Wyrwał mi się chichot, ale nim przeszedł w histerię, zdołałam się opanować. Poleciałam May, żeby w trybie natychmiastowym wysłała nad zatokę helikopter — wyjaśniłam dlaczego — i żeby zaalarmowała straż przybrzeżną, bo trzeba zatrzymać człowieka w łódce.

— Zrozumiałam, pani porucznik. Patrol straży ochrony mostu zaraz dotrze na miejsce, w ciągu góra trzydziestu sekund.

Usłyszałam syreny. Z gazetą trzepoczącą na wietrze przechyliłam się przez poręcz barierki i obserwowałam, jak mała motorówka Boston Whaler podpływa do kołyszącej się na wodzie walizki. Nadleciał z warkotem helikopter. Pilot zniżył się i wisząc nad łódką, „zaganiał” ją w stronę południowego brzegu.

Motorówka robiła uniki to w prawo, to w lewo — niczym koń łapany na łąsku — po czym wpłynęła pod most i przyspieszyła, ale helikopter nie odpuszczał i leciał nad nią pod podkładem mostu, aż wreszcie tuż przy brzegu motorówka ucichła.

Szminkowy Zabójca wyskoczył z łódki i biegł w zwolnionym tempie przez sięgającą do bioder wodę. Ale nie miał już szans

wymknąć się łodzi straży przybrzeżnej.

Ryknął megafon, nakazując mu wyjść na brzeg z rękami w górze. Plażą nadjechały radiowozy i okrążyły zabójcę.

Gra skończona, psycholu, mruknęłam pod nosem.

Rozdział 67

Przyglądałam się, jak portowa łódź patrolowa wyciąga z wody walizkę Pelican, gdy nagle niemal ogłuszyło mnie wycie syren.

Odwróciłam się i zobaczyłam całą flotę pojazdów, nieoznakowanych i czarno-białych, zatrzymujących się z piskiem opon za impalą. Wyskakiwali z nich policjanci — niemal każdego z nich znałam — i biegli do mnie.

Ale moją uwagę przyciągnął landrover, który zatrzymał się na przeciwnym pasie ruchu — widać udało mu się wślizgnąć na most, zanim został zamknięty dla ruchu. Zza kierownicy wyskoczył brodaty facet z cyfrową lustrzanką w rękach. Zaczął mi pstrykać zdjęcia — ja z wyrazem przerażenia na twarzy, egzemplarzem „Chronicle” zasłaniającym piersi, w różowych majtkach i tak dalej.

Z lewej strony ktoś wrzasnął.

— Hej, ty!

Zza radiowozu wybiegł postawny mężczyzna, zbudowany jak piłkarz. Przeciął pasy jezdni i dopadł reportera.

— Oddaj to!

Wtedy dopiero rozpoznałam, że to Joe.

Reporter nie miał zamiaru posłuchać, więc Joe chwycił go za gardło, pchnął na maskę landrovera, wyrwał mu z rąk lustrzanekę i wyrzucił przez barierkę. Odchodząc od nieboraka, rzucił przez ramię: — Podaj mnie do sądu!

Mój ukochany mężczyzna biegł do mnie z pełną niepokoju miną. Padłam w jego ramiona i rozszlochałam się.

— Dopadliśmy go — powiedziałam.

— Czy zrobił ci coś złego?

— Nie. Dopadliśmy go, Joe.

— Wiem, dokonałaś czegoś niezwykłego, skarbie. Już jest po wszystkim.

Joe narzucił na mnie swoją kurtkę i znowu mnie przytulił. Z szarego nieoznakowanego forda wysiedli Conklin i Jacobi, podeszli do nas.

— Jak się czujesz, Lindsay? — zapytali unisono.

— Znakomicie. — Uśmiechnęłam się z mokrymi od łez policzkami.

— Jedź do domu — rzekł Jacobi. — Ogarnij się. Zjedz coś i zaraz przyjeżdżaj do nas. Przez ten czas my załatwimy formalności. Około trzech godzin zajmie nam pobranie odcisków palców i sporządzenie protokołu zatrzymania. Ale on jest twój, Boxer. Nikt nie będzie z nim rozmawiał, ty go przesłuchasz. Dobra robota — dorzucił na koniec.

Rozdział 68

W Hall of Justice pojawiłam się z wilgotnymi jeszcze włosami, ale doszłam do siebie i byłam gotowa stawić czoła człowiekowi, który mnie upokorzył i śmiertelnie przeraził, i który miał na sumieniu sześć niewinnych ofiar.

Weszłam do pokoju Jacobiego.

— Co mamy? — spytałam.

— Z dokumentów wynika, że to Roger Bosco, uprzednio zatrudniony w służbie ochrony parku Golden Gate, obecnie pracuje jako konserwator w jachtklubie. Nie ma wojskowej przeszłości, nie jest notowany w kartotece policyjnej. Nie prosił o adwokata.

— Zaczynamy — powiedziałam.

W sali obserwacyjnej za szybą wenecką zebrali się funkcjonariusze, szychy z miasta, ludzie z biura prokuratora okręgowego. Już pracowały kamery. Wszyscy przygotowani.

Gdy Jacobi i ja weszliśmy do pokoju przesłuchań, nasz podejrzany, który siedział przy stole, podniósł głowę. Zaskoczył mnie jego wygląd i wyraz twarzy.

Wydawał się starszy i niższy niż facet, którego widzieliśmy na

taśmach z monitoringu parkingu podziemnego, i robił wrażenie kompletnie zdezorientowanego. Spojrzał na mnie zażawionymi niebieskimi oczami.

— Wystraszyłem się helikoptera. Dlatego uciekałem.

— Zacznijmy od początku, Roger. Mogę ci mówić po imieniu?

— Jasne.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Dla pieniędzy.

— Cały czas miałeś w głowie ten okup?

— Okup? O czym pani mówi?

Przyciągnęłam krzesło i usiadłam obok Bosca. Miałam przeświecić tego „szaraczka”, jakiego grał, i dobrać się do twardego psychopatycznego mordercy. Jacobi przeszedł wolno za naszymi plecami, zawrócił i przechadzał się dalej.

— Rozumiem, że dwa miliony to dużo pieniędzy — powiedziałam do Bosca, hamując złość. Miałam pozyskać jego zaufanie, dać mu do zrozumienia, że wybaczam kilkugodzinną „pełną tajemnic podróż”.

— Dwa miliony? Zaproponowano mi pięćset dolarów. Na początek dostałem pierwsze dwieście pięćdziesiąt.

Spojrzałam na Jacobiego, ale jego chłodne stalowe oczy nic mi nie podpowiedziały. Zakiełkowało we mnie złe przeczucie, ale je stłumiłam. Bosco pruł przecież motorówką wprost do walizki z pieniędzmi. To było bezdyskusyjne.

— Roger. Musisz mi pomóc, żebym mogła pomóc tobie. Wyjaśnij, jak planowałeś zabójstwa. Przyznaję, że to mistrzostwo świata. Cała policja została poderwana na nogi, żeby cię schwytać. Jeżeli opowiesz o wszystkim krok po kroku, wykażesz gotowość do współpracy, wstawię się za tobą u prokuratora okręgowego.

Opadła mu szczęka. Popatrzył na mnie z nieudawanym niedowierzaniem. Potem spojrział na Jacobiego i znowu na mnie.

— W ogóle nie wiem, o czym się tu mówi. Przysięgam na Boga, że nikogo nie zabiłem, nigdy w życiu, nikogo. Macie nie tego faceta.

Rozdział 69

Poświęciliśmy wiele godzin na sprawdzenie tożsamości, wiarygodności i alibi Bosca. Dzwoniliśmy do ludzi do domów, w ciemnych biurach przeglądaliśmy dokumenty.

Roger Bosco faktycznie był zatrudniony w jachtklubie. Przejrzeliśmy dokładnie godziny jego pracy. Podbijał kartę zegarową i był widziany na terenie dokładnie w tym czasie, gdy miały miejsce morderstwa matek z dziećmi. Wyciągnęłam Bosca z aresztu i posadziłam ponownie w pokoju przesłuchań; tym razem dostał kawę, kanapkę z szynką i paczkę nadziewanych biszkoptów.

Opowiedział mnie i Jacobiemu całą historię: w porcie jachtowym podszedł do niego jakiś mężczyzna, przedstawił się jako reżyser filmowy — mówił, że kręci film akcji i potrzebny mu znający się na rzeczy człowiek, który zastąpi aktora w scenie wyławiania walizki z zatoki.

Bosco wyznał nam, że wpadł w entuzjazm.

Zapewnił faceta, że może wziąć w pracy dzień wolny, zarezerwować motorówkę Boston Whaler i będzie szczęśliwy, jeżeli zagra w filmie. „Reżyser” poinstruował go, że ma dryfować z wyłączonym silnikiem w pobliżu Fort Baker i obserwować

most, z którego po południu zostanie zrzucona walizka.

Dał dwieście pięćdziesiąt dolarów zaliczki i obiecał drugie tyle przy odbiorze walizki z bronią, a miał czekać na nią przed Greens Restaurant w Fort Mason.

Czy Bosco rzeczywiście nie podejrzewał, że jest w coś wrabiany? Był w to umaczany czy aż tak naiwny?

— Czy ten reżyser przedstawił się z imienia i nazwiska? — spytałam.

— Oczywiście. Tony... jakiś tam... nazwisko zaczyna się na „T”. Facet wyglądał porządnie — mówił dalej Bosco. — Wysoki, na oko metr dziewięćdziesiąt wzrostu... wysportowany. Nie zwróciłem uwagi na ubranie. Ale... Zaraz. Zaraz. Mam jego wizytówkę.

Z depozytu ściągnięto zamoczony portfel Bosca i z przegródki na banknoty wyciągnięto dla mnie tę wizytówkę. Zrobiona została domowym sposobem — wydarta z perforowanej kartki przepuszczonej przez drukarkę atramentową. Wzbudziłaby podejrzenia u większości ludzi w mieście, natomiast Roger Bosco był szczęśliwy, że przedstawia dowód, który uwiarygodnia jego zeznanie. Szcherzył zęby, jakby odkrył ropę na swojej działce.

— Proszę — powiedział, stukając zrogowaciałym palcem wskazującym na rozmazany czerwony nadruk:

ANTHONY TRACCHIO. KDP PRODUCTIONS

Wyszliśmy z Jacobim z pokoju, zabierając wizytówkę.

— Szef będzie zachwycony — powiedział Jacobi znużonym

głosem, wsuwając wizytówkę do torebki na dowody rzeczowe. —
Muszę do niego zadzwonić z informacją, że Szminkowy Zabójca
jest wciąż nieuchwytny. Aha, i że odzyskaliśmy pieniądze.

Rozdział 70

W sypialni Cindy światło z ulicy przenikało przez zasłony, malując wyraźne pasy na kołdrze. Cindy przytuliła się do Richiego i objęła go ręką w pasie.

— No nie — odezwał się Rich. — Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego mi się zdarzy. Przepraszam cię, Cindy.

— Nie masz za co. I nie przejmuj się, proszę — powiedziała, potrząsając nim delikatnie i całując w policzek. — Już jest okay?

— Nie wydaje mi się. Jestem zaledwie po trzydziestce.

— Wiesz, co ja myślę? Jesteś przeciążony pracą. O czym myślisz, Rich? Szybko. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi ci do głowy.

— Lindsay.

— Dam ci milion dolarów, jeżeli cofniesz te słowa. — Odsunęła się od niego i zapatrzyła w sufit. Czy Rich jest zakochany w Lindsay? A może bycie partnerami to też miłość, tylko trochę inna.

Dobrze wiedziała, że Rich i Lindsay są bardzo ze sobą związani. Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy ta ich więź nie powinna być dla niej czerwonym sygnałem, że popełnia

błąd, jedzie po ślepych torze i pora wysiąść z tego pociągu.

— Rany, to źle wypadło. — Rich przyciągnął ją do siebie. — Nie myślę o niej w ten sposób. Chodzi o to, że ten czubek kazał jej się rozebrać. I w każdej chwili mógł ją zabić. Jestem jej partnerem, Cindy, a ją zawiodłem.

Cindy westchnęła, odprężając się w jego objęciach, delikatnie przebierała opuszkami palców po jego płaskim brzuchu.

— Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Ja dobrze wiem, o czym mówisz. Gdy stałam przed naszym gmachem, Lindsay mrugnęła do mnie... w drodze na spotkanie z tym draniem. Jakby pocieszała mnie, że wszystko pójdzie dobrze, a przecież w żaden sposób nie mogła tego wiedzieć. Poczułam się kompletnie bezradna.

— Dokładnie jak ja.

— Chciałam coś zrobić, ale co mogłam? Nic.

Rich pocałował wewnątrz jej dłoni.

— Odwaga kobiet rzuca mnie na kolana. Na przykład ty, Cin. Uganiasz się za kryminalistami. Mieszkasz w tym domu.

Miał powód, by mówić o „tym domu”. Cindy wprowadziła się do tego słonecznego mieszkania w wielkim apartamentowcu Blakely Arms, niestety, dzielnica była nieciekawa i gdy już przyjechały meble, dowiedziała się, że w budynku grasuje morderca.

— Cały czas się boję — powiedziała Cindy. — To, co nazywasz odwagą, to potrzeba odsuwania od siebie wszystkich strachów.

Sama muszę dawać sobie radę.

— I to ci odpowiada? Że sama dajesz sobie w życiu radę?

— Tak. Ale to nie znaczy, że chcę być sama.

— Nie... hm?

Rich przytulił ją mocno, a Cindy przechyliła głowę, żeby zobaczyć jego przystojną twarz. Zależało jej na nim aż do bólu.

— Powinniśmy być każdej nocy razem, nie sądzisz? — rzekł Rich. — Byłbym spokojniejszy, gdybyś nie zostawała tu sama w nocy.

— Chcesz się wprowadzić po to, żeby w razie czego mnie bronić?

— Czekaj, czekaj. Miałem na myśli... szaleję za tobą, Cindy. Randki i tak dalej to cudowna sprawa. Ale ja chcę więcej. Chcę być z tobą.

— Ejże, naprawdę?

Rich błysnął w uśmiechu zębami.

— Słowo skauta. Tego właśnie chcę.

Rozdział 71

Mięśnie paliły ją żywym ogniem. Jednak Sarah, wisząc nieruchomo podciągnięta na wysokość podbródka, trzymała się drążka, póki mięśnie nie odmówiły posłuszeństwa.

Opadła na stopy i przez pięć minut potrząsała rękami. Skończywszy ćwiczenia, przeszła do salonu i usiadła w brzydkim, ale nieprawdopodobnie wygodnym fotelu Trevora. Otworzyła laptopa i oceniając testy uczniów, słuchała jednym uchem telewizji. Zareagowała na głos Kathryn Winstead, najpopularniejszej dziennikarki magazynu kryminalnego, która gościła właśnie Marcusa Dowlinga i wciągała go w bardzo emocjonalną rozmowę.

Patrząc na niego, Sarah poczuła gwałtowną nienawiść. Jednak wzmocniła dźwięk i przyglądała mu się, odnotowując zmiany w wyglądzie potwora. Zapuścił brodę i stracił na wadze, ogólnie zmizerniał, ale biło od niego gwiazdorstwo, gdy grał na maksa rolę męża w żałobie.

Załamywał mu się głos, a nawet zaczął się jąkać, gdy zwierzał się Kathryn Winstead, że jest „w środku pusty”.

— Budzę się w nocy zlany potem — mówił preterce. — Przez moment wydaje mi się, że m-m-miałem koszmarne sen...

odwracam się na drugi bok... bo Casey powinna leżeć koło mnie... i wtedy wszystko mi się przypomina... jak ona w-w-woła do mnie: „Marc! Ktoś jest w pokoju”. A potem te strzały. Bum. Bum.

Sarah chwyciła pilota i cofnęła nagranie.

Co on powiedział?

Wysłuchiwała jeszcze raz, jak Dowling cytuje Casey. Z tego, co Sarah wiedziała, nigdy wcześniej nie przytaczał ostatnich słów żony. Było to dziwne, gdyż rzeczywiście Casey wołała do niego. Taka była prawda.

Za to strzałów żadnych nie było.

Sarah odłożyła laptopa i przeszła do kuchni. Opłukała pod kranem twarz, wyjęła z lodówki butelkę z herbatą i wypila duszkiem. Ten gwiazdor ma jaja wielkości orzechów kokosowych, pomyślała. Liczy na to, że ona go nie sypnie, bo kto by jej uwierzył. Słowo Marcusa przeciwko jej słowu — on i złodziejka.

Wróciła przed telewizor, wywiad wciąż trwał. Sympatyczna Kathryn Winstead pytała Dowlinga o śledztwo.

— Czy policja nadal nie ma żadnego podejrzanego?

— Od kilku dni nie odzywają się do mnie, a tymczasem zabójca Casey pozostaje na wolności z fortuną w klejnotach.

Sarah wyłączyła ze złością telewizor.

Zaczynała się opera *Samson i Dalila*.

Nie spodziewała się „Terrora” wcześniej niż za dwie godziny,

więc mogła dobrze spożytkować ten czas i załatwić Marcusa Dowlinga jak Dalila Samsona. Nie mogła pozwolić na to, by morderstwo uszło mu płazem.

Rozdział 72

Postanowiła zadzwonić z budki telefonicznej na terenie Fisherman's Wharf, starego portu nad zatoką, będącego jedną z najbardziej uczęszczanych atrakcji turystycznych Kalifornii. Łatwo tam było zgubić się w tłumie złożonym z rodzin z dziećmi i studentów, ciągnącym do sklepów i restauracji w centrum handlowym Cannery. Nikt nie zwracał uwagi na młodą kobietę w dżinsowych rybaczkach i różowym T-shircie z nadrukiem „Życie jest piękne”, która wrzucała ćwierćdolarówki do automatu telefonicznego.

Wybrała numer. Zgłosiła się operatorka policyjnego telefonu zaufania i połączyła ją z Komisariatem Południowym. Sarah poprosiła o inspektora z wydziału zabójstw.

— Jaką sprawę mam zgłosić? — padło pytanie.

— Dzwonię w sprawie Casey Dowling — powiedziała Sarah.
— Wiem, kto ją zabił.

— Proszę chwilę poczekać. Porucznik Boxer kończy rozmowę.

Sarah domyślała się, że automat telefoniczny można namierzyć, ale miała zamiar rozmawiać krótko, a poza tym z budki kontrolowała wzrokiem otoczenie i mogła łatwo wmieszać

się w tłum, zanim jakiś gliniarz by się zbliżył.

— Tu porucznik Boxer — usłyszała kobiecy głos.

— To ja obrabowałam Dowlingów. Nie zastrzeliłam Casey Dowling, ale wiem, kto to zrobił.

— Jak się pani nazywa?

— Tego nie powiem — odparła Sarah.

— Szokująca informacja.

— Halo? Czy pani mówi do mnie? — Sarah wrzuciła kolejną ćwierćdolarówkę.

— Chcę usłyszeć coś, co pozwoli mi pani wierzyć — powiedziała policjantka. — Albo się rozłączę.

— Proszę mnie wysłuchać. Mówię prawdę. Ja jestem tym złodziejem. Opróżniałam sejf w garderobie, gdy Marcus i Casey weszli do sypialni. Kłócili się. Potem był seks. Odczekałam około dwudziestu minut i gdy Marcus zaczął chrapać, ewakuowałam się przez okno i wtedy potrąciłam stolik. Chyba nikt nie wie o tym stoliku, czy nie tak? Czy to nie wystarczający dowód? Bo Marcus Dowling powtarza w kółko, że to Kot Dachowiec zabił Casey, a ja tego nie zrobiłam.

— Okay, okay. Wszystko słyszę — powiedziała porucznik Boxer. — Muszę jednak mieć coś więcej niż anonimowy telefon. Proszę przyjść i złożyć oświadczenie. Obiecuję pomóc pani wydobyć się z tarapatów, gdy dopadniemy już mordercę pani Dowling.

Sarah mogłaby przysiąc, że policjantka daje komuś sygnał,

żeby namierzono telefon. Już za długo była na linii.

— Żartuje pani ze mnie? Mam przyjść, żebyście mnie aresztowali?

— Nie musi pani przychodzić. Ja przyjdę do pani. Proszę wskazać miejsce, gdzie możemy porozmawiać.

— Marcus Dowling zabił swoją żonę. To wszystko. Już porozmawialiśmy.

Sarah się rozłączyła.

Rozdział 73

Conklin i ja jednocześnie odłożyliśmy słuchawki i popatrzyliśmy na siebie ponad ścianą kwiatów na moim biurku.

— To był Kot Dachowiec — rzekł Conklin. — To była naprawdę ona.

— Dlaczego nie poddaliśmy Dowlinga testowi parafinowemu? — zapytałam.

— Ponieważ tego przekłętego testu nie zleciłem.

— To także mój błąd — powiedziałam, wyrzucając do kosza zimnego tuńczyka z ryżem. — I Jacobiego. Wszyscy nawaliliśmy.

— Mieliśmy polecenie z góry — przypomniał Conklin. — Żeby się obchodzić z gwiazdorem jak z jajkiem, do tego miał atak serca, nie pamiętasz?

— Symulowany — burknęłam.

— No i wziął prysznic. Teraz wiemy dlaczego. Żeby zmyć ślady prochu.

Zebrałam włosy do góry, znalazłam gumkę i zrobiłam sobie koński ogon. Tak niekompetentna nie czułam się od czasów, gdy stawiałam w policji pierwsze kroki.

Poprzedniego wieczoru Tracchio podał do publicznej wiadomości, że Szminkowy Zabójca nie pojawił się w umówionym miejscu i nie odebrał pieniędzy, a list do mieszkańców San Francisco opublikowany w „Chronicle” to jakiś kawał. Cindy napisała wstępniak do porannego wydania. W zwięzłym i dobitnym hemingwayowskim stylu nazwała Szminkowego Zabójcę tchórzem, a mnie bohaterką. W naszej sali odpraw pojawiło się całe mnóstwo kwiatów — wypełniłyby chyba platformę ciężarówki.

Ja natomiast nie czułam się bohaterką. Miałam poczucie, że zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. To nie wystarczyło.

Golden Gate Avenue penetrowali ludzie z FBI, włączeni do sprawy Szminkowego Zabójcy, i był tam także ktoś od nas, z wydziału zabójstw — konsultant do zadań specjalnych, Jackson Brady. Idealnie się do tego zadania nadawał — wypoczął i palił się do roboty, żeby udowodnić Tracchiowi swoją przydatność. Nie mógł marzyć o lepszej okazji do wykazania się po latach służby w policji w Miami. Miałam nadzieję, bez cienia zawiści, że on i FBI będą mieli jakąś nową koncepcję, w jaki sposób dopaść psychola — byłam przekonana, że jeżeli nie uda się go powstrzymać, będzie mordował dalej.

Jednocześnie Jacobi przyciskał mnie, nalegając na zakończenie sprawy Dowlingów — i słusznie. Żeby nie zwariować i nie popaść w kompleksy, musieliśmy z Conklinem to zrobić. Telefon od Dachowca był pierwszym momentem przełomowym od śmierci Casey Dowling dwa tygodnie temu. Wreszcie mieliśmy coś konkretnego.

— Dowling zeznał, że uprawiał seks z żoną przed obiadem, zgadza się? — powiedziałam do Conklina. — A ta złodziejka mówi, że się kochali, kiedy ona dobierała się do sejfu. A więc po obiedzie. Jeżeli dać jej wiarę — dopasowywałam elementy układanki w miarę mówienia — staje się jasne, dlaczego ubrania Dowlinga dały wynik negatywny na obecność prochu i gazów wylotowych. Marcus Dowling był nagi, gdy strzelał do żony.

— Podejrzewałaś go od samego początku — rzekł Conklin z nieszczęśliwą miną.

— I co z tego? Spieprzyłam sprawę.

Rozdział 74

Poszłam z nowiną do gabinetu Jacobiego, stanęłam w drzwiach. Podniósł głowę — szary na twarzy, w szarym ubraniu i w czarnym nastroju. Zdałam relację z rozmowy z Kotem Dachowcem.

— To, co mówiła, uznaliśmy za wiarygodne — powiedziałam.

— Czy namierzyliście telefon?

— Warrenie, to by nic nie dało. Słyszałam dźwięk wrzucanej monety. Dzwoniła z budki telefonicznej.

— Sprawdźcie połączenie — warknął Jacobi. — Co jest z tobą, Boxer?

— Nie wiem. — Wyrzuciłam ręce do góry. — Pewnie zgłupiałam.

Wróciłam do swojego biurka. Conklin patrzył gdzieś w przestrzeń, bujając się na krześle. Pstryknęłam palcami i zawołałam go po imieniu. Odezwał się: — Okay, już wiem, co mamy robić. Przyciśniemy do muru Marcusa Dowlinga. Tego się nie spodziewa.

Zadzwoił mój telefon.

— Pierwsza linia — powiedziała Brenda. — Znowu ta kobieta. Powiedziała, że została rozłączona.

Patrzyłam przez chwilę na migający czerwony przycisk, zanim go wcisnęłam.

— Tu porucznik Boxer.

— Pani porucznik, proszę mnie nie lekceważyć, nie jestem psychiczna. Niesłusznie oskarża się mnie o morderstwo. Czy pani wie, co skradziono Dowlingom?

— Mam spis.

— Dobrze. Proszę sprawdzić. Zabrałam dwa długie naszyjniki diamentowe, dużą diamentową broszę w kształcie chryzantemy i jeszcze inne rzeczy, w tym pierścionek z żółtym kamieniem w bogatej oprawie.

— Kanarkowy diament.

Na linii zapadła cisza.

— To jest diament? — spytała.

— Co mam zrobić z tymi strzępami informacji od pani? Potrzebne mi zeznanie, bez niego jakbym nic nie miała.

— Pracuje pani w wydziale zabójstw. Róbcie swoje, a mnie zostawcie w spokoju — powiedziała i znowu się rozłączyła.

Rozdział 75

Yuki wjeżdżała do podziemnego garażu pod swoim apartamentowcem, kiedy odezwała się jej komórka. Na wyświetlaczu zobaczyła, że dzwoni Sue Emdin — znajoma ze studiów w Boalt Law i przyjaciółka Casey Dowling. Yuki znała ją jako „twardą sztukę”, tymczasem usłyszała zdenerwowany, załamujący się głos.

— Sue. Co się dzieje?

— Dużo. Widziałam Marcusa Dowlinga w Rigoletto's. Ciemna włoska knajpka na Chestnut Street, sześć stolików, domowa kuchnia, nie znajdziesz jej w przewodniku państwa Zagatów po najlepszych restauracjach. Siedzieli w kącie, roześmiani, ewidentnie się migdalili. Nie umówił się, by się wypłakać. W każdym razie ja tak tego nie odebrałam.

Yuki wjechała na swoje stanowisko, wyłączyła silnik, wysiadła i pomaszerowała do windy. W tym czasie Sue uzupełniała donos barwnymi szczegółami.

— Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć tej dziewczuchy. Obcisła krótką spódniczka, dekolt do pępka, żeby pokazać wielkie kołyszące się cycki.

— Chcesz powiedzieć, że Dowling miał gorącą randkę?

— Gorącą i zapowiadało się, że na deser będzie jeszcze goręcej. Mąż by mnie chyba zabił za to, że ci o tym opowiadam, Yuki. Powiedziałyby, że to nie moja sprawa. Ale po tym pogrzebie? Po mowie pogrzebowej, jaką Marc wygłosił? To był teatr. A ja ci przysięgałam, że on tego nie zrobił. I zaraz potem zaczęłam się denerwować, że mogę się co do niego mylić. Na Boga, jeżeli to on zabił Casey, a ja za niego zaręczałam? Robi mi się słabo, jak o tym myślę.

— No dobrze. Rozumiem cię. Jednak umawianie się na randkę tuż po śmierci żony to wprawdzie nieprzyzwoitość, ale nie przestępstwo.

— Nie jestem taka pewna.

— Co mówisz, Sue? — Głos Yuki podniósł się o oktawę. — Co masz dokładnie na myśli?

— Od pogrzebu śledzę Marca. Nie gubię go z oczu, Yuki. Musiałam to robić. Miałam nadzieję, że go trafnie oceniałam jako człowieka, lecz coś mi w duszy podpowiadało, że on zabił Casey, a ja, będąc pod jego urokiem, nie chciałam dopuścić do siebie takiej myśli. Casey mówiła mi, że on się z kimś spotyka, pamiętasz? Boże, nie zniosę tego. Powiedz, że jestem szalona, i uwolnij mnie od tej udręki albo zrób coś dla nieszczęsnej Casey.

Yuki zonglowała torebką i aktówką, ręce jej się trzęsły, gdy wyjmowała klucze i otwierała drzwi. Czy zrobiła coś złego, rozmawiając o sprawie z Sue Emdin?

— Gdzie teraz jesteś? — spytała.

— Przed jego domem. Od ponad godziny. Deserowa dzisiaj jest z nim i jeśli jesteś ciekawa mojego zdania, to ona nie wróci do siebie. W każdym razie nie dzisiaj.

— Powiedz raz jeszcze, czego to dowodzi.

— To dowodzi, że to całe bajanie Marca o złamanym sercu z powodu straty żony jest głównie warte. Jeżeli dopuszcza się takiego kłamstwa, jest zdolny kłamać w każdej innej sprawie.

— Jakim samochodem jeździsz? — spytała Yuki.

— Złotym lexusem. Zaparkowałam naprzeciwko jego domu.

— Oczywiście nikt nie zwróci uwagi na takie auto.

— W tej okolicy jest pełno takich.

Yuki postawiła na podłodze aktówkę, machnęła jedną i drugą nogą, zrzucając szpilki, i rozejrzała się za butami na płaskiej podeszwie. Dała się zwariować jak Sue.

— Będę tam za dwadzieścia minut — powiedziała.

Rozdział 76

Moja trzecia filiżanka kawy była jeszcze gorąca, kiedy o godzinie ósmej trzydzieści na salę odpraw przez bramkę weszła Yuki i jak pszczołka przyfrunęła prosto do miejsca, gdzie siedziałam za barykadą z kwiatów.

— Chyba mam coś na Marcusa Dowlinga — oznajmiła.

Conklin wstał, odstępując jej swoje krzesło.

— Zamieniamy się w słuch — rzekł.

Jednym niekończącym się zdaniem Yuki opowiedziała, jak to Sue Emdin, szkolna przyjaciółka Casey, przez ponad tydzień chodziła za Dowlingiem i poprzedniego wieczoru w knajpce dla kryjących się przed ludźmi randkowiczów widziała go z kobietą, która podczas kolacji czuliła się do niego niekoniecznie po przyjacielsku.

— Szła za nimi, gdy wyszli z restauracji, i zadzwoniła do mnie, że stoi na czatach przed domem Dowlinga. Pojechałam czuwać z nią.

— Chryste, Yuki!

— Lepiej posłuchaj, okay? Nie naruszyłam prawa. Około jedenastej w nocy Dowling i ta kobieta wyszli od niego z domu...

zachowywali się jak zakochane gołąbki. Ona jest przed trzydziestką, może trochę po. Ciało po pilatesie, długie włosy... dziewczyna z okładki. Piękna kobieta... bezspornie.

— I mówisz, że bezspornie jego przyjaciółeczka — odezwał się Conklin.

— Na to wygląda. Dowling otwiera przed nią drzwi samochodu i odjeżdżają.

— A wy za nimi, czy tak? — spytałam.

— No dobrze, tak.

— Doprawdy, Yuki — jęknęłam, bawiąc się nerwowo długopisem. — To było szalone i niebezpieczne. Czy naprawdę każdy chciałby być gliną? Nie pojmuję.

— To prestiżowa praca, nieprawdaż? — Yuki zachichotała, machnięciem ręki ogarniając nasz ponury szary kurnik.

— Więc siedzicie w aucie przed jego domem. Co dalej? — spytałam.

— Już mówię. Jedziemy za samochodem Dowlinga. Zatrzymuje się na jednej z ulic w dzielnicy Cow Hollow. Musimy przejechać obok niego, zrobić szybki nawrót i gdy wracamy, widzę ową piękność, jak idzie sama w stronę całkiem okazałego domu. Dowling został w samochodzie. Nie odjechał, póki przyjaciółeczka nie weszła w drzwi. Otóż ważne jest to, że jej nie odprowadzał. Najwyraźniej nie chciał, by go widziano.

Yuki przerwała dla nabrania oddechu, po czym wyciągnęła wizytówkę, odwróciła ją, bym mogła odczytać adres, jaki zapisała

na odwrocie.

— Mamy go w komputerze w spisie telefonów Dowlinga — rzekł Conklin.

Wstukałam adres od Yuki do komputera i wyskoczyło mi nazwisko oraz numer telefonu.

— Graeme Henley — zgłosiłam Conklinowi nazwisko i telefon.

Na swoim ekranie przesunął pasek przewijania w dół.

— Mam! — wykrzyknął. — Przez ostatni miesiąc dzwonił pod ten numer trzy albo cztery razy dziennie.

— Graeme to chyba nie jest kobiece imię — zauważyłam.

— Więc przyjaciółka jest zamężna — dopowiedziała Yuki. — Dlatego został w samochodzie. Lindsay, Casey podejrzewała, że Marc się z kimś spotyka. Jeżeli tak było, jeżeli to była poważna historia, jeżeli nie miał jak pozbyć się żony... to mógł być motyw.

— Mamy coś więcej, Yuki. Świadka, który mówi, że Casey Dowling żyła, kiedy złodziej uciekał po dokonaniu kradzieży — powiedziałam.

— Macie podpisane zeznanie?

— To anonimowe źródło, ale wiarygodne.

— Hmm — chrząknęła Yuki. — Macie anonimowe, ale wiarygodne źródło, które twierdzi, że Casey żyła, kiedy złodziej wyskoczył z okna Dowlingów. A któż to? O mój Boże, wiem! Kobieta Dachowiec zadzwoniła do ciebie.

— Mhm, i mówiła takie rzeczy, o których tylko ona mogła

wiedzieć. Czy mamy wystarczające uzasadnienie na założenie podsłuchu?

— To ostateczność — rzekła Yuki. — Idę, popracuję nad Parisim. Nic nie obiecuję, ale zrobię, co tylko będę mogła.

Rozdział 77

Yuki to załatwiła.

Już następnego dnia w porze lunchu miałam w ręku nakaz założenia podsłuchu, a po kilku godzinach został zainstalowany w szafie rozdzielnikowej w odległości dwóch przecznic od domu Dowlingów. O trzeciej po południu rozmowy telefoniczne Dowlinga były słyszalne w małym pokoju bez okien na trzecim piętrze Hall of Justice.

W pokoju znajdowały się tylko dwa biurka, tyleż krzeseł i szafka na dokumenty — tandetne jak w sklepach Armii Zbawienia — oraz stara książka telefoniczna.

Z zapasem kawy zasiedliśmy z Conklinem za zamkniętymi drzwiami. Byłam spięta, ale w optymistycznym nastroju. Nie do końca wierzyliśmy, że usłyszymy z ust Dowlinga coś obciążającego go, ale wreszcie mieliśmy jakąś szansę.

Przez następne pięć godzin monitorowaliśmy przychodzące i wychodzące rozmowy Dowlinga. To był dynamiczny facet, z Hollywood przesyłano mu nocą scenariusze, obgadywał sprawy ze swoim agentem, swoim prawnikiem, doradcą bankowym, PR-owcem, maklerem i — oczywiście — ze swoją przyjaciółką.

Gdy z nią rozmawiał, pieszczotliwym „kochanie” i „skarbie” z obu stron linii nie było końca. Zaplanowali, że zjedzą razem kolację w następnym tygodniu, kiedy Graeme Henley wyjedzie służbowo do Nowego Yorku.

I nagle, kiedy już byłam przekonana, że skończyli, rozmowa zaczęła być interesująca.

— Nawet nie wiesz, jak mi ciężko, Marc. Graeme czuje, że coś jest nie tak, i chce, żebyśmy poszli do terapeuty.

— Doskonale cię rozumiem, Caroline. Wykręcaj się jakoś od tego. Czekaliśmy przez całe dwa lata, skarbie. Kilka miesięcy dłużej nie znaczą wiele w dalekosiężnych planach.

— Wciąż to powtarzasz.

— Jeszcze trzy albo cztery miesiące, to wszystko. Bądź cierpliwa. Mówiłem ci, że nam się uda, i tak będzie. Opinia publiczna znudzi się wreszcie moją historią i skończy się dla nas dobrze.

Conklin parsknął śmiechem.

— Dwa lata. Spotyka się z nią od dwóch lat. To nie jest dymiący rewolwer, ale coś na niego mamy.

Rozdział 78

Zadzwoiłam do Jacobiego z biura Yuki i powiadomiłam go, że wiemy o dwuletnim pozamałżeńskim związku Marcusa Dowlinga.

— Przyciśnijcie ich obydwójce do muru.

Wybrałam się więc z Conklinem do Caroline Henley. Mieszkała w nowoczesnym jednopiętrowym domu kilka przecznic od dzielnicy Presidio.

Pani Henley podeszła do drzwi — blond włosy miała zaplecione w jeden długi warkocz, a na sobie czarne legginsy i męską koszulę w niebieskie prążki. Zauważyłam na jej palcu duży pierścionek z diamentem obok obrączki ślubnej. Od drzwi widać było salon, w którym dwóch malców bawiło się na podłodze ciężarówkami.

Przedstawiłam siebie i partnera, po czym zapytałam panią Henley, czy możemy wejść i porozmawiać. Otworzyła szerzej drzwi.

Ponieważ Conklin raz po raz udowadniał, że potrafi skłonić każdą kobietę do wynurzeń, więc gdy już usadowiliśmy się na miękkich fotelach, oddałam mu pole.

— Marcus Dowling mówi, że łączy was bardzo bliska przyjaźń.

— Niemożliwe, żeby tak powiedział. Widzieliśmy się jedynie na paru przyjęciach koktajlowych, to wszystko.

— Pani Henley, wiemy, co was łączy — rzekł Conklin. — Chcemy jedynie, żeby pani pomogła nam ustalić, gdzie przebywał w czasie, o jaki zapytamy. Nie jesteśmy zainteresowani uwikłaniem pani w jakieś kłopoty. No ale cóż, jeśli będzie trzeba — dodał przytomnie — przyjdziemy, kiedy mąż będzie w domu.

— Och nie, proszę, tylko nie to.

Poprosiła nas, żebyśmy chwilę poczekali. Nachyliła się nad chłopcami, coś im klarowała, a potem wzięła ich za rączki i zaprowadziła do sypialni.

Wróciła, zamknęła drzwi, usiadła z powrotem na swoim miejscu i splotła dłonie na kolanach. Spojrzała na Conklina.

— Casey go niszczyła. Zadręczała zazdrością i przesadnymi wymaganiami. Marc czekał na sprzyjającą chwilę, żeby się z nią rozwieść, a ja miałam odejść od Graeme'a. Zamierzaliśmy się pobrać. Nie bajeruję, mówię całą prawdę.

Przechadzałam się po salonie, gdy Caroline Henley mówiła Conklinowi „całą prawdę”. Wszędzie były zdjęcia — stały w ramach na stolikach, wisiały na ścianach. Caroline Henley albo była w centrum jakiejś grupy, albo sama, ale zawsze skąpo ubrana — uwagę miała przyciągać jej figura i piękna twarz.

Zastanawiałam się, co ją pociąga w starzejącym się aktorze

filmowym. Była dwadzieścia lat młodsza od niego. Może to próżność kazała jej polować na większą zwierzynę niż zwykły handlowiec.

— Więc jeśli mam dobrą wiedzę, to pani i Marcus Dowling jesteście kochankami od dwóch lat — podsumował Conklin.

Dopiero w tym momencie Caroline Henley zrozumiała, dlaczego przyszliśmy. Widziałam, że jest zszokowana.

— Chwileczkę. Uważacie, że on ma coś wspólnego ze śmiercią Casey? To absurd. Wiedziałabym o tym. Marc nie byłby do tego zdolny. Byłby?

Zakryła rękami usta, opuściła je na kolana.

— Przypuszczacie, że zabił ją dla mnie? — zapytała Conklina niemal z satysfakcją.

W samochodzie wymieniliśmy z Conklinem uwagi.

— Prawdopodobnie chciał się wyzwolić z małżeństwa, ale nie miał odwagi powiedzieć o tym Casey. I nagle Dachowiec pojawia się w jego sypialni... Chryste. Dowling nie byłby w stanie zaplanować tego lepiej — podsumowałam.

— Można na to spojrzeć jeszcze inaczej — rzekł Conklin. — Rozwód kosztuje. Morderstwo, jeśli cię nie przyskrzynią, jest śmiesznie tanie.

Rozdział 79

Sarah Wells w swoim czarnym roboczym stroju i wspinaczkowych butach jechała w stronę Pacific Heights. Wrzuciła kierunkowskaz i na czerwonych światłach skręciła w Divisadero Street. Rozbrzmiała kakofonia klaksonów. Niech to diabli! Zapiszczały hamulce — mało brakowało, a zderzyłaby się z kombi pełnym dzieciaków.

Jezu Chryste! Uważaj, Sarah! — przywołała się do porządku.

Powinna się skupić na czekającej robocie, a tymczasem wracała myślą do tego, co wydarzyło się nieco wcześniej wieczorem — ze zgrozą patrzyła na sine odciski palców na gładkich ramionach Heidi i czerwony znak po ugryzieniu na jej szyi.

Heidi próbowała bagatelizować dowody agresji Bestii.

— Traci kontrolę nad sobą. Ale to nie jego wina.

— A czyja? Twoja?

— Jest taki przez te przeżycia w Iraku.

— Nie ma znaczenia, jaki jest powód — zezłościła się Sarah. — Nie musisz tego znosić.

Nie chciała warczeć na Heidi, ale była wściekła i bała się, że Pete Gordon może się posunąć jeszcze dalej. Heidi musiała uciekać od Bestii dla własnego dobra i dobra swoich dzieci.

— Wiem, wiem. — Heidi położyła głowę na ramieniu Sarah i rozplakała się. — Tak dalej być nie może.

Nie może i nie będzie, przysięgała sobie Sarah, sunąc wzdłuż Bush Street. W następnym tygodniu miała się spotkać z Lynnette Green, wdową po Maurym. Lynnette obiecała, że kupi od niej klejnoty i je sprzeda. Sarah nie mogła się doczekać, kiedy dostanie pieniądze. Nie mogła już dłużej czekać.

Skreśliła w Steiner Street, a następnie w California i wreszcie zaparkowała saturna między innymi autami na parkingu przed marketem Whole Foods. Kilka minut zajęło jej upewnienie się, czy ma potrzebny sprzęt, potem włożyła portfel do schowka, przekreśliła kluczyk i wysiadła. Gdy zamykała kluczykiem auto, była już myślami przy Dianie King — jej ofierze tej nocy.

Pani King, wdowa, znana i poważana filantropka, była chętnie fotografowana i pisano o niej w ilustrowanych magazynach, a także co miesiąc w „Chronicle”.

W dziale „Styl życia” podano, że tego wieczoru wyprawia synowi i przyszłej synowej przyjęcie zaręczynowe, które odbędzie się u niej we wspaniale odrestaurowanym wiktoriańskim domu — z kremową elewacją. Równie wspaniała była jej klasyczna biżuteria: od Tiffany’ego, Van Cleefa, Harry’ego Winstona.

Gdyby kradzież się powiodła, Lynnette odkupiłaby te rzeczy

od Sarah i biżuteria by zniknęła. I byłoby po wszystkim. Dzisiejsza robota to mój wielki finał i ostanía zdobycz, postanowiła Sarah.

Sześć aut parkowało przed domem pani King, kiedy Sarah podeszła tam w oblaných gumą butach wspinaczkowych. Wślizgnęła się do bocznego ogrodu, osłoniętego od sąsiadów ligustrowym żywopłotem. Zajrzała przez jedno z okien na parterze i stwierdziła z zadowoleniem, że goście siedzący przy stole prowadzą ożywioną konwersację.

Tętno jej skoczyło, już przymierzała się do wspinaczki, gdy zauważyła, że na piętrze poniżej okna do sypialni i nieco z boku jest zamocowany klimatyzator. To był prawdziwy fart. Obiecała sobie, że spędzi wewnątrz najwyżej cztery minuty. Musi się zadowolić tym, ile uda jej się zgarnąć.

Wykorzystując klimatyzator jako punkt oparcia dla stopy, czuła się pewnie, bez trudu przelazła przez otwarte okno i znalazła się w sypialni.

Dostała się do środka aż nazbyt łatwo.

Rozdział 80

Sypialnię pani King przenikał różany zapach. Najpierw Sarah rozejrzała się, czy cokolwiek może jej przeszkodzić w szybkiej ucieczce. Potem przeszła przez pokój i zamknęła drzwi do holu. Włączyła swoją latarkę.

Pokój miał powierzchnię ponad dwudziestu metrów kwadratowych, skośny sufit i lukarnę wychodzącą na ulicę. Przesuwała światłem latarki po antycznych meblach i tapecie w różyczki, oświetliła komodę. Już miała się zabrać do plądrowania szuflad, gdy zobaczyła ciemną sylwetkę z latarką.

— Jeezu! Kto to! — pisnęła, by w sekundę się zorientować, że widzi w lustrze nad komodą własne odbicie.

Sarah, weź się w garść.

Snopem światła objechała znowu pokój i zauważyła, że na toaletce coś świeci przyćmionym złotym blaskiem. Podeszła tam i na słonecznym czereśniowym blacie zobaczyła stos biżuterii, chyba całe tony.

W jej żyłach już wartko płynęła adrenalina, ale zabuzowała, gdy Sarah ujrzała tę górę złota. Drżącą z emocji dłonią zaczęła zgarniać biżuterię do sakiewki. Dwie rzeczy — pierścionek i

kolczyk — upadły na podłogę, ale zdążyła je złapać, zanim potoczyły się dalej. Spojrzała na zegarek.

Osiągnęła wspaniały wynik: niewiele ponad trzy minuty. To był jej osobisty rekord i już należało się zwijać.

Podeszła do okna i spuściła się w dół po ścianie, ponownie korzystając z klimatyzatora jako punktu oparcia dla stopy. Czując niemal zawrót głowy od sukcesu, przemknęła od domu do żywopłotu i znalazła się na słabo oświetlonej ulicy.

Udało się.

Miała to za sobą.

Skrecając na chodniku w prawo w stronę następnej przecznicy, ściągnęła z głowy latarkę czołową i wrzuciła ją do torby ze sprzętem... i stanęła jak wryta. Za szybko sobie pogratulowała. Zawyły syreny i zobaczyła wyłaniający się zza rogu radiowóz — wprost na nią.

Nie było istotne, czy ją wytropiono i czy policja ją ścigała, czy też nie. Miała przy sobie setki tysięcy dolarów w klejnotach i torbę z narzędziami do włamań.

Nie mogła dać się schwytać.

Zawróciła biegiem i wpadła do ogrodu pani King od strony zachodniej. Zapamiętując miejsce, wrzuciła sakiewkę z biżuterią do studzienki przy jednym z piwnicznych okien i pobiegła dalej. Natknąwszy się na miejsce, gdzie prawdopodobnie stawiano ogrodową altanę, wrzuciła do worka z odpadami torbę ze sprzętem.

Nie zwalniając, ściągnęła z głowy czapkę, a z rąk rękawiczki i cisnęła pod płot. Syrena radiowozu ucichła i w odległości niewielu metrów dobiegł krzyk: „Stać! Policja”.

Bez latarki Sarah za mało widziała, by uciekać, więc schroniła się pod ścianą domu, kucnęła, przywierając do chropowatego stiuku. Ostre światło policyjnej latarki omiotło ogród, ale jej nie dosięgło. Dochodziły trzaski policyjnego radia i nawoływania gliniarzy, zastanawiających się, w którą stronę pobiegła. Podczas tych niekończących się minut Sarah tuliła się do ściany, tłumiąc impuls do ucieczki.

Kiedy głosy ucichły, poderwała się, przebiegła przez sąsiednie podwórko zarzucone zabawkami i dopadła do metalowej furtki. Gdy ją otwierała, zazgrzytał zamek i z domu dobiegło szczekanie psa. System alarmowy włączył światła.

Kryjąc się przed światłem, Sarah wbiegła na kolejne podwórko i tu wpadła na wózek ogrodowy, a gdy się przewracała, zsunął jej się but z prawej nogi. Próbowwała go w ciemności wymacać, ale jej się nie udało.

Rozległ się przenikliwy głos kobiety:

— Artie, wydaje mi się, że ktoś jest przed domem.

Sarah przeskoczyła przez płot i pognęła dalej ogródkami, ściągając w biegu czarny sweter. Zanim wyszła na oświetlony chodnik, wyszarpnęła ze spodni T-shirt. Nie знаła ulicy, na której się znalazła.

Była przerażona, zbierało jej się na wymioty, zdesperowana ściągnęła z nogi drugi but i zdjęła skarpetki, wrzuciła to do

pojemnika na śmieci przy pierwszym podejździe. Już nie biegiem, ale miarowym krokiem ruszyła mniej więcej w kierunku miejsca, gdzie zostawiła samochód.

I nagle uświadomiła sobie — niestety, za późno — że kluczyki były w torbie z narzędziami razem z kluczykiem do schowka, gdzie wrzuciła portfel.

Była bez butów, kilometry od domu i absolutnie bez grosza.

Co dalej?

Rozdział 81

Widziała już jasno oświetlone okna marketu Whole Foods, kiedy nagle zorientowała się, że ciemną ulicą sunie za nią jakieś auto. Jechało w żółwym tempie, nie wyprzedzając jej, przednie światła wydłużały na chodniku cień jej sylwetki.

Czy to gliny?

Półprzytomna ze strachu zdołała zwalczyć ochotę, by się odwrócić i sprawdzić. Zdradziłyby ją panika na twarzy. Patrol, jeżeli faktycznie to był radiowóz, zatrzymałby się i zaczęliby ją przepytować — byłaby wtedy ugotowana.

Kto to jest? Kto się za nią wlecze?

Nagle zawył klakson, zapiszczały opony, bo auto dodało gazu i przejechało obok niej — stary srebrny SUV. Przez okno jakiś dupek wrzasnął:

— Słodki masz tyłeczek, laseczko! — Rozległy się salwy śmiechu. Sarah spuściła głowę.

Czerwonego saturna zastała tam, gdzie go zostawiła. Patrząc w stronę oświetlonego marketu, widziała przez szyby od frontu, że sklep jest prawie pusty.

Chłopak z włosami w kolorze piasku zamykał ostatnią

otwartą kasę. Podniósł głowę, gdy do niego podeszła.

— Zamknęłam kluczyki w samochodzie. Czy mogłabym skorzystać z twojej komórki?

— Na zewnątrz jest automat telefoniczny. — Pomachał kciukiem przez ramię. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. — Pani Wells. Nazywam się Mark Ogrodnick. Pięć lat temu byłem w pani klasie.

Serce jej mocno zabiło, tętno wskoczyło na najwyższe obroty. Dlaczego zdarzyło się tak, że trafiła akurat do jedynej chyba na świecie sklepu, gdzie ktoś zna jej nazwisko?

— Mark. Miło cię widzieć. Czy możesz mi pożyczyć na chwilę swój telefon? Muszę zadzwonić do męża.

Mark obrzucił wzrokiem jej białe stopy i krwawiące rozcięcie na łydce. Otworzył usta i je zamknął, po czym wyłowił z tylnej kieszeni spodni komórkę i podał ją Sarah. Podziękowała i weszła między regały. Wybrała numer i długo czekała, słuchając sygnałów. Wreszcie Heidi odebrała telefon.

— To ja — powiedziała Sarah. — Jestem w Pacific Heights w Whole Foods. Zamknęłam samochód z kluczykami w środku.

— O Boże, Sarah. Nie mogę przyjechać. Dzieci śpią.

— Gdzie jest Bestia?

— Nie ma go w domu, ale w każdej chwili może przyjść. Przykro mi.

— Nie ma sprawy. Kocham cię. Do zobaczenia.

— Też cię kocham.

Ogrodnick się poruszył i zgasił neon w oknie od frontu. Sarah nie miała wyboru. Wystukała numer domowy i po raz pierwszy w życiu modliła się, żeby Trevor podniósł słuchawkę.

— Sarah? Gdzie ty, do cholery, jesteś? — zapytał z wściekłością w głosie.

Potulnie mu wyjaśniła.

Rozdział 82

Najpierw Trevor jej groził, potem napił się piwa, zaciągnął ją do sypialni i wyegzekwował małżeńską powinność, wreszcie skończył sześciopak i poszedł spać.

Sarah, z zaczerwienionymi oczami, obolała i przestraszona, siedziała w jego fotelu, ściskając w rękę piłeczkę do ćwiczeń. Przekładała ją z ręki do ręki i ćwiczyła palce, póki jej nie zdrętwiały. Rozruszała je i włączyła laptopa.

W internecie wyklikała Google News i w pasku wyszukiwania wpisała „Kot Dachowiec”.

Ulżyło jej, gdyż nie było wzmianki o kradzieży w domu pani King. Jeszcze nie. Niepokoilo ją, że podczas biegu z przeszkodami przez Pacific Heights pozbyła się torby ze sprzętem. Czy podczas wymiany baterii w latarce czołowej miała na rękach rękawiczki? Nie pamiętała, a to było istotne.

Raz po raz odtwarzała wszystko w pamięci, by się pocieszyć. Torbę na pewno wrzuciła do worka z odpadami z budowy. Jeżeli ktoś ją znalazł, pomyślał: „Fajnie, mam to za frajer”. Albo worek zostanie rano zawiązany i wystawiony przy krawężniku.

Dreńczyło ją, że tyle innych rzeczy zostawiła za sobą, jakby

znacząc szlak okruchami chleba: sweter i skarpetki, i buty. Same w sobie nie miały znaczenia. Gdyby jednak na baterii znaleziono odciski jej palców, wówczas wszystko inne mogłoby też zostać wykorzystane jako obciążające ją dowody.

Niemal słyszała: „Panie i panowie przysięgli, jeżeli buty pasują, musicie ją zapuszkować na dwadzieścia lat bez możliwości przedterminowego zwolnienia”.

Jęknęła i przebiegła kursorem po stronie Kota Dachowca. Przeczytała kilka artykułów o swoich włamaniach i rosnącej niesławie, ale nic z tego jej nie pochlebiało. Gdy przeszła do całego ciągu tekstów o Dowlingach, ból głowy, który rozpoczął się w okolicy oka, zaczął narastać. Te najświeższe to były wypowiedzi Marcusa Dowlinga i wywiady z nim, ale gdy przewijała wyniki dalej w dół, znalazła historyjki z następnego dnia po kradzieży u Dowlingów.

Jej uwagę przykuł taki oto nagłówek:

Słońce Cejlonu skradziono podczas napadu z jedną ofiarą śmiertelną.

Przemknęły jej przez głowę słowa, które padły podczas rozmowy z porucznik Boxer — praktycznie o nich zapomniała. Policjantka powiedziała, że piękny żółty kamień to diament. Okazuje się teraz, że ma swoją nazwę. Kliknęła na nagłówek i zaczęła czytać.

Słońce Cejlonu, dwudziestokaratowy żółty diament, skradziono aktorowi Marcusowi Dowlingowi i jego żonie Casey Dowling, która została zastrzelona podczas napadu. Był osadzony w złotym pierścionku z ręcznie wykonaną oprawą, na

którą zużyto sto dwadzieścia drobnych diamentów — takim go widziano po raz ostatni.

Słońce Cejlonu ma długą historię naznaczoną nagłymi zgonami. Pierwotnie własność młodego farmera, który znalazł go na gruntowej drodze na wyspie Cejlon, diament przechodził z rąk nędzarzy w ręce królów, znacząc swój szlak tragediami.

Sarah miała wrażenie, że ktoś zacisnął pięść na jej sercu. Przypomniała sobie całą historię Słońca Cejlonu i tego, co spotykało kolejnych właścicieli diamentu — długą listę bankructw, niesławy, nagłych obłądów, samobójstw i przypadkowych śmierci.

Ponieważ zdobywała pilnie wiedzę o kamieniach szlachetnych, czytała również historie o innych sławnych diamentach. Koh-i-noor, znany jako „Góra światła”, przynosił albo nieszczęścia, albo kres panowania wszystkich władców, którzy go posiadali. Maria Antonina, która nosiła diament Hope, „Nadzieja”, zginęła na gilotynie, a pasmo śmierci i nieszczęść ciągnęło się za nim dalej.

Inne jeszcze kamienie obciążone są klątwą: Czarny Orłow, Szafir z Delhi, Rubin Czarnego Księcia. No i Słońce Cejlonu.

Miała go Casey Dowling. I nie żyje.

Sarah podarowała ten kamień Heidi jako romantyczny prezent. A jeśli sprowadzi na nią jakieś nieszczęście?

Czy jestem aż tak przesądna? — zadała sobie pytanie.

Krzyżowanie palców lub rzucanie za siebie szczypty soli to bzdury. A jednak Sarah — może ulegając stresowi, może irracjonalnemu myśleniu — poczuła strach. W końcu te historie

były dobrze udokumentowane. Posiadacze obciążonych klątwą kamieni naprawdę umierali.

Postanowiła prosić Heidi o zwrot kamienia, zanim Pete naprawdę zrobi jej ukochanej krzywdę.

Rozdział 83

Radiowóz krążył wokół parkingu na terenie Crissy Field jak myszołów. Sarah zeszywniała, gdy go zobaczyła we wstecznym lusterku, i obserwując, jak powoli jeździ w kółko, zaczęła się zastanawiać, czy jej dawny uczeń, Mark Ogrodnick, nie doniósł na policję, że zawitała nocą do Whole Foods bosą, podrapaną i przestraszona.

Wstrzymała oddech i poruszała tylko oczami, śledząc czarnobiałe auto, które ostatecznie wyjechało z parkingu na bulwar.

Jezu, Sarah, uspokój się.

Nie ma takiej możliwości, żeby gliny szukały cię tutaj. To nie wchodzi w grę.

Włożywszy okulary słoneczne, wysiadła z auta. Przeszła przez aleję na stronę plaży i usiadła na pustej ławce zwróconej na zatokę.

Pogoda się zmieniała, chmury zakrywały popołudniowe słońce, ale to nie przeszkadzało windsurferom, którzy nawoływali się nawzajem, przebierając się na placyku nieopodal.

Zasuwając zamek błyskawiczny kurtki, Sarah czuła nie tylko chłód powietrza, ale i chłód wewnątrz siebie. Jak powiedzieć

ukochanej osobie, że prowadzi się podwójne życie — co gorsza, w tym drugim jest się przestępcą? Miała przekonać Heidi, że oczywiście uważa kradzież za rzecz złą i niebezpieczną, ale jeśli środki z niej uzyskane umożliwią im wszystkim ucieczkę od Terrora i Bestii, to ona, Sarah, będzie mogła żyć z takim obciążeniem.

W wyobraźni jednak widziała, jak Heidi, popatrzawszy na nią niczym na kosmitkę, bez słowa wraca z dziećmi do samochodu i odjeżdża. Sarah skrzyżowała ręce na piersi i skuliła się, zwieszając głowę. Poczowała się jak martwa na myśl o utracie Heidi. Gdyby do tego doszło, wszystko, co zrobiła, straciłoby sens.

Zadzwoiła komórka.

— Gdzie jesteś, Sarah? My jesteśmy na parkingu.

Wstała i pomachała im.

— Sarah, Sarah! — zawołała Sherry, widząc przyjaciółkę swojej matki. Gdy mała podbiegła, Sarah ją podniosła i przytuliła.

Twarz Heidi rozpromienił radosny uśmiech. Jedną ręką przytrzymała kapelusz z szerokim rondem, drugą Steviego, którego niosła na biodrze, a na wietrze sukienka przylgnęła do jej ciała. Heidi była piękna. Ale to ostatni z powodów, dla których Sarah kochała Heidi.

Heidi podeszła i ją objęła, dzieci znalazły się między nimi, a Sherry przyjrzała się badawczo twarzy Sarah.

— Co ci jest? — spytała. — Ktoś cię skrzywdził?

Sarah postawiła Sherry na ziemi i się rozplakała.

Rozdział 84

Przeszły z dziećmi malowniczym mostem nad odnogą zatoki do ślicznego parczku krajobrazowego. Sherry zabrała Steviego na drewniany pomost i zajęła się zbieraniem kamieni, by zabawiać malca wrzucaniem ich do wody.

One zaś usiadły na ławce.

— Co się dzieje, skarbie? — zapytała Heidi.

Sarah spojrzała jej w oczy.

— Trudno mi o tym mówić. Chciałam cię trzymać z dala od tego. Nie chciałam cię do tego mieszać.

— Jejku, naprawdę zaczynam się bać — powiedziała Heidi.

Sarah kiwnęła głową, wbiła wzrok w ziemię.

— Czy słyszałaś o złodzieju zwanym Kotem Dachowcem?

— Mówisz o tym, który zabił żonę Marcusa Dowlinga, tak?

— Tak... nie... ja tego nie zrobiłam.

Heidi się roześmiała.

— Co? Oczywiście, że nie. Co ty pleciesz?

— Heidi, ja jestem Dachowcem.

— Zamknij się! Nie bzdurz!

— Po co miałabym zmyślać? Uwierz mi, Heidi, jestem tym złodziejem. Pozwól mi to wszystko wyjaśnić, a potem odpowiem na każde twoje pytanie.

— Dobrze. Ale... no dobrze.

— Mówiłam ci, że mój dziadek był jubilerem. Nie powiedziałam jednak, że przyjaźnił się z paserem. Nasłuchałam się różnych historyjek, kiedy będąc w wieku Sherry, bawiłam się w sklepie dziadka. No i gdy zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób możemy się stąd ulotnić na zawsze, zaświtał mi w głowie pomysł na szybkie pieniądze. W ośrodku sportowym zaczęłam ćwiczyć wspinaczkę, wzmacniałam mięśnie i jednocześnie zbierałam materiały o moich przyszłych ofiarach, wybierając ludzi, którzy będą w stanie pogodzić się ze stratą kosztowności. Początkowo nie byłam pewna, czy to zrealizuję... I wtedy Trevor mnie zgwałcił.

Sarah przełknęła ślinę, ale nie dała się owładnąć temu wspomnieniu.

— Pierwsze kradzieże poszły gładko. Miałam dryg do tego i mogłam liczyć na to, że Trevor będzie spał przed telewizorem wystarczająco długo, żebym wykonała skok i wróciła do łóżka, zanim on się obudzi. No i wreszcie znalazłam się w domu Dowlingów.

Heidi siedziała jak porażona — jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Patrzyła tylko na Sarah z szeroko otwartymi oczami. A ona mówiła dalej.

Opowiedziała o perfidnych kłamstwach Dowlinga i o kolejnym skoku, kiedy to do sypialni, gdzie buszowała, wszedł Jim Morley. A na koniec przeszła do kradzieży w domu pani King, ostatniego skoku w jej planach.

— To musiało się kiedyś zdarzyć — powiedziała. — Poczułam się bezpiecznie, jakbym już była w domu. I nagle z ciemności wychynął radiowóz, złapał mnie w światła reflektorów i zaczęli na mnie polować. Więc wyrzuciłam wszystko: skradzioną biżuterię, robocze ubranie i, w zaćmieniu umysłu, torbę z narzędziami, w której były kluczyki samochodowe. Nie mogłam do mnie przyjechać, musiałam wezwać Trevora.

— Przepraszam, Sarah.

Sarah potrząsnęła głową.

— To nie twoja wina. W każdym razie Trevorowi nie spodobała się moja odpowiedź na pytanie, dlaczego znalazłam się bosą i bez kluczyków w Pacific Heights. Nie potrafiłam wymyślić kłamstwa, które by nie brzmiało kompletnie głupkowato, a prawdy też nie mogłam wyjawić. Więc odmówiłam wyjaśnień. Powiedziałam, że mam prawo do własnego życia.

— Rety, nie, och nie — wymamrotała Heidi.

— Oskarżył mnie, że się wymknęłam na spotkanie z facetem. I potem „dał mi nauczkę”.

Sarah odchyliła bluzkę i odwróciła się twarzą do Heidi, pokazując sine odciski palców na szyi.

Heidi przyłożyła rękę do ust.

— O mój Boże, Sarah. — Objęła ramieniem ukochaną i przyciągnęła do siebie. — Czasami się zastanawiam, czy ja cię w ogóle znam.

Rozdział 85

Warming Hut to śnieżnobiały barak z przekąskami i pamiątkami usytuowany na przecięciu Crissy Field Avenue z Presidio Parkway — tu sięga jedno ramię mostu Golden Gate, który spina dwa brzegi zatoki.

Heidi i Sarah zamówiły na lunch zupę i kanapki, dzieciaki siedziały przy oknie, mało zainteresowane jedzeniem zabawiały się dmuchaniem przez słomki w swoje napoje.

— Jest coś jeszcze — odezwała się Sarah. — Chodzi o ten kamień, który ci podarowałam.

— Niech zgadnę. Jest jak gorący kartofel.

— Bardzo, bardzo gorący. To diament. Ma swoją nazwę i niezwykłą historię.

Heidi pociągnęła za wisior, przyjrzała mu się.

— Mówiłaś, że to cytryn.

— Nazywa się Słońce Cejlonu i ciąży na nim klątwa.

— Klątwa. To jakiś obłąd.

— Wiem, wiem, ale jego historia sięga trzy wieki wstecz. I zważ, że należał do Casey Dowling, którą ten skurwysyn, jej mąż,

zastrześli. Co więcej mam ci powiedzieć?

Podeszła Sherry.

— Co to jest klątwa, mamó? — spytała, nachylając się do Heidi.

— Jeśli ktoś komuś życzy czegoś złego.

— To tak jakbym ja życzyła tacie, żeby coś mu się stało?

— Sherry, Stevie zaraz zacznie płakać. Bądź grzeczną dziewczynką, idź go pocałuj.

— Nie chcę, żebyś go nosiła — powiedziała Sarah, gdy Sherry odeszła. — To kuszenie losu.

— Naprawdę? — Heidi się roześmiała. — Kuszenie losu? Mój Boże, to przezabawne. — Odpięła łańcuszek i podała Sarah naszyjnik. — Słońce Cejlonu, he? Cóż, to trochę zbyt szpanerskie jak dla mnie.

— Dziękuję. — Sarah wcisnęła wisior do tylnej kieszeni spodni. Miała do powiedzenia jeszcze jedną rzecz, już ostatnią: że ma się spotkać z Lynnette Green i otrzymać za biżuterię pieniądze na start w nowe życie czteroosobowej rodziny.

— Muszę ci coś powiedzieć, Sarah.

— Okay, ale miej dla mnie litość. Czuje się jak wrak. Nie mogę uwierzyć w twoje wyczyny.

— Przerażam cię. No, powiedz to wreszcie.

— Jestem w szoku. I jestem wdzięczna za to, co dla nas zrobiłaś. Narządałaś życie, Sarah. Gdyby nie było z nami dzieci,

wiesz, jak bym cię pocałowała. Nikogo nie kochałam jak ciebie.

— Ja też ciebie kocham.

— Co teraz? Uważasz, że policja mogła trafić na twój ślad?

— Możliwe. — Sarah potarła skronie. — Ten dzieciak w supermarkecie. On mógł donieść na policję. Mogą znaleźć moje odciski palców na czymś, co wtedy wyrzuciłam. Mamy niewiele czasu, Heidi. Jeżeli chcemy się stąd wyrwać, musimy to zrobić jak najszybciej.

— Wiem. Jesteśmy jedną drużyną. Cokolwiek robisz, nas także to dotyczy.

Sarah kiwnęła głową i zamilkła na chwilę. Rozważała różne możliwości, a każda wydawała się przerażająca... i była wyzwaniem.

— Sarah?

— Wiem już, co zrobić.

Rozdział 86

Pete Gordon zaparkował jak najdalej od wejścia do centrum handlowego. Nie docierało tu światło i stał poza zasięgiem kamer. Czekał na Heidi i dzieci.

Był spięty, ale opanowany i nic nie uchodziło jego uwagi: zapach świeżo pomalowanych pasów na parkingu, klienci idący do swoich aut, światła w Mervyns i w Toys „R” Us, także szarzące o zmroku niebo.

Adrenalina pulsująca w żyłach rozjaśniała mu umysł — upływały ostatnie minuty przed decydującą fazą jego planu. Kiedy już wyeliminuje te trzy pożałowania godne istoty, pójdzie piechotą do domu i zdąży rozłożyć się przed telewizorem, zanim ktokolwiek wezwie gliny.

Powtórzył w myśli trzy krótkie zdania listu do „Chronicle”: „Teraz mi wierzycie? Cena podskoczyła do pięciu milionów. Nie schrzańcie tego po raz drugi”.

Nie mógł być bardziej konkretny.

Tego dnia, gdy list się ukáže, policja i media będą mu przekazywać wyrazy współczucia z powodu strasznej straty i jednocześnie potępiać Szminkowego Zabójcę za dokonanie

trzech kolejnych „bezsensownych zbrodni”.

Plan był błyskotliwy, ale pogratulować musiał sobie sam, bo tego nikt inny nigdy nie robi.

Usłyszał z tyłu trajkotanie Heidi i zobaczył ją w lusterku wstecznym — pchając wózek sklepowy, podtrzymywała na biodrze cuchnącą bombę. Dobiegł go także inny głos, więc zaklął w duchu. To była Angie Weider, ich sąsiadka z twarzą jak psia mordą i bachorem w spacerówce. Że też musiała się tu napatoczyć akurat teraz.

Heidi krzyknęła w jej stronę „Cześć!”, podjechała z wózkiem i zostawiła go z tyłu samochodu.

— Pete? — Udał, że nie słyszy.

Otworzyła tylne drzwi i zapinając dzieci w fotelikach, odezwała się znowu:

— Petey, zechciałbyś zająć się zakupami?

— Żaden problem, księżniczko. Wystarczy, że poprosisz.

Wciągnął na ręce rękawiczki, wyskoczył z samochodu, otworzył bagażnik i odczekał, aż przejedzie opuszczające parking auto. Kiedy zrobiło się czysto wokół, ułożył zakupy obok torby z obowiązkowym zestawem samochodowym i pudłem po butach, gdzie trzymał naładowany pistolet.

— Hej, Pete! — zawołała Angie Weider — zjedzmy razem kolację. Wybieramy się do BlueJay Café.

— Kiedy indziej, okay?! — odkrzyknął Pete, wrzucając pistolet z powrotem do pudła. Zalała go furia, fala nienawiści do tej suki,

która za jednym zamachem wszystko zniweczyła — stracił okazję i alibi. Przemknęło mu przez głowę, żeby zabić ją i jej dzieciaka, ale mógł sobie wyobrazić wrzask Heidi i Sherry, a przecież nie zdołaliby załatwić ich wszystkich tak szybko, by nikt tego nie zauważył.

— Dzieci, pójdziemy gdzieś na kolację, co wy na to? — Heidi zlekceważyła Pete’a.

Sherry zapiszczała z radości, a malec zagruchał. Pete zatrzaskał pokrywę bagażnika.

— Wy z nią jedźcie. Ja mam za dziesięć minut mecz w telewizji.

— Pamiętaj, żebyś wyjął lody — nakazała Heidi. — Resztę rozpakuję, jak wrócę.

Wyciągnęła śmierdziela z fotelika, a Sherry sama pobiegła do vana pani Weider. Odjechały, zatrąbiwszy na pożegnanie.

Pete włączył silnik, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał tyłem.

Zmiana planu. Ale nie zamierzał wracać do domu.

Rozdział 87

Upłynął tydzień od czasu, kiedy zatrzymałam ruch na moście Golden Gate, stojąc z przyciśniętym do biustu egzemplarzem „Chronicle”, a dziesięć dni od zamordowania przez tego psychopatę, którego nazwaliśmy Szminkowym Zabójcą, pani Elaine Marone i jej dziecka. Wciąż bywały chwile, gdy czułam ciężar wiszącego na mojej szyi telefonu zabójcy, słyszałam jego szyderczy głos i kpinki, gdy kolejno kazał mi się rozbrajać i rozbierać w drodze na miejsce, gdzie nie doszło w końcu do przekazania okupu.

Federalni przejęli sprawę szminkowego psychola, co mnie odciążyło. Robiło się za to gorąco wokół Dowlinga. Dostaliśmy już transkrypcję nagrania z założonego podsłuchu, co mogło nas doprowadzić do motywu. A w magazynie dowodów rzeczowych mieliśmy but wspinaczkowy, sweter marki Banana Republic i torbę z narzędziami — wszystko prawdopodobnie należało do kobiety Dachowca.

Krzepiące było poczucie, że możemy pracować dalej na konkretach, więc nie uszczęśliwił mnie telefon o szóstej wieczorem od Jacksona Brady’ego, który przekazał, że ci z FBI proszą mnie o pomoc w związku z trzykrotnym zabójstwem.

Dwadzieścia minut po telefonie Brady'ego szliśmy w górę betonowej rampy wielopoziomowego parkingu. Ciągnęła się spiralnie przez kilka poziomów i na górze łączyła z kładką dla pieszych prowadzącą do usytuowanego na molo gigantycznego centrum handlowego z mnóstwem restauracji i sklepów — idealnego miejsca, żeby zniknąć w tłumie po dokonaniu brutalnego morderstwa.

Brady poznał mnie z agentem do zadań specjalnych, Dickiem Benbowem, facetem około czterdziestki — rzucały się w oczy jego kwadratowe ramiona, świeżo ostrzyżone włosy i buty wypolerowane na błysk. Uścisnęliśmy sobie dłonie i zaprowadził nas na miejsce zbrodni, gdzie działało już dwunastu agentów federalnych.

— Pani porucznik, nikt nie zna tego zwierzęcia tak dobrze jak pani — zwrócił się do mnie. — Proszę powiedzieć, co pani widzi. Co wygląda tak samo jak przy poprzednich zabójstwach? Są jakieś różnice? Ma pani jakąś hipotezę w tej sprawie?

Zjeżyły mi się włosy na głowie i każdy włoszek na ciele, gdy zbliżyliśmy się do młodej czarnej kobiety leżącej w ostrym świetle reflektorów z szeroko otwartymi oczami i otworem po kuli w czole.

Miała na sobie drogie ubranie: długą markową spódnicę w barwny wzór, granatowy zakiet i białą plisowaną bluzkę z fantazyjnymi guzikami. Wyglądało na to, że przyjechała tu spotkać się z kimś, a nie chodzić po sklepach.

Przewrócony podwójny wózek dziecięcy leżał jakieś dwa metry dalej. Przykrywał dwoje martwych dzieci. Nie

potrzebowałam tam podchodzić, widziałam aż za dużo: dwie kałuże krwi, mała stopa w białym buciku wystająca z lewej strony wózka, z prawej wyciągnięta rączka, smoczek w odległości paru centymetrów.

Może dzieciak, zanim umarł, sięgał po „pocieszyciela”.

— Ofiary to Veronica Williams, jej córka Tally i jej syn Van — poinformował mnie Benbow. — Przyjechali z Los Angeles. Zawiadomiliśmy rodzinę.

Chciało mi się wrzeszczeć z wściekłości, gdy stałam nad ciałami ofiar: siódmej, ósmej i dziewiątej. To nie był zwykły morderca, to był rzeźnik.

Popatrzyłam bezradnie na Benbowa, potem podeszłam do chevroleta z tablicami rejestracyjnymi wypożyczalni. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, a przy nich leżała na ziemi elegancka damska torebka z czarnej skóry. Wypadł z niej portfel, otwarta kosmetyczka, smoczek, bilet lotniczy, kartonik z aspiryną, komórka i opakowanie wilgotnych chusteczek.

Nachyliłam się i zajrzałam do auta. W świetle wpadającym przez szybę wyraźnie rysowały się na niej litery — wydawały się czarne. Zamiast trzech tajemniczych inicjałów napisał pięć słów, też zagadkowych.

KOBIETY I DZIECI PIERWSZE. ZROZUMIANO?

Nie, nie zrozumiałam. Ja w ogóle tego nie rozumiałam.

Był inteligentny i sprytny, i nienawidził kobiet i dzieci, tyle wiedziałam. Ale dlaczego się nagle wynurzył? Jakim cudem dokonał dziewięciu zabójstw w taki sposób, że nikt go nie

widział? Jak mamy go schwytać?

Czy Szminkowy Zabójca pozostanie jedną z nierozwiązanych zagadek kryminalnych, jakie dręczą gliniarzy aż po grób?

— Nie mam wątpliwości, że strzelała ta sama osoba — odezwałam się wreszcie do Benbowa. — Zostawia pisane szminką akronimy. Jakby podpis. Nie mam żadnej hipotezy na temat tej sprawy. Życzyłabym sobie mieć choć jeden trop.

Oparłam się plecami o betonowy słup i zadzwoniłam do Claire. Nagrałam się na skrzynkę głosową: „Jestem na parkingu w Pier Trzydzieści Dziewięć. Są trzy nowe ofiary, kobieta i dwoje małych dzieci”.

Claire oddzwoniła. Nie bluzga często, ale wyrzuciła z siebie imponujący strumień przekleństw, zanim powiedziała, że jest w drodze do nas. Rozłączyła się, a ja usłyszałam ciężkie stąpania na betonie. Odwróciłam się. W górę rampy szedł Jackson Brady z dwoma mężczyznami: oficerem policji w mundurze i dziarskim facetem — białym, lekko siwiejącym. Brady’emu błyszcząły oczy, a wyraz jego twarzy obudził we mnie nadzieję.

Uśmiechał się.

— To jest pan Kennedy. Mówi, że chce zeznać jako świadek — rzekł Brady.

Wydało mi się, że rozstąpiły się chmury burzowe i przez betonowy sufit przebił się boży palec.

Rozdział 88

Sześcioro oficerów organów ścigania obstąpiło mężczyznę, który przedstawił się jako Daniel Kennedy. Otoczyliśmy go tak ciasnym kołem, że niemal nie miał czym oddychać, wydawał się jednak zadowolony, że skupia na sobie aż taką uwagę. Zaczął od tego, że pasjonuje się kronikami kryminalnymi i czytał absolutnie wszystko o Szminkowym Zabójcy. Powiedział, że jest właścicielem U-Tel, sklepu z telefonami w Pier 39.

— Kiedy wszedł do sklepu... to był biały mężczyzna około trzydziestki — opowiadał Kennedy — od razu wiedziałem, że to podejrzany typ.

— Dlaczego? — zapytał Benbow.

— Poszedł prosto do regału z telefonami na kartę, wybrał taki z kamerą i dwugigabajtową pamięcią. Tanie komórki na kartę migiem znikają z półek, ale drogie telefony? Kto wyrzuca drogi sprzęt? Ten gość wiedział, czego chce. Cały czas trzymał spuszczoną głowę i nawet jej nie podniósł, gdy płacił.

— Miał czapkę?

— Tak, bejsbolówkę, niebieską, bez logo, ale kurtkę nie taką, jaką widziałem na szkicu portrecisty pokazywanym w telewizji.

Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę, dość znoszoną, z amerykańską flagą na rękawie.

— Wojskowa kurtka — rzekł Conklin. — A kolor włosów?

— Szatyn... niewiele pod czapką widziałem. A więc kupił ten drogi gadżet, wyszedł, a ja zleciłem pracownikowi, żeby dopilnował sklepu przez jakiś czas.

— Poszedł pan za nim? — zapytał Brady.

— Jasne, że tak. Trzymałem się dobre parę metrów z tyłu, żeby mnie nie zauważył... no i zobaczyłem, jak rozmawia z tą piękną Afroamerykanką, która wiozła w podwójnym wózku dwoje dzieci. Gestykulował... wydawało mi się, że oferował pomoc w niesieniu pakunków. I wtedy... diabli nadali... zadzwonił mój pracownik i poprosił, żebym przyszedł podpisać imienny czek... chodziło o poważną transakcję. Załatwiłem to w minutę, ale gdy wróciłem, już go nie było w polu widzenia... dużo ludzi się tu kręciło. Więc wróciłem do sklepu i za niedługo usłyszałem wycie nadjeżdżających radiowozów. Włączyłem radio na częstotliwość policyjną i usłyszałem o strzelaninie.

— Mamy zdjęcia, czy byłby pan w stanie zidentyfikować faceta?

— Mam coś lepszego. Wszystko, co robił w moim sklepie i przed nim, zostało utrwalone przez wysokiej jakości kamerę. Błyskawicznie przegram wam to na płytę z mojego twardego dysku.

— Czy miał rękawiczki?

— Nie — odparł Kennedy. — Na pewno nie.

- Jak płacił za telefon? — spytał Conklin.
- Gotówką. Wydawałem mu resztę.
- Proszę otworzyć kasę.

Rozdział 89

Dźwięki komórki wytrąciły mnie ze snu jeszcze przed świtem. Wymacałam ją po ciemku i zabrałam do salonu, żeby nie budzić Joego. Dzwonił Jackson Brady. Wyczułam w jego głosie zmęczenie, ale zarazem podekscytowanie, gdy mówił, że spędził noc w laboratorium kryminalistycznym, asystując technikom przy badaniu odcisków palców na wszystkich banknotach z kasy rejestrującej sklepu U-Tel.

— Znaleźliście coś? — spytałam z nieśmiałą nadzieją.

— Niezbyt wyraźne odciski, które udało się dopasować do byłego żołnierza marines.

— Poważnie? Sprawdza się twoja intuicja.

— To kapitan Peter Gordon. Służył w Iraku, dwie zmiany z rzędu.

Stałam w niebieskiej piżamie i patrzyłam w dół na cichą, urokliwą Lake Street, a Brady opowiadał o tym byłym oficerze, który po zwolnieniu ze służby jakby zapadł się pod ziemię. Niczego szczególnego nie odnotowano w jego karcie ewidencyjnej, nie był hospitalizowany po powrocie, nie uczestniczył w zjazdach kombatantów.

— Po zakończeniu służby — mówił Brady — Gordon wrócił do Wallkill w stanie Nowy Jork, gdzie mieszkał przez parę miesięcy z żoną i córeczką. Potem przeniósł się z rodziną do San Francisco.

— I co myślisz, Brady? Pasuje ci jako nasz morderca?

— Z pewnością z wyglądu jest podobny do Szminkowego Zabójcy, choć oczywiście nagrania wideo z parkingowego monitoringu są do dupy, a to, co mamy z U-Tel, też nie ma wartości dowodowej. Gordon kupił telefon na kartę dokładnie dwadzieścia minut przed godziną, w której zamordowano Veronicę Williams i jej dzieci, to wszystko. Nie da się z tym wiele wskórać.

— Czekaj, czekaj! Mamy świadka, który widział Gordona rozmawiającego z Veronicą Williams. Mówił o dwojgu dzieciach w wózku. Chryste, to chyba coś!

— Spokojnie, nie wiemy, czy kobieta, którą widział Kennedy, to Veronica Williams. Sześciu ludzi przegląda wszystkie nagrania wideo z Pier Trzydzieści Dziewięć. Słuchaj, Lindsay, chciałbym go zatrzymać, ale musimy mieć pewność, że mamy go w garści na dobre.

Brady miał rację. Usłyszałyby ode mnie taką samą prelekcję, gdybyśmy byli w odwrotnej zależności.

— Jest coś na Gordona z okresu pobytu w San Francisco?

— Niby tak, sąsiadka dwukrotnie zgłosiła awanturę w ich domu, ale oskarżenia nie wniesiono.

— Masz zdjęcie tego faceta?

— Stare, już ci je przesyłam.

Na wyświetlaczu mojej komórki zobaczyłam mężczyznę przeciętnie przystojnego, około trzydziestki. Brązowe włosy, piwne oczy, regularne rysy, nic rzucającego się w oczy. Czy to ten facet nosił dwukolorową kurtkę baseballową i ukrywał twarz przed kamerami w centrum handlowym Stonestown? Oczywiście to nie było, a jednak intuicja podpowiadała mi, że to on.

Pete Gordon to Szminkowy Zabójca.

Wiedziałam, że to on.

Rozdział 90

Podczas przerwy na lunch Sarah Wells i Heidi Meyer, i jeszcze kilkoro nauczycieli zbili się w grupkę wokół telewizora w pokoju nauczycielskim. Na ekranie było wideo z naczelnym lekarzem sądowym w roli głównej. Obraz trochę „skakał”. Doktor Claire Washburn usiłowała wyjechać z podziemnego parkingu w Pier 39 — poprzedniego wieczoru dokonano tam brutalnych zabójstw.

Drogę zagraadzał jej tłum gapiów oraz reporterzy i policjanci, którzy zamknęli wjazd na parking. Kamera skupiła się na Kathryn Winstead z magazynu kryminalnego.

— Ile osób zastrzelono?! — krzyczała do doktor Washburn. — Czy znowu to była matka i dziecko? Czy strzelał ten sam zabójca?

— Rozstąpcie się. Nie żartuję. Odsuńcie się od vana! — odkrzyknęła doktor Washburn.

— Niedawno radziła pani kobietom, żeby nosiły broń — nie dawała za wygraną Winstead. — Opinia publiczna żąda informacji.

— Mówiłam to serio — odparła Washburn i przeciągłym klaksonem utorowała sobie drogę przez tłum na ulicę.

Po wstawce z wideo program ciągnął się w studiu.

— Tym, którzy dopiero do nas dołączyli, wyjaśniam, że nagranie z kamery nadzorującej, które zobaczycie, udostępnił nam pan Daniel Kennedy, właściciel sklepu U-Tel w Pier Trzydzieści Dziewięć. W mężczyźnie widocznym na tym wideo rozpoznajemy faceta znanego nam z monitoringu z podziemnego parkingu pod centrum handlowym Stonestown. Źródła zbliżone do Departamentu Policji San Francisco potwierdzają, że to może być Szminkowy Zabójca.

Heidi otworzyła szeroko usta, patrząc, jak jej mąż kupuje telefon w tym sklepie.

Przecież to jakieś nieporozumienie. Pete nie jest Szminkowym Zabójcą.

On mordercą?

Sarah wzięła ją pod rękę, odciągnęła od telewizora i wyprowadziła z pokoju nauczycielskiego na korytarz.

— Gdzie był Pete wczoraj wieczorem?

— Pete? Byliśmy na zakupach, a potem pojechałam z sąsiadką do BlueJay Café — mówiła Heidi z pobladłą twarzą i wybałuszonymi z przerażenia oczami. — Pete powiedział, że idzie do domu oglądać mecz. Leżał na kanapie, gdy wróciłam. Nie mógł zrobić tego, o czym mówią.

— Z Pier Trzydzieści Dziewięć do waszego domu jest niedaleko.

— Byliśmy na kolacji jakiś czas... Boże mój. Ale to nie może

być on. Przecież bym wiedziała, że jest coś na rzeczy, nie?

— Heidi, on jest podły. Agresywny. Jak traktuje ciebie i dzieci...? Zastanów się, gdzie idzie Pete, kiedy oznajmia: „chcę być wszędzie, byle nie tu”... czy nie znika na całe godziny? Wiesz, co wtedy robi?

— Boże! Powiedziałaś to całkiem serio. — Heidi popatrzyła na wszystko mówiącą twarz Sarah i ugięły się pod nią kolana. Sarah musiała ją podtrzymać.

— Heidi, hej, Heidi, nic ci nie jest?

— A jeżeli to prawda? Co ja zrobię?

— Gdzie są dzieci? — zapytała Sarah.

— Sherry jest w szkole. Stevie w żłobku... chyba że... o Boże! Która to godzina? Pete już go odebrał. Muszę zadzwonić na policję. Gdzie jest moja torebka? Potrzebny mi telefon. Muszę natychmiast zadzwonić na policję.

Rozdział 91

Pete Gordon czyścił broń przed włączonym telewizorem — na ekranie oglądał siebie, jak kupuje telefon w Pier 39.

To wideo puszczały raz po raz w ciągu ostatnich trzydziestu minut, a teraz gadająca głowa z CNN nadawała komunikat: „Źródła zbliżone do FBI potwierdzają, że ten człowiek jest obiektem zainteresowania organów ścigania w związku z ostatnimi zabójstwami na parkingach przy centrach handlowych w naszym mieście. Nie ujawniono jego nazwiska, ale ostrzega się osoby, które go znają lub go gdzieś zobaczą, żeby się do niego nie zbliżały. Istnieje domniemanie, że jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny...”.

— Cóż, dziękuję — mruknął Pete, nakręcając tłumik na lufę beretty. Wsunął pistolet za pasek i przeszedł do garażu. Miał już w bagażniku torbę ewakuacyjną, niezbędny zestaw samochodowy i zgrzewkę wody butelkowanej.

Wsiadł do samochodu, wcisnął pilota od bramy garażowej i kiedy się uniosła, usłyszał odgłos wirujących łopat helikoptera. Nie widział, czy to helikopter federalnych, czy telewizji informacyjnej, ale załoga bez wątpienia wiedziała, kim on jest, i polowała na niego.

Musiał więc wdrożyć plan B. Ale to był diabelsko dobrze przemyślany plan.

Opuścił bramę garażową. Wysiadł z auta, zdjął z wysokiej półki styropianową lodówkę, zaniósł ją do domu. Rozmontował dzwonek do drzwi i zręcznie poprzelączał przewody. Detonatory trzymał w małym oklejonym taśmą pudełku z napisem SPINACZE — było wsunięte głęboko do szuflady z rupieciami. Dzwonek i jeden z detonatorów wrzucił do lodówki, wyniósł ją na chodnik i ustawił koło skrzynki pocztowej.

Gdy wrócił do domu, do tekturowego pudełka włożył drugi detonator i nakrył go starą gazetą. To pudło również wyniósł z domu i postawił je na ganku z tyłu, dokładnie pod tylnymi drzwiami.

Po tym wszystkim zza firanki w salonie wyjrzał na ulicę. Właśnie podjechał czarny SUV i zatrzymał się na wprost ścieżki do domu. Pięć albo sześć identycznych aut nadjeżdżało z obydwu stron. Już nie miał wątpliwości. To byli federalni.

Rozsunął firanki, żeby go widzieli i wiedzieli, że on także ich widzi. Potem wyjął z łóżeczka dzieciaka.

— Idziemy, śmierdziuchu.

Stevie wrzeszczał i wił się w jego ramionach, więc nim potrząsnął i kazał mu być cicho. Z blatu w kuchni zgarnął karton soku i opakowanie cheeriosów. Przeszedł do przylegającego garażu i wsiadł do samochodu z dzieciakiem na kolanach.

Wyobraził sobie, jak trajkoczą między sobą obsady SUV-ów i stanowisko dowodzenia, które prawdopodobnie już

zorganizowano przecznicę dalej. Czekając w ciemnym garażu, gdy siły wroga zbierały się wokół jego domu, cofnął się pamięcią o kilka lat do dnia, kiedy z oddziałem, którym dowodził, wyruszył z Al-Hadisy.

Tego dnia zamordowano jedyną na świecie osobę, na której mu zależało.

Rozdział 92

Pete Gordon jechał w pierwszym wozie na czele konwoju złożonego z sześciu pojazdów, które wiozły zaopatrzenie do Zielonej Strefy. Siedząc obok kierowcy, kaprala Andy'ego Douglasa, zajęty był rozmową przez krótkofalówkę z bazą dowodzenia, kiedy nagle świat runął mu na głowę.

Eksplozja wstrząsnęła wszystkimi jego zmysłami, ogłuchł i oślepnął od dymu, fala uderzeniowa uniosła pojazd i ciężko rzuciła nim potem o ziemię. Pete wygramolił się i pokuśtykał na pobocze drogi, słuch mu wrócił, ale uszy wyławiały tylko rozdzierające serce krzyki umierających i rannych.

Poruszając się z trudem po rumowisku osmalonego metalu i kamieni, dobrnął do ostatniego pojazdu w konwoju. Siła wybuchu przewróciła go i stał w ogniu. Pete zobaczył trzech swoich podkomendnych: kapral Ike Lennar leżał na ziemi w drgawkach, szeregowy Oren Hancock przytrzymywał wnętrzności, które wyslizgiwały się z jamy brzusznej. Ten trzeci to był Kenny Marshall z rodzinnego miasteczka Pete'a — jemu oderwało nogi powyżej kolan.

Na wspomnienie tamtego dnia Gordonowi zaszklily się oczy.

Padł wtedy na kolana koło przyjaciela, ściągnął mu hełm i

utulił w dłoniach jego głowę. Hełm Kenny'ego potoczył się po ziemi i wydawało się, że na przyklejonym w środku obrazku Jezus kręci z niedowierzaniem głową. Pete mamrotał puste słowa pocieszenia w ucho Kenny'ego, chłopca, który zwykł mówić, że zawsze jest gotowy na wezwanie Pana. Spojrzał na Pete'a — miał w oczach zdumienie — i po chwili życie z niego uciekło.

Pete sam poczuł w sobie martwą pustkę i nagle w tę pustkę wdarła się jak rwący potok ślepa wściekłość. Rozerwał koszulę i przykrył nią twarz Kenny'ego, a potem zawołał do swoich żołnierzy, że fugasa odpalono zdalnie z samochodu jadącego za konwojem. Reszta jego oddziału, dziesięciu dzielnych mężczyzn, natychmiast otoczyła tego starego rupiecia z tyłu. Szarpnęli z dwóch stron za drzwi.

Z przodu siedziało dwóch tchórzy, a na tylnym siedzeniu krzyczała kobieta i dziecko. Pete wyciągnął kobietę z samochodu, dziecka nie wypuściła z rąk. Nie rozumiał, co ona mówi, nawet go to nie interesowało. Kiedy tamci dwaj rebelianci leżeli już twarzami do ziemi, Pete odwrócił się do nich z bronią wymierzoną w czarny tłumok u jego stóp — w kobietę i dziecko.

— Kochacie tych dwoje, co? Kochacie ich?! — wrzasnął.

Najpierw celował w tę sukę w zwojach tkaniny, z której wystawały dłonie, jakby chciały powstrzymać kule. Strzelił ze swojego automatu i patrzył na jej drgające ciało, a gdy umierała, strzelił do kwilącego dziecka. Potem skierował pistolet w stronę rebeliantów, ale jego żołnierze go schwycili i rozbroili, położyli na ziemi i siedzieli na nim, póki nie przestał spazmować.

Na temat incydentu zapanowała zmowa milczenia. Lecz

Gordon wciąż był na tamtej piaszczystej drodze pod Al-Hadisą. Wtedy po raz ostatni stać go było na prawdziwe uczucie.

Ryk zniżającego się helikoptera przywołał Pete'a do rzeczywistości. Był w samochodzie, we własnym garażu, osaczali go wrogowie, chciał, żeby już się zaczęło coś dziać. Poklepał śmierdziucha po brzuchu — klap, klap, klap — i czekał na odpowiedni moment.

Rozdział 93

Brady złapał mnie telefonicznie przy biurku o wpół do drugiej po południu. Krzyczał do telefonu, że nasz świadek upublicznił sprawę via media i teraz Peter Gordon ma na karku uzbrojonych federalnych.

— Ten łotr używa własnego dziecka jako zakładnika. Agent Benbow chce cię tam zobaczyć, Lindsay. Pete Gordon oznajmił, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

Za moimi plecami czyhał Jacobi. Gdy w dziesięciu najwyżej słowach przekazałam mu informację, na jego twarzy uzewnętrznił się konflikt decyzyjny.

— Zbieraj się. Informuj mnie na bieżąco — warknął w końcu. — Uważaj na siebie! — krzyknął za nami, gdy wychodziliśmy z Conklinem z naszej hali.

Niemіłosiernie długo jechaliśmy z Bryant Street do miejsca zamieszkania Gordona, z trudem przebijając się przez korki wokół Civic Center.

Gdy rozstąpił się kordon na końcu ulicy, zobaczyłam stado czarnych SUV-ów naprzeciwko ceglastego piętrowego domku z przylegającym garażem i zaniedbanym trawnikiem.

Agent Benbow zatrzymał nas machnięciem ręki i podszedł do okna od strony pasażera.

— Czy ma pani doświadczenie w negocjacjach z przestępcą, który trzyma zakładnika? — zapytał mnie.

— Niewielkie.

— Proszę dać z siebie wszystko, pani porucznik. Być jego przyjacielem. Nie prowokować go. Skłonić do wyjścia z tym chłopczykiem.

— Co mogę mu zaproponować w zamian?

— Cokolwiek zechce. Gdy dziecko znajdzie się w naszych rękach, on jest nasz.

Podał mi kamizelkę kuloodporną. Włożyłam ją i wzięłam do ręki megafon.

— Peter, mówi Lindsay Boxer! — zawołałam. — Jestem tu, bo o mnie prosiłeś. Chciałabym, żeby to skończyło się dobrze dla wszystkich. Otwórz powoli drzwi od frontu, załóż ręce za głowę i wyjdź, okay? Nikt nie będzie strzelał.

Nie było odpowiedzi, więc spróbowałam raz jeszcze, modyfikując nieco prośbę. Potem zadzwoniłam na telefon domowy, którego numer podsunął mi Benbow. Pięć sygnałów. Nie odbierał. Włączyła się sekretarka i usłyszałam głos małej dziewczynki: „Tu dom Gordonów. Proszę zostawić wiadomość”.

Nie miałam pomysłu, co dalej, lecz nagle zabrzęczała moja komórka. Wyciągnęłam ją zza paska i spojrzałam na wyświetlacz. Nie pojawił się numer, ale wiedziałam, kto to.

— Boxer, słucham.

— Halo, cukiereczku — odezwał się Szminkowy Zabójca.

Rozdział 94

Głos Gordona nie trafił z mojego ucha do mózgu, tylko wprost do gruczołu produkującego adrenalinę. W jednej chwili oblał mnie pot, czułam, jak spływa mi po bokach, między piersiami, po czole. Miałam *déjà vu* — powtórzyło się uczucie z kilku najstraszniejszych godzin w moim życiu, jednak udało mi się mówić spokojnie.

— Panie Gordon, nikt tu nie chce pana skrzywdzić. Wiemy, że jest z panem mały synek, i o jego dobro chodzi.

— Może wam chodzi o jego dobro. Mnie on głównie obchodzi. Zapytajcie moją żonę. Prawdopodobnie to nawet nie moje dziecko.

— W jaki sposób każda ze stron może uzyskać, co chce?

— Sposób jest tylko jeden — powiedział. — Ja dyktuję warunki. Rzuć broń. Odeślijcie helikoptery. Jeżeli usłyszę wirnik, koniec rozmowy. W każdej chwili mogę wysadzić dom w powietrze. Ładunki i przewody są w domu i na zewnątrz. Jedyne bezpieczny dostęp to ścieżka od ulicy do drzwi od frontu. Podejdź tu, Lindsay, podejdź tuuu...

Poprosiłam Gordona, żeby się nie rozłączał, i wyjaśniłam

sytuację Benbowowi. Pokręcił głową.

— Nie ma o tym mowy — rzekł.

— Nie wejdę do domu, panie Gordon. To pana proszę o wyjście na zewnątrz ze Stevenem. Gwarantuję panu bezpieczeństwo. Daję słowo honoru, że nikt nie będzie strzelał.

— Chcesz dzieciaka, Lindsay, musisz przyjść tu do mnie. Ty i on posłużycie mi jako osłona. Wsiądziemy do twojego samochodu i nikt nie ma prawa za nami jechać. Zobaczę broń gotową do strzału, zastrzelę dzieciaka i siebie. Usłyszę helikopter, będę strzelał. Ktoś rozbije szybę albo wlezie na trawnik, dom wyleci w powietrze. Wszystko jasne?

Benbow wyjął mi z ręki telefon.

— Słuchaj, Gordon. Mówi do ciebie agent specjalny z FBI, Richard Benbow. Nie mogę pozwolić porucznik Boxer, żeby weszła do domu, ale ja do ciebie przyjdę bez broni jako eskorta. Oddaj nam dziecko, a odwiozę cię osobiście do Meksyku. Co powiesz na taki układ?

Wysłuchawszy odpowiedzi Gordona, Benbow zatrzaskała wieczko komórki i spojrzał na mnie.

— Mówi, że chce Lindsay Boxer. W przeciwnym razie to koniec, mogę iść się pieprzyć. Rzucił słuchawkę.

A więc potwierdził, że jest tylko jedno wyjście. Jeśli nie zrobimy tego, czego żąda, wysadzi wszystko w powietrze razem z własnym dzieckiem.

Wyjęłam glocka z kabury i położyłam na trawie. Poprosiłam

Boga o opiekę i ruszyłam ścieżką prowadzącą od ulicy do domu Gordona.

Rozdział 95

Nie odrywałam wzroku od drzwi wejściowych do mrocznego domu na skądinąd poczciwej ulicy. Czy to ostatnia rzecz, jaką będzie mi dane zobaczyć? Zastukałam do drzwi — żadnej reakcji. Zastukałam mocniej. I znowu nic.

Co to, do cholery, znaczy?

Odwróciłam się do Conklina i wzruszyłam ramionami. Wyciągnęłam rękę i nacisnęłam dzwonek.

— Nie, Lindsay! Nie! — usłyszałam krzyk Conklina i w tym momencie rozległy się dwa wybuchy oddzielone jeden od drugiego o ułamek sekundy.

Huk rozdarł powietrze. Zatrzęsa się ziemia, wstrząs podciął mi nogi z taką siłą, jakby potrąciła mnie ciężarówka. Uderzyłam ciężko o ziemię i spowiła mnie gęsta czarna chmura dymu. Wciągałam do płuc tyle gorzkiego kordytu, że od kaszlu wywracały mi się wnętrzności. Od strony ulicy dobiegały krzyki mężczyzn i trzaski pracujących w wozach radiostacji. A gdzieś z bliska wołał mnie Conklin.

Wypatrzyłam go przez kłęby dymu. Leżał na ziemi jakieś pięć metrów dalej.

— Richie! — Dźwignęłam się na nogi i podbiegłam do niego. Ciekła mu krew z rany na czole.

— Dostałeś!

Dotknął ręką czoła.

— To nic takiego. Co z tobą?

— Bywało lepiej... niech to diabli.

Pomogłam Richiemu się podnieść. Położył mi rękę na ramieniu.

— Jezu Chryste, Linds. Mógł nas zabić.

Płonął zaparkowany przy krawężniku SUV. Byli poszkodowani — krwawili z ran od odłamków. Siedzieli, opierając się o wozy, bądź pokładli się na ziemi. Zagęszczenie śladów powybuchowych przy jezdni świadczyło o tym, że Gordon podłożył bombę na chodniku. Druga wybuchła z tyłu domu i budynek zaczynał się palić. Czy te wybuchy miały zabijać? Czy tylko wywołać chaos?

Gdzie Gordon?

Usłyszałam charakterystyczny zgrzyt podjeżdżającej w górę bramy garażowej. Odwróciłam się i zobaczyłam go za kierownicą niebieskiej hondy kombi, która wyjechała z garażu i toczyła się podjazdem w kierunku ulicy.

Rich wyciągnął swoją dziewiątkę, a wiedziałam, że to niejedyna broń wymierzona w hondę. Cały dom w górę i wszерz był na wielu celownikach, a ja znajdowałam się na linii strzałów.

— Nie strzelać! — krzyknęłam w stronę ulicy.

Z podniesionymi rękami podeszłam do samochodu Gordona. Za szybą od strony kierowcy zobaczyłam przerażoną twarz dziecka. Gordon trzymał go przy oknie jak tarczę, przyłożywszy mu pistolet do skroni.

Opuścił szybę na centymetr i usłyszałam aż za dobrze znany mi głos.

— Cuchnąca bombo, powiedz „dzieńdoberek” pani porucznik Boxer.

Rozdział 96

Oderwałam wzrok od przerażonego małego chłopczyka, okręciłam się na pięcie i krzyknęłam w stronę ulicy:

— Nie strzelać! Na miłość boską, nie strzelać! On ma dziecko.

Czyjaś postać wychynęła zza jednego z wozów i posuwała się równolegle do jezdni w stronę podjazdu do garażu. Rozpoznałam Brady'ego. Patrzyłam ze zgrozą, jak rzuca pod samochód Gordona kolce do przebijania opon, po czym ustawia się przed autem, trzymając w obu rękach broń wycelowaną w przednią szybę.

— Wyłaż z samochodu! Natychmiast wyłaż z samochodu — krzyczał.

Gordon nacisnął klakson, a potem zwrócił się do mnie:

— Powiedz temu palantowi, że trzymam lufę przy głowie małego śmierdziucha. Liczę do trzech i naciskam spust. Jeden.

— Brady, opuść broń! On zastrzeli chłopca. Zastrzeli go... — zawołałam ochrypłym głosem.

Gordon był seryjnym zabójcą i miał zakładnika. Brady zachowywał się zgodnie z procedurą i uchodziłby za bohatera, gdyby załatwił Gordona, choćby zginął przy tym Steven.

Poparł mnie Benbow.

— Brady, opuść broń.

Brady się zawahał, ale posłuchał. Benbow wzruszył mnie humanitaryzmem, modliłam się, żeby tak postąpił.

Odezwał się Gordon:

— Lindsay? Ani broni. Ani helikopterów. Ani żadnego ogona za mną. Czy to jasne? Dwa.

Przekazałam żądania Gordona do stanowisk na ulicy i helikopter odleciał. Usłyszałam pisk opon na asfalcie, odwróciłam się — samochód Gordona wystrzelił do przodu, ominął leżące na podjeździe kolce, staranował zagradzającego drogę SUV-a, podskoczył na krawężniku i pognął ulicą w kierunku autostrady.

W ciągu kilku sekund kwartał podmiejskich ulic zamienił się w strefę walki. Ze wszystkich kierunków dobiegało wycie syren: na miejsce ściągaly wozy saperskie, ambulanse i wozy strażackie.

Gdy znalazłam się na ulicy, Benbow zarządzał właśnie śledzenie hondy z powietrza.

Conklin połączył mnie z Jacobim. Chociaż zapewniłam go, że czuję się dobrze, prawda była taka, że w następstwie eksplozji byłam oszołomiona i miałam duszności oraz zaburzenia widzenia.

Gdy podtrzymując się nawzajem, szliśmy z Conklinem do naszego wozu, wciąż miałam przed oczami przerażoną, czerwoną twarzyczkę malucha i usta wykrzywione w

bezgłośnym krzyku.

Poczułam nudności. Zgięłam się wpół i zwymiotowałam na trawę.

Rozdział 97

Ocknęłam się na łóżku szpitalnym na ostrym dyżurze, oddzielona zasłonami od reszty sali. Z krzesła stojącego obok wstał Joe, położył dłonie na moich ramionach.

— Cześć, kochanie. Dobrze się czujesz? Jest już okay?

— Nie może być lepiej.

Roześmiał się i dał mi całusa.

Chwyciłam go za rękę.

— Jak długo byłam nieprzytomna?

— Dwie godziny. Potrzebowałam snu. — Usiadł, nie wypuszczając z dłoni mojej ręki.

— Co z Conklinem? Co z Bradym?

— Conklin ma szlaczek szwów w poprzek czoła. Wydaje się, że będzie mu do twarzy z tą blizną. Brady nie odniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu, za to jest strasznie wkurzony. Mówi, że by załatwił Gordona i po sprawie.

— A przy okazji mnie, Conklina i dziecko.

— Wykonałaś dobrą robotę, Linds. Nikt nie zginął. Jacobi siedzi w poczekalni. Uściskał mnie.

— Naprawdę? Ho, ho!

— To był niedźwiedzi uścisk. — Joe wykrzywił się, rozśmieszając mnie. Nie byłam pewna, czy Jacobi kiedykolwiek mnie uściskał.

— Wiadomo coś o Gordonie?

— Zanim poderwali się w powietrze, by go śledzić, jego honda kombi była jednym z miliona takich wozów. Zgubili go.

— A mały chłopiec?

Joe wzruszył ramionami. Znowu zrobiło mi się duszno. Tylu wyszkolonych ludzi i Gordon nas wymanewrował.

— Będzie używał Stevena jako zakładnika, póki nie przestanie być mu potrzebny.

— Myślę, kochanie, że do tej pory zdążył pozbyć się dzieciaka. Jak już się stąd wydostał, wrzeszczące dziecko było tylko zawadą.

— Chcesz powiedzieć, że go zabił?

Joe wzruszył ramionami.

— Powiedzmy, że go gdzieś wyrzucił. — Joe spuścił wzrok.

Weszła pielęgniarka i zapowiedziała lekarza.

— Będzie za minutę. Czy mogę ci coś podać, kochana? Może sok?

— Nie, dziękuję.

Kiedy wyszła, Joe podjął rozmowę.

— Negocjował, żeby was zmylić. Facet wiedział, jak

skonstruować bombę.

— Czy to ja zdetonowałam ładunek?

— Kiedy wcisnęłaś przycisk dzwonka, impuls elektryczny pobudził dwa detonatory. Jeden był w lodówce na chodniku, drugi ładunek wysadził tył domu... którego już nie ma.

— On prosił o mnie, Joe. Żądał, żebym to ja podeszła do drzwi. Tak to zaplanował... ja miałam zdetonować bombę. Zemsta za to, że nie odebrał pieniędzy?

— Tak sędzę. Twoja twarz to dla niego ikona miasta, z którym walczy...

Wszedł lekarz, więc Joe się wycofał. Doktor Dweck poprosił, bym śledziła oczami jego palec. Postukał mi młotkiem w jedno i drugie kolano, pomógł rozluźnić napięcie mięśniowe. Poinformował mnie, że na ramieniu mam od stłuczenia imponujący siniec, a skaleczenia na rękach wygoją się bez śladu.

Ośluchał mnie; oddech i tętno miałam przyspieszone, gdyż w głowie kołatała mi się myśl: gdzie może być teraz Peter Gordon, z dzieckiem lub bez... i jak to jest, do cholery, że nikt nie wie, gdzie zniknął.

Rozdział 98

Rozparłam się wygodnie w fotelu pasażera, gdy Joe wiozł nas do domu. Jacobi polecił mi wziąć kilka dni wolnego i zadzwonić w poniedziałek, czy pozwoli mi wrócić w przyszłym tygodniu do pracy.

— Będiesz się leczyć snem, słyszysz mnie, Blondasku? — przerwał milczenie Joe. — Jak tylko znajdziesz się w domu, zaczyna obowiązywać szlaban na wyjścia.

— Okay.

— Nie dopuszczam dyskusji.

Roześmiałam się i odwróciłam głowę, żeby ucieszyć oko jego klasycznym profilem — ostro rysował się na tle kobaltowego nieba o zmierzchu. Gdy Joe brał zakręt w Arguello Boulevard, siła odśrodkowa przycisnęła mnie do drzwi auta, przesunęłam wzrokiem po wieżach kościoła St. John's, ale potem oczy same mi się chyba zamknęły... ocknęłam się, gdy Joe mówił, że jesteśmy już w domu.

Pomógł mi wsiąść na chodnik przed naszym apartamentowcem na Lake Street i podtrzymał, póki nie stanęłam pewnie na nogach.

— Co by ci się zamarzyło na kolację? — zapytał, lecz ja dostrzegłam coś, co wydało mi się jakąś diabelską sztuczką. Po drugiej stronie ulicy stała niebieska honda z wgniecionym prawym błotnikiem.

— A co to? — Pokazałam palcem na auto.

Nie czekałam na odpowiedź Joego. Znałam ten samochód. I z odległości ponad pięciu metrów widziałam napis na przedniej szybie. Przeszył mnie strach, jakby Pete Gordon podpalił lont pod podeszwami moich butów.

Skąd wiedział, gdzie mieszkam?

Dlaczego zaparkował samochód pod moimi drzwiami?

Wbiegłam na jezdnię, rozbrzmiały klaksony wymijających mnie aut. Dopadłam do hondy, przyłożyłam zwinięte dłonie do szyby i zajrzałam do środka. Na tylnym siedzeniu leżał na boku mały chłopczyk — Steven Gordon. Nawet w nikłym świetle okrągła plamka na jego skroni była jaskrawoczerwona.

Psychol zastrzelił własnego synka.

Zastrzelił go, chociaż spełniliśmy wszystkie jego żądania!

— Nie! — krzyknęłam, szarpnąwszy za drzwi. Zapaliło się górne światło, chwyciłam dziecko za ramię. Chłopczyk otworzył oczy i wyrwał mi się z krzykiem.

Żył.

— Stevie, nic ci nie jest, nic ci nie jest? Wszystko będzie dobrze.

— Chcę do mamy...

Kciukiem wytarłam szminkę z boku jego głowy. Znak był w swojej wymowie tak odrażający, że nie mogłam na niego patrzeć. Wyjęłam małego z auta i posadziłam go sobie na biodrze.

— Już dobrze, maluszk. Mama zaraz tu będzie.

Joe wsunął głowę do auta i nachylony nad przednim siedzeniem, wlepił wzrok w napis na przedniej szybie.

— Co tam jest? Co napisał? — spytałam.

— Bzdury, Linds. To pomylenieć.

— Czytaj.

— Czytam: „Teraz żądam pięciu milionów. Nie schrzańcie tego znowu”.

Więc zamierzał dalej zabijać, jeżeli nie dostanie pieniędzy. Jak przedtem. Zatoczyłam się z dzieckiem, Joe mnie podtrzymał.

— Jest zdesperowany — powiedział Joe. — I jest terrorystą. Nie pozwól mu zbliżyć się do siebie, Linds. A wypisuje brednie.

Chciałam, żeby Joe miał rację, ale po poprzednim razie, gdy miastu nie udało się przekazać mu pieniędzy, Gordon zabił trzy kolejne ofiary.

„Nie schrzańcie tego znowu” — to nie było pohukiwanie, tylko groźba, broń wycelowana w mieszkańców San Francisco. A ponieważ zostałam łącznikiem między nim a resztą świata, groźba wymierzona była również we mnie.

Joe objął mnie opiekuńczym ramieniem, doprowadził do swojego samochodu i posadził ze Stevenem na tylnym siedzeniu. Wsunął się za kierownicę i zablokował drzwi. Połączył się z

Dickiem Benbowem, a gdy z nim rozmawiał, głaskałam małego po pleckach. I nie mogłam nie myśleć o jego ojcu, maniakalnym mordercy, który nie miał obecnie nic do stracenia.

Gdzie, do cholery, teraz był?

Wydawało mi się, że nie zaznam snu, dopóki łotr nie będzie martwy.

Część czwarta

Potwór

Rozdział 99

Jacobi położył mięsiste łapska na moich ramionach i spojrzał mi w oczy.

— Peter Gordon to problem FBI, Boxer. Zrobiłaś wszystko, co było możliwe. Chłopczyk jest bezpieczny. Jak mówiłem, weź wolne. Ile będziesz potrzebowała.

Wiedziałam, że ma rację. Musiałam odpocząć, fizycznie i psychicznie. Było już tak źle, że podskoczyłam, gdy zasyczał ekspres do kawy.

W niedzielę Joe i ja wybraliśmy się na stadion Monster Park, dotarliśmy tam w połowie pierwszej kwarty. San Francisco 49ers zostawali w tyle za Rams z St. Louis, ale się tym nie przejęłam. Ważne, że byłam z Joem. I było wielkie święto, bo czekały na nas miejsca dokładnie na przedłużeniu linii środkowej boiska. No tak, mieliśmy jednak przy sobie broń, a pod kurtkami kamizelki kuloodporne.

Ochrona musiała usunąć z naszych drogich miejsc, fundowanych przez FBI, dwóch „dzikich lokatorów”, ale natychmiast zapomniałam o tym drobnym zgrzycie, bo tam w dole na boisku gra nabrała ostrych zwrotów, aż zaczęłam podskakiwać z emocji na krześle.

...

Joe chwycił mnie i obdarował gorącym pocałunkiem — co najmniej pięciogwiazdkowym. Z rzędów powyżej przebił się przez gwar tłumu wrzask jakiegoś pyskacza.

— Wynajmijcie sobie pokój!

Odwróciłam się i rozpoznałam jednego z „dzikich lokatorów”, których wyeksmitowaliśmy. Cymbał był kompletnie nawalony.

— Pilnuj swojego nosa! — odkrzyknęłam. Ku mojemu zaskoczeniu cham wstał i zaczął schodzić w naszym kierunku.

I po chwili wyrósł nam nad głowami jak góra.

— Co wy sobie myślicie?! — krzyczał, bryzgając śliną. — Myślicie, że jak stać was na takie miejsca, to możecie robić, co się wam żywnie podoba?

Nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi, ale sytuacja mi się nie podobała. Kiedy jakiś facet zaczyna rozróbę na imprezie sportowej, niewiele trzeba, żeby w akcję włączyli się inni.

— Dlaczego nie wrócisz na miejsce, za które zapłaciłeś? — odezwał się Joe, podnosząc się z krzesła. Mój narzeczony ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i mocną budowę, ale tamten kluchowaty pyskacz ważył na oko ze sto pięćdziesiąt kilo. — Nie dajesz oglądać meczu i obrażasz damę.

— Jaką damę? Widzę pyskatą kurwę i żadnej damy w pobliżu.

Joe chwycił go za kołnierz kurtki i przydusił mu gardło. Ja podsunęłam cymbałowi odznakę pod nos.

— Chciałeś chyba powiedzieć: pyskatą... glinę.

Dałam znak funkcjonariuszom z ochrony stadionu, którzy już zbiegali po schodach. Gdy go ciągnęli po stopniach w górę, zdałam sobie sprawę, że ciężko dyszę i adrenalina znowu buzuje w moich żyłach.

Nanosekunda dzieliła mnie od wyciągnięcia broni.

Joe mnie objął.

— No i jak, Linds? Co powiesz na wynajęcie pokoju, jak nam radził?

— Znakomita myśl. Mam taki jeden na uwadze.

Rozdział 100

Delikatny wiaterek wpadający przez uchylone okno do naszej sypialni poruszał lekko zasłonami. Joe ugotował dla nas obiad, wykąpał nas obydwój, wyraził podziw dla mojej „kształtnej pupy” i zawiązał mnie we frotowy szlafrok.

Nie pozwolił mi nic robić.

Leżałam na plecach na środku łóżka i patrzyłam na niego z dołu — był potężny i wspaniały w ciepłym świetle nocnej lampki i ulicznych latarni.

— Nie ruszaj się, Blondasku — powiedział.

Cisnął swój ręcznik za drzwi, nie odrywając ode mnie oczu. Przyspieszył mi się oddech, zaczęłam szarpać pasek od szlafroka.

— Co powiedziałem, Linds? Zalecenie lekarza. Nie ruszaj się.

Zachichotałam, gdy się wyciągnął obok mnie na naszym wielkim łóżu.

— Swędzi mnie nos — poskarżyłam się.

— Mnie też swędzi.

— No dobrze, wariacie.

— Wariacie, hmm...

Odwrócił się na bok i pocałował mnie w szyję, czym nieodmiennie wprowadzał mnie na wysokie obroty. Wyciągnęłam do niego ręce, ale ułożył je na powrót wzdłuż mojego ciała.

— Leż spokojnie.

Zdjął ze mnie szlafrok — leżeliśmy pod kołdrą, obydwójce nadzy. Spleceni, twarzami do siebie — zarzuciłam mu nogę na biodro, on objął mnie ramionami i mój policzek znalazł się w zagłębieniu jego szyi. Czułam się bezpieczna, bardzo kochana i aż się dziwiłam, że po tylu wzlotach i upadkach, jakie przeżywaliśmy, udało nam się osiągnąć cudowną harmonię.

Joe zebrał moje włosy i owinął je sobie wokół ręki, po czym pocałował mnie w szyję pod brodą. Przyciągnął mnie bliżej do siebie. Przesunęłam lekko biodra, żeby mógł wejść we mnie. Przez moment zapomniałam o oddychaniu. Znalazłam się nad przepaścią i nie chciałam się już cofnąć.

— Zaczekaj chwilę — powiedział, sięgając ponad moją głowę do szuflady w szafce nocnej. Usłyszałam szelest rozwijanej folii. Dotknęłam jego ramienia.

— Nie.

— Wiesz, co robię.

— Mówię „nie”. Poważnie. Zalecenie lekarza. Nie rób tego.

— Kochana? Jesteś pewna?

— Na sto procent.

Pocałował mnie namiętnie i obejmując mocno, przeturlał się

ze mną tak, że znalazłam się na górze. Uniosłam się, usiadłam na nim, przycisnęłam kolana do jego boków, oparłam dłonie o jego pierś i spojrzałam mu w oczy. Zobaczyłam w nich światło jego miłości do mnie. Gdy położył ręce na moich biodrach, zaczęliśmy się rytmicznie poruszać — z szeroko otwartymi oczami, wolno, wolno, bez pośpiechu.

Nie chciałam być w żadnym innym miejscu.

Nie chciałam być z nikim innym.

Rozdział 101

Na moim biurku zabręczał interkom.

— Lindsay — odezwała się Brenda — na dole jest paczka dla ciebie. Kevin wstrzymuje się z przekazaniem jej na górę, póki jej nie sprawdzisz.

Zeszłam schodami do lobby, nasz ochroniarz czekał przy wykrywaczu metali. Trzymał w ręku najzwyczajniejszy czarny pokrowiec na laptopa, owinięty metrami przezroczystej taśmy samoprzylepnej, na nalepce widniało moje nazwisko. Żadnej przesyłki się nie spodziewałam i z pewnością nie podobał mi się wygląd tej paczki.

— Przepuściłem ją przez detektor — powiedział ochroniarz.
— W środku jest metal, ale nie mogę ustalić, co to może być.

— Skąd ona przyszła?

— Sprawdziałem wchodzących, całą grupę studentów prawa, zaglądałem do toreb z kamerami i tak dalej, a kiedy się odwróciłem, ten pakunek leżał na kontuarze. Nikt się do niego nie przyznawał.

— Wzywam ekipę saperów, nie czuj się urażony.

— Bynajmniej — rzekł Kevin. — Ja ściągnę szefa ochrony.

Znowu się cała trzęsłam, ubranie przylepiło mi się do ciała, stłuczone ramię pulsowało bólem. Głowę przeszył huk wyimaginowanej eksplozji i przypomniało mi się, jak Joe mówił, jak łatwo jest skonstruować bombę. To było przerażające.

Przeszłam w najdalszy kąt lobby i schowana za marmurową kolumną zadzwoniłam do Jacobiego, informując go o tej dziwnej sprawie. Powiedziałam, że Peter Gordon prawdopodobnie potrafi wysadzić w powietrze Hall of Justice.

— Opuść to miejsce, Boxer — rzekł Jacobi.

— Ty także. Zarządzamy ewakuację całego gmachu.

Nie skończyłam jeszcze rozmowy, gdy w budynku włączono alarm i szef ochrony wezwał na stanowiska swoich ludzi.

Gmach został opróżniony — sędziowie i sędziowie przysięgli, i prokuratorzy, i policjanci, i aresztanci ciągnęli jeden za drugim tylnymi schodami i wylewali się na ulicę. Ja wyszłam głównym wejściem, cały czas słysząc w uszach dudnienie własnego serca w rytmie na trzy czwarte. Siedem do ośmiu minut zajęła ewakuacja budynku, przed którym stanął pojazd saperski.

Zza policyjnego kordonu obserwowałam robota z lampami rentgenowskimi w „ramionach”. Wtoczył się po rampie dla wózków inwalidzkich i zniknął w głównych drzwiach wejściowych. Podeszli do mnie Conklin i Chi i razem przyglądaliśmy się, jak jeden z saperów, w masce i ubraniu przeciwołamkowym i ognioodpornym, idzie w ślad za robotem z pilotem w ręku.

Czekałam na detonację, która miała nastąpić. Czekaliśmy

długo. Kiedy byłam już bliska histerycznego krzyku, Conklin ujął mnie za ramię.

— Możemy tu stać tak całą noc.

Poszliśmy więc do pubu MacBain's.

A w środku odbywała się impreza integracyjna. Personel organów ścigania wszystkich dyscyplin ekscytował się hałaśliwie sytuacją, czekając na wiadomość, czy będą mieli gdzie wrócić do pracy. Gdy miałam rękę w misce z orzeszkami, zadzwoniła moja komórka.

— Tak zwana bomba została uznana za bezpieczną — oznajmił porucznik Bill Berry z oddziału saperów.

Podeszłam z Conklinem i Chi do pojazdu saperskiego, który parkował teraz na tyłach Hall of Justice. Zapukałam do drzwi vana i gdy się otworzyły, przejęłam z rąk porucznika Berry'ego przesyłkę.

— Więc co w niej jest?

— Boże Narodzenie w sierpniu — odrzekł. — Sądzę, że się pani spodoba.

Rozdział 102

— Coś, co się pani spodoba — jak echo powtórzył Chi. — Co to będzie?

— Liczę na szczeniaczki — powiedziałam.

Conklin przytrzymał dla nas drzwi i we troje dołączyliśmy do tłumu wracających do pracy. Weszliśmy na drugie piętro, skręciliśmy na prawo do wydziału zabójstw i wparowaliśmy do gabinetu Jacobiego. Przyciągnął krzesło obrotowe i ciężko na nim usiadł.

Jacobi miał jak zawsze w pomieszczeniu chlew, nie obrażając świnek. Zdjęłam stos teczek z krzesła stojącego z boku biurka, Conklin usiadł koło mnie, uderzając w biurko kolanami, Chi — w nienagannym szarym garniturze i wąziutkim krawacie — oparł się o framugę drzwi.

— To na pewno nie wybuchnie — powiedziałam, kładąc czarny obiekt na biurku Jacobiego.

— Zdecydujesz się to otworzyć, Boxer? — odezwał się Jacobi.
— A może czekasz na wytłaczane zaproszenie?

— Okay, okay.

Wyjęłam z kieszeni lateksowe rękawiczki, wciągnęłam je na

ręce, poprzecinałam taśmę finką, która służyła Jacobiemu do otwierania listów, i rozsunęłam zamek błyskawiczny pokrowca.

Początkowo nie bardzo docierało do mnie, na co patrzę. Małe zamszowe woreczki, pudełeczka i satynowe saszetki upchane w głównej przegrodzie i powciskane do bocznych kieszeni. Do jednej przyczepiona spinaczem biała koperta zaadresowana do mnie.

Pokazałam ją kolegom, oderwałam skrzydełko i wyciągnęłam złożoną na trzy kartkę papieru.

— Coś w niej interesującego? — spytał Jacobi.

Przełknęłam ślinę i przeczytałam list na głos.

— „Witam, pani porucznik Boxer. To NIE JA zabiłam Casey Dowling. Wszystkie jej kosztowności są w paczce i rzeczy pozostałych osób także. Proszę ich przeprosić w moim imieniu. Popełniłam tych parę błędów, ponieważ wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia, ale już nie będę kradła. Marcus Dowling zabił swoją żonę. To nie mógł być nikt inny”. Podpisano: Kot Dachowiec — oznajmiłam.

Przekręciłam pokrowiec przodem do Jacobiego, żeby widział, jak otwieram małe paczuszki. Przez moje dłonie w rękawiczkach przelewała się niewiarygodna biżuteria. Diamenty i szafiry, które rozpoznawałam jako własność Casey Dowling. Wiktoriańskie brosze i naszyjniki z pereł należące do Dorian Morley. Cała reszta kosztowności innych poszkodowanych przez Dachowca.

Przebierając palcami wśród niezwykłych klejnotów, które wcześniej oglądałam na zdjęciach w kartotece rzeczy

skradzionych, napotkałam pięciocentymetrowej długości prostokątne skórzane pudełeczko naśladowujące kształtem piracki kufer. Otworzyłam je. W środku była zwinięta w kulkę chusteczka higieniczna.

Rozwinęłam ją i z wgłębienia mojej dłoni zamrugał do mnie nieoprawiony żółty kamień wielkości owocu winogrona. Patrzyłam na Słońce Cejlonu.

— Czy to on? — spytał Conklin. — Czy to obciążony klątwą diament Casey Dowling?

Jacobi ledwie rzucił na klejnot okiem. Sięgnął do telefonu i wcisnął jedynekę z szybkiego wybierania — numer szefa.

— Czy jest Tony? Mówi Jacobi. Proszę przekazać, że mam świeżą wiadomość. Z tych dobrych.

Kątem oka zobaczyłam przez szybę Brady'ego zmierzającego szybkim krokiem w naszym kierunku.

— Boxer, nie odsłuchujesz wiadomości?! — wołał do mnie z nabzdyczoną miną. — Kilka godzin temu do naszego biura wkroczyła żona Petera Gordona... sama przyszła do FBI.

Rozdział 103

Heidi Meyer siedziała w pokoju przesłuchań, kompletnie wyczerpana fizycznie i psychicznie następstwami kolejnych traumatycznych przeżyć. Jej świat się zmienił. Ona sama się zmieniła. Jak można było mieszkać pod jednym dachem z Pete'em Gordonem i nie mieć pojęcia, kim on jest? W jej głowie przewijały się rozmaite codzienne scenki — oto coś gotuje dla Pete'a, spiera się z nim, stara się zażegnać jego gwałtowną reakcję. Urodziła mu dwoje dzieci, przymykała oczy na jego wady, świadoma jego psychicznych ran. Prawie co noc spała obok niego przez całe dziesięć lat.

A teraz jej mąż dosłownie i w przenośni wysadził w powietrze ich życie.

Po trzygodzinnym przesłuchaniu agent Benbow zostawił ją tutaj samą z filiżanką gorącej herbaty. Cofnęła się myślą do rozmowy z nim, podczas której opróżniała kolejne kieszenie pamięci, żeby powiedzieć o wszystkim, co mogłoby mu pomóc odnaleźć jej męża, zanim znowu kogoś zabije.

Powiedziała, że od powrotu z Iraku zachowywał się dziwnie niepokojąco. Był wiecznie podminowany, dzieci się go bały... i tak, faktycznie przechowywał w domu broń i znał się na

materiałach wybuchowych.

Pokazała Benbowowi siniaki na ramionach i pozwoliła funkcjonariuszce zrobić zdjęcia czarnosinych plam na wewnętrznej stronie ud.

Gdy teraz siedziała w tym pokoju bez okien, dotarło do niej z przeraźliwą jasnością, że Pete nienawidził jej oraz dzieci, i te matki z dziećmi, które zabijał, służyły mu w istocie jako substytuty jej oraz Stevena i Sherry.

Zastanawiała się, gdzie on jest, czy aby jej nie śledzi, czy nie widział, jak wchodziła do budynku FBI, czy nie czeka, aż ona stąd wyjdzie. A gdy teraz opowiedziała wszystko w FBI, co ma dalej robić? Dlaczego nikt jej nie mówi, co dalej?

Podniosła głowę, bo otworzyły się drzwi i wszedł agent Benbow z wysoką blondynką. Wyjaśnił, że to porucznik Lindsay Boxer z Departamentu Policji San Francisco. Heidi napłynęły łzy do oczu. Wstała i chwyciła rękę pani porucznik w obydwie dłonie.

— To pani znalazła Steviego. Och, Boże. Nie wiem, jak mam dziękować.

— Miło mi cię poznać, Heidi. Czy mogę ci mówić po imieniu?

— Jasne.

Benbow wyszedł z pokoju, porucznik Boxer wysunęła zza stołu krzesło dla siebie.

— Powiedz, jaka jest sytuacja, dobrze? Nie znam wszystkich szczegółów. Gdzie są teraz Steven i Sherry?

— Są z moją przyjaciółką Sarah Wells. Pracujemy razem w Booker T. Washington High.

— A gdzie jest Sarah?

— Krąży tu w okolicy samochodem, ma mnie stąd odebrać. Ona nie może wrócić do domu. Jej mąż... uciekła od niego. Nie mamy gdzie się podziać. Nawet gdyby mój dom nie został zniszczony, musiałabym trzymać się z dala od Pete'a.

— Porozmawiajmy chwilę — powiedziała porucznik Boxer.

— Oczywiście. Powiem wszystko, co wiem.

— Heidi, czy rozmawiałaś z mężem po tych wydarzeniach w waszym domu?

— Nagrał wiadomość na poczcie głosowej. Mówił, że gdy jeździł w kółko po mieście, zamierzał zabić Steviego, ale dostrzegł coś w jego twarzy. Powiedział dosłownie tak: „Jest podobny do mnie. Ale ty, Heidi... ty w ogóle nie jesteś do mnie podobna”.

— To było wstrętne. Powiedział coś jeszcze?

— Kazał przekazać władzom, że jeżeli nie dostanie pięciu milionów dolarów, to znajdzie mnie i dzieci i nas zastrzeli. Wtedy tu przyszłam. Dałam agentowi Benbowowi moją komórkę, w skrzynce jest nagrana ta wiadomość od Pete'a.

Porucznik Boxer pokiwała głową.

— To znakomicie. A gdzie mieszkają twoi rodzice? — zapytała po chwili.

— Mama wychowywała mnie sama. Umarła pięć lat temu. Co

mam robić, pani porucznik?

Otworzyły się drzwi, do pokoju przesłuchań wrócił agent Benbow. Z jego krótko przystrzyżonymi włosami i wojskową manierą kontrastował wyraz współczucia i ciepła na twarzy. Zajął miejsce u szczytu stołu.

— Heidi, czy słyszałaś o programie ochrony świadków? — spytał. — Chcemy cię włączyć do tego programu. Dostaniesz dokumenty na nowe nazwisko, będziesz miała nową tożsamość i zapewnione nowe miejsce zamieszkania.

— Nie nadaję się na świadka. Nic nie wiem.

— Wystarczy fakt, że znajdujesz się na celowniku Petera Gordona... tym programem obejmujemy osoby znacznie mniej zagrożone. Pozwól nam zadbać o twoje bezpieczeństwo. Jeżeli go znajdziemy, z pewnością sprawdzisz się w roli świadka. Stosował wobec ciebie przemoc. Twoje zeznania będą relacjami z pierwszej ręki.

Heidi zmagala się z nawałem myśli. Benbow orzekł, że jej dotychczasowa egzystencja ma dobiec kresu ze względów bezpieczeństwa. Żeby dzieci były bezpieczne, Heidi Meyer ma zniknąć, przekreślić całe swoje życie i rozpocząć nowe jako inna osoba. Do licha, to wydawało się niewyobrażalne.

Tylko z Sarah dałoby się znieść taką zmianę.

Opowiedziała porucznik Boxer i agentowi Benbowowi o Sarah Wells, swojej najbliższej przyjaciółce i powierniczce, matce chrzestnej Steviego. Postawiła sprawę jasno. Sarah ma zostać objęta programem wraz z nimi.

Zaskoczyła Benbowa, sprawiał wrażenie zatroskanego.

— To jest ryzykowne, Heidi. Jeżeli Sarah skontaktuje się z mężem czy z jakąkolwiek inną osobą spośród znajomych, narazi ciebie i dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Ufam jej. Kocham ją. Ona jest dla mnie jak rodzina.

Benbow zabębnił palcami po stole.

— Okay — rzekł. — Zabierzemy was w bezpieczne miejsce i przystąpimy do załatwiania niezbędnych spraw. Musicie wszyscy natychmiast wyjechać, Heidi. Żadnych telefonów. Żadnych pożegnań. Nie możecie niczego zabierać poza tym, co macie na sobie.

Heidi była oszołomiona dramatyzmem bezzwłocznego i kompletnego zerwania z przeszłością — także perspektywą przyszłości bez Pete'a. Jak będzie wyglądało życie bez strachu, z Sarah każdej nocy i bez ukrywania przed ludźmi, że są razem?

Wszyscy będą mogli żyć pełnią życia.

Znowu napłynęły jej łzy do oczu i pociekły po policzkach. Zakryła twarz dłońmi i płakała. Minęła chwila, zanim mogła się odezwać.

— Dziękuję wam. Niech was Bóg błogosławi. Dziękuję — powiedziała do Boxer i Benbowa.

Rozdział 104

Wyszłam z Heidi na ulicę. Patrzyła na mnie zapuchniętymi oczami, wciąż oszołomiona.

— Nie wiem, co powiedzieć dzieciom.

— Jestem pewna, że znajdziesz właściwe słowa, Heidi. Powiedz, czy zrozumiałaś, co będzie z tobą dalej.

— Spędzimy noc w bezpiecznym domu FBI w Los Angeles, czekając na załatwienie wszystkich spraw. Potem polecimy do...

— Nawet mnie nie mów dokąd. Nikomu nie mów.

— Wylądujemy gdzieś na końcu świata.

— Bardzo dobrze. Czy to twoja przyjaciółka Sarah? — spytałam, gdy do krawężnika podjechał czerwony saturn.

— Tak, to ona.

Heidi odeszła ode mnie i wsunęła do auta głowę przez okno od strony pasażera. Coś mówiła przyjaciółce. Odwróciła się po chwili w moją stronę.

— Pani porucznik, czy zechce pani poznać Sarah Wells?

Sarah była śliczną brunetką pod trzydziestkę, bez makijażu, miała na sobie bardzo luźne ciuchy. Odłożyła na siedzenie

różową gumową piłkę i wyciągnęła do mnie rękę na powitanie. Zaskoczył mnie bardzo silny uścisk jej dłoni.

— Bardzo mi miło panią wreszcie poznać — powiedziała. — Dziękuję za wszystko.

Zdziwiła mnie jej mina. Odniosłam wrażenie, że Sarah się mnie boi.

— Wreszcie mnie poznać?

— Tak... odkąd pani znalazła Steviego.

Stevie siedział z tyłu w foteliku samochodowym obok małej dziewczynki. Rozpłaszczył rączkę na szybie.

— Cześć... pani.

— Cześć, Stevie. — Przyłożyłam dłoń w tym samym miejscu z drugiej strony szyby.

— Stevie zakochał się w pani — powiedziała dziewczynka.

Uśmiechnęłam się do dzieciaków, a Heidi uścisnęła mnie wylewnie z mokrymi oczami. Usiadła w aucie i jeszcze wyciągnęła do mnie rękę.

— Życzę szczęścia, Heidi.

— Wzajemnie.

Podjechał czarny sedan, zatrzymał się z boku saturna. Z okna wychylił się agent Benbow i powiedział do Sarah, że ma za nim jechać. Drugie auto ustawiło się za saturnem i po chwili konwój trzech pojazdów ruszył. Sarah, Heidi i dzieci odjeżdżały pod eskortą, by rozpocząć nowy rozdział życia.

Miałam nadzieję, że będzie szczęśliwy.

Odprowadzałam auta wzrokiem, póki nie zniknęły mi z oczu. Zastanawiałam się, jak Peter Gordon zareaguje na zniknięcie żony wraz z dziećmi. I czy jakimś cudem uda nam się go odnaleźć, zanim znowu zacznie zabijać.

Rozdział 105

Gdy następnego dnia rano zjawiliśmy się z Yuki w biurze Leonarda Parisiego z prośbą o nakaz przeszukania, zastałyśmy go w wyjątkowo podłym nastroju. Parisi, zwany Rudym Psem z powodu wpadających w ciemną czerwień włosów i zadzierzystości, przerzucał zdjęcia wartej cztery miliony dolarów skradzionej biżuterii, po czym zatrzymał wzrok na kserokopii listu od kobiety Dachowca.

— Macie jakiś trop prowadzący do niej?

— Ukryła się skutecznie w tłumie wchodzących głównym wejściem. Kamera monitorująca nagrała ścisk, jaki powstał, ale nie udało nam się wypatrzeć, kto zostawił paczkę.

— Pani porucznik?

— Nic nie wiemy o jej tożsamości — powiedziałam. — Biżuteria jest w laboratorium. Jak dotąd na niczym nie znaleziono odcisków palców. Stwierdziliśmy jedynie, że pani Dachowiec oddała wszystko co do ostatniej sztuki. Uważam, że ten fakt przemawia na rzecz jej wiarygodności... twierdzi, że nie zabiła Casey Dowling.

— Po jaką cholere mamy kamery monitorujące? — jęknął.

Jak my wszyscy Parisi był systematycznie opierdalany za zbyt małą liczbę skazań w stosunku do rosnącego wskaźnika przestępczości w San Francisco. Winił za to nas — policja nie dostarczała prokuratorowi okręgowemu porządnego materiału dowodowego, który by pozwalał na konstruowanie niepodważalnych aktów oskarżenia.

— Więc co my właściwie mamy, pani porucznik? Niepoparte dowodami oświadczenie anonimowej złodziejki, która przyznaje się do kradzieży, ale nie do morderstwa. Czy pani naprawdę myśli, że to zrobił Dowling?

— Ona upierała się przy tym dwukrotnie w rozmowie ze mną i brzmiała przekonująco.

— Zapomnijmy o niej. Jest nikim. Duchem. Co macie na Dowlinga?

Poinformowałam Parisiego, co wiemy o Caroline Henley, od dwóch lat kochance Dowlinga. Argumentowałam, że fortunę Dowlinga można liczyć lekko na dziesiątki milionów, więc rozwód drogo by go kosztował i to można uznać za motyw zabójstwa. Mówiłam o niekonsekwencjach w zeznaniach Dowlinga. W miarę upływu czasu zmieniał swoją wersję co do odgłosów i strzałów, jakie słyszał, oraz czy żona go wołała, czy nie.

— Co więcej?

— Miał mokre włosy, kiedy przeprowadzaliśmy z nim rozmowę bezpośrednio po strzałach.

— Mam rozumieć, że brał prysznic w celu zmycia

ewentualnych śladów.

— Tak uważamy.

Rudy Pies pchnął po biurku teczkę ze zdjęciami w moim kierunku.

— Pryszyć to mało wiarygodny dowód. Zanim zaczniecie przeszukiwać dom legendy ekranu i przyczepią się do tego media, a za tym pójdzie ściganie nas za zniesławienie, znajdźcie coś mocniejszego od tego, że złodziejka wypiera się zabójstwa i że Dowling brał prysznic. To nie jest podstawa do wydania nakazu, Yuki — orzekł Parisi. — To nie przejdzie.

Rozdział 106

Wysuwając krzesło spod biurka, szarpnęłam je tak, że huknęło o pojemnik na śmieci, powtórzyłam tę operację, by spotęgować efekt dźwiękowy.

— Rudy Pies nie zwróci się o nakaz przeszukania, póki nie dostanie dymiącego pistoletu — wyjaśniłam Conklinowi.

Popatrzył na mnie.

— To zabawne, że tak ci się powiedziało. Oglądałem wczoraj stare filmy Dowlinga. Spójrz na to. — Obrócił swój komputer ekranem do mnie.

Usiadłam, przysunęłam krzesło do biurka. Na monitorze Conklina zobaczyłam fotos ze starego filmu szpiegowskiego.

— To *Nocna straż* — rzekł Conklin. — Robił ten film z Jeremym Cushingiem. Marny film, ale należy do tak zwanych campowych. Kultowy w tym gatunku. Dobrze się przyjrzyj.

Patrzyłam na zdjęcie Dowlinga: czarny garnitur, bokobrody, wokół oczu linie zmarszczek posłonecznych. I rewolwer w rękę.

— Rany, nie żartuj. Czy to czterdziestkaczwórka?

— To ruger blackhawk. Rewolwer jednostrzałowy, sześć

nabojów w bębenku — wyszczególniał Conklin. Kliknął na kolejne zdjęcie, a na nim na sesji zdjęciowej dla mediów sławny i nieżyjący już Jeremy Cushing wręczał ten rewolwer Dowlingowi jako pamiątkę. Niemal się słyszało, jak strzelają flesze reporterów.

Conklin stuknął w klawiaturę i drukarka wypluła z siebie odbitki zdjęć. Zadzwoiłam do Yuki.

— Złap Parisiego, zanim gdzieś wyskoczy. Wracam do was na dół.

Do wspaniałej rezydencji Dowlinga w Nob Hill dotarliśmy przed lunchem — w trzech radiowozach funkcjonariusze z wydziału zabójstw pałający żądzą założenia mu kajdanków. Nacisnęłam dzwonek, do drzwi podszedł Dowling w dżinsach i rozpiętej wizytowej koszuli.

— Porucznik Boxer...

— Pojawiam się znowu. Jest ze mną inspektor Conklin, już pan go poznał, a teraz przedstawiam zastępcę prokuratora okręgowego, panią Yuki Castellano.

Yuki podała Dowlingowi nakaz przeszukania.

— Chodziłyśmy z Casey do tej samej szkoły — powiedziała, mijając Dowlinga w wejściu do kąpiącego od złota holu.

— Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek panią wspominała. Hej, nie możecie...

Do domu wkraczali za nami Chi, McNeil i Lemke z determinacją gliniarzy robiących nalot na nielegalny bar jak za

czasów prohibicji. A mnie ogarnęła fala paniki. Wbrew temu, co ze swadą mówiłam Parisiemu — że Dowling nigdy w życiu nie pozbyłby się pamiętki po ostatnim filmie Jeremy'ego Cushinga — przestałam być tego pewna.

— Chwileczkę — rzekł Dowling. — Czego wy szukacie?

— Dowie się pan, kiedy to znajdziemy — odparłam.

Zakręcającymi łukiem schodami szłam na górę do głównej sypialni, a reszta mojej ekipy rozbiegła się po domu. Usłyszałam dzwoniący na dole telefon i potem Dowlinga, który krzyczał w słuchawkę oburzoną głosem.

— Słuchajże, Peyser, od tego właśnie są prawnicy. Wracaj z Napa natychmiast.

Weszłam do sypialni gwiazdora filmowego. Piętnaście minut później nie było szuflady czy półki, która by nie miała kontaktu z moją ręką.

Gdy mocowałam się z materacem, raczej poczułam, niż usłyszałam, że ktoś jest w pokoju. Odwróciłam się. To była czarnoskóra kobieta w ciemnym uniformie służącej.

Rozpoznałam ją. Gdy w dzień po zabójstwie Casey Dowling przyszliśmy z Conklinem na rozmowę z Dowlingiem, ta kobieta przyniosła dla nas butelki z wodą.

— Vangy, czy tak?

— Tak, przebywam w Stanach nielegalnie.

— Rozumiem... tym się nie zajmuję, to nie mój wydział. Coś chciałaś mi powiedzieć?

Poprosiła, żebym zeszła z nią do pralni w piwnicy. Tam zapaliła światło nad pralką i suszarką. Objęła suszarkę rękami i odciągnęła ją od ściany.

Wskazała na rurę wyciągową od suszarki, dziesięciocentymetrową, elastyczną, odprowadzającą gorące powietrze na zewnątrz.

— Tutaj go ukrył — powiedziała. — Słyszałam grzechotanie. Gdzieś tam jest to, czego szukacie.

Rozdział 107

Wybraliśmy pokój przesłuchań numer dwa, większy i z lepszą elektroniką. Zanim wprowadziłam Dowlinga i wskazałam mu krzesło, tak by siedział twarzą do lustra weneckiego, sprawdziłam, czy w kamerze rejestrującej przesuwają się taśmy.

Chciałam uzyskać od niego pełną spowiedź — to było ważne dla mnie, dla Conklina, dla Yuki i dla Parisiego. Chciałam w imieniu Casey Dowling, by ręka sprawiedliwości zadziałała szybko i skutecznie. I chciałam zamknąć tę sprawę z uwagi na Jacobiego.

Dowling pozapinał koszulę i włożył marynarkę. Sprawiał wrażenie w pełni opanowanego. Podziwiałam jego spokój, gdyż na stole przed nim w przezroczystej torbie foliowej na dowody rzeczowe leżał jego rewolwer.

Conklin wydawał się wręcz na luzie. Pomyślałam nawet, że z trudem powstrzymuje uśmiech. Miał prawo świętować sukces, ale ja jeszcze bym z nim piątki nie przybijiała. Dowling był megalomanem i prawdopodobnie wierzył, że nikt nie może go dopaść.

— Mój prawnik jest w drodze — oznajmił.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam, wszedł Carl Loomis, spec od balistyki. Wskazałam na rewolwer w folii, zgarnął go ze stołu.

— Jestem pełen uznania dla pańskiego aktorstwa — zwrócił się do Dowlinga.

— Loomis, przypominam, że test balistyczny to priorytet — ponagliłam go.

— Wynik będzie w ciągu godziny, pani porucznik — zapewnił i wyszedł z torbą z rewolwerem.

Spojrzałam na Dowlinga, który demonstrował nonszalancję, kołysząc się na tylnych nogach krzesła.

— Panie Dowling, muszę się upewnić, czy pan rozumie swoją sytuację. Kiedy w laboratorium oddadzą strzał z pańskiego rewolweru, udowodnią, że testowy nabój jest identyczny z kulami wydobytymi z ciała żony.

— To pani tak uważa.

— Wierzysz temu facetowi? — odezwał się Conklin. — Zatrzymajmy go za morderstwo. Mamy go w garści. Jest skończony.

— Proszę opowiedzieć, jak to było — zwróciłam się do Dowlinga. — Jeżeli zaoszczędzi pan nam czasu i kosztów procesowych, prokurator weźmie pod uwagę pańską gotowość do współpracy...

— Czyżby? Mam w to wierzyć?

— Dodam jeszcze, że prokurator okręgowy kończy pracę o siedemnastej. Czyli za piętnaście minut. Za chwilę przegapi pan

moment na zawarcie jakiegoś porozumienia.

Dowling prychnął szyderczo, na co Conklin się zaśmiał.

Wyszedł z pokoju i wrócił z trzema kubkami kawy, celebrując dodawanie do swojej cukru oraz mleka i cały czas nucąc pod nosem piosenkę wiodącą z filmu. Miała ona wzięcie i weszła na listę przebojów, zanim jeszcze film „zabili go i uciekł” Dowlinga i Cushinga zrobił klapę.

Richie nie przestawał nucić, a ja zauważyłam zmianę na twarzy Dowlinga. Nonszalancja wyparowała. Przednie nogi krzesła stanęły na podłodze. Odniosłam wrażenie, że ta melodia wpłynęła na niego bardziej niż cokolwiek przedtem.

Rozdział 108

Odezwała się komórka Dowlinga. Spojrzał na wyświetlacz i odebrał telefon.

— Peyser? Gdzie jesteś? Co robisz? Idziesz tu piechotą?

Wysłuchawszy odpowiedzi prawnika, rzucił:

— Nie ma z ciebie żadnego pożytku. Żadnego. — Zatrzasnął komórkę, spojrział na zegarek. Była punkt siedemnasta. — Wezwijcie prokuratora okręgowego — rzekł. — Będę zeznawał z własnej nieprzymuszonej woli. Nie mam nic do ukrycia. Czy mam mieć coś na piśmie od was albo prokuratora?

— Nie — odparłam. Wskazałam kamerę w rogu nad moją głową. — Jest pan nagrywany.

Kiwnął głową. Był w obiektywie kamery. To lubił.

— Kłamałem, żeby chronić reputację Casey. Odkryła, że mam przyjaciółkę. Wycelowała we mnie rewolwer. Kiedy wyrywałem go z jej rąk, wystrzelił.

— To się stało przed ucieczką złodzieja przez okno czy potem?
— zapytałam.

— Złodzieja już nie było. Ale ją zainspirował. Dostrzegła

okazję, żeby mnie zastrzelić. Chwyliła rewolwer ze stolika nocnego i zaczęła na mnie wrzeszczeć. Chciałem go jej zabrać i wtedy wypalił. Taka jest prawda.

— Panie Dowling, czy jest pan pewien, że taką wersję chce pan nam przedstawić? Pańską żonę trafiły dwa pociski, nie pamięta pan? Była naga i nieuzbrojona. Nie stwierdzono na jej ciele śladu prochu. Więc musiał pan stać przynajmniej w odległości półtora metra od niej. Wykaże to test balistyczny.

— Nie, tak to nie wyglądało...

— A jednak dokładnie tak, panie Dowling — powiedziałam. — Pański ruger to rewolwer jednostrzałowy. Po każdym strzale musiał pan ręcznie naciągać kurek, żeby oddać kolejny strzał. Oto moja ręka imituje rewolwer, odciągam w dół kciuk, czyli kurek, i pada strzał: pif-paf.

Powtórzyłam ten manewr i znowu powiedziałam: pif-paf.

— Będzie pan próbował przekonać sędziów przysięgłych, że to była samoobrona? — spytałam.

— Bo była. Przebiegało to tak, jak już mówiłem — upierał się Dowling. Zaczął się jąkać, w głosie pojawiło się wahanie, ale obstawał przy swojej historii. — Próbowala mnie zabić. Zabrałem jej broń, lecz wypaliła. Być może wpadłem w panikę i wystrzeliłem dwukrotnie. Nie pamiętam. Byłem przerażony. — Łzy pociekły mu z oczu. — Przykro mi — zaklinał się. — Kochałem ją. Pytajcie, kogo chcecie. Nie powinienem był jej oszukiwać. Ale to było trudne... Kobiety kręcą się koło mnie, prowokują. Casey tego nie rozumiała.

Drzwi się znowu otworzyły, tym razem bez pukania, i z pewnością siebie wkroczył Tony Peyser, adwokat Dowlinga wyceniający swoje usługi na tysiąc dolarów za godzinę.

— Nic nie mów, Marc. Jakie jest oskarżenie? — zapytał mnie.

Napełniała mnie uderzająca do głowy mieszanka wściekłości i euforii. Zeznanie Dowlinga było na taśmie i ono wystarczało, by prokurator rozniósł go w pył.

Nawet nie spojrzałam na adwokata.

— Proszę wstać, panie Dowling — odezwałam się. — Jest pan areztowany pod zarzutem zamordowania Casey Dowling. Ma pan prawo zachować milczenie...

Gdy skończyłam odczytywanie Dowlingowi jego praw, Conklin nałożył mu kajdanki.

— To była samoobrona — protestował aktor.

— Kto wie? A nuż sędziowie przysięgli panu uwierzą — powiedziałam, patrząc na twarz faceta, który budził żar w sercach niezliczonych tysięcy kobiet. — Ale wie pan, co ja myślę? Jest pan marnym aktorem. I odrażającym człowiekiem.

Rozdział 109

Miałam straszliwą ochotę na drinka. Cindy zjawiała się na dole w Hall of Justice o wpół do siódmej i moim fordem explorerem pojechałyśmy do knajpki U Susie. Byłam zadowolona, że spędzimy trochę czasu sam na sam, ponieważ miałam dla niej smakowity kąsek.

Deszcz zaczął ostro zacinać, jak zwykle przy popołudniowej wichurze. Wycieraczki pracowicie zbierały wodę z szyby, a ja opowiadałam Cindy, jak „bomba” podrzucona do gmachu przy Bryant okazała się biżuterią wartą cztery miliony dolarów.

— W moim mniemaniu pani Dachowiec zwróciła kosztowności, ponieważ bała się, że nad jej głową nie przestanie wisieć groźba oskarżenia o morderstwo dokonane podczas włamania.

— Co dokładnie napisała w liście? — spytała Cindy.

— Cindy, tę część informacji, która dotyczy Dachowca, możesz wykorzystać, ale to, że wnosimy oskarżenie przeciwko Dowlingowi, przekazuję ci nieoficjalnie, okay?

— Dobrze. Jutro rano znajdę inne źródło nowin o Dowlingu. A to, że Dachowiec zwraca łupy, jest wprost nie do uwierzenia.

Uśmiechnęłam się do niej i niemal słowo w słowo przytoczyłam treść listu. Zaparkowałam jak najbliżej naszej knajpki, wysiadłyśmy z auta i piszcząc jak dziewczynki, biegłyśmy w zacinającym deszczu do kolejnej przecznicy.

Każde wejście do Susie to podniecające przeżycie. Dla nas to miejsce nasycone wspomnieniami, bo przychodzimy tu od lat. Powitał nas zapach pikantnego gulaszu rybnego, specjalności zakładu. Orkiestra stroiła instrumenty, bar oblegali single.

Zobaczyłam Yuki na stołku przy barze, więc przepchnęłyśmy się przez tłum i klepnęłam ją w ramię. Odwróciwszy się, uściskała mnie i Cindy. Przekrzykując gwar, przedstawiła nam barmana.

— Lindsay, Cindy, poznajcie Milesa La Liberte. Miles, to są moje przyjaciółki, Lindsay Boxer i Cindy Thomas.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a gdy odchodziłyśmy, Yuki nachyliła się nad ladą i pocałowała Milesa w usta.

Pocałowała go!

— Wypadłam z obiegu na zbyt długi czas — powiedziałam do Yuki, gdy mijałyśmy kuchnię, idąc do drugiej sali. — Powiedz, co przed chwilą widziałam?

— Uroczy, nie uważasz?

Yuki zaśmiała się, wzięła kartę dań od Lorraine i wsunęłyśmy się do boksu. Miejsce obok siebie trzymałam dla Claire.

— Cholernie uroczy — przyznałam. — A jak długo to trwa?

— Kilka tygodni.

— Więc to... poważna sprawa?

— Tak — rzekła z wykwitającym na twarzy rumieńcem i uśmiechem jednocześnie.

— O! — wykrzyknęła Cindy. — I trzymałaś to w tajemnicy?

— Gratuluję, Yuki. Dostałaś nową sprawę i masz nowego chłopaka. Dzban piwa, proszę — zwróciłam się do Lorraine. — I cztery szklanki.

— Ja też mam komunikat! — zawołała Cindy, klaszcząc w ręce, nachylając się nad stolikiem, jakby chciała wskoczyć mi na kolana. — Rich i ja zamieszkaliśmy razem.

— Ho, ho! To fantastycznie! — ucieszyłam się absolutnie szczerze. — Nic mi nie powiedział.

— Bo ja chciałam ci powiedzieć pierwsza.

Pojawiło się piwo z miską bananowych chipsów, a gdy Cindy nawijała o miejscu w szafie i że materac jest za miękki dla Richa, ja usiłowałam sobie przypomnieć, jak dawno temu, jeżeli w ogóle, byliśmy szczęśliwe wszystkie w tym samym czasie. Żałowałam, że w tej chwili nie ma z nami Claire.

Odwróciłam się i przez ramię zobaczyłam ją, jak pruje wąskim przejściem w naszą stronę.

To, co malowało się na jej twarzy, można było porównać do zaćmienia Słońca. Zapowiadała się prawdziwa burza.

Rozdział 110

Claire nawet nie powiedziała „cześć”.

Wsunęła się na kanapę, nalała sobie szklankę piwa.

— Przepraszam za spóźnienie — rzuciła. — Siedziałam po uszy w bazie danych lekarzy sądowych, bo wciąż próbuję przełamać impas w tej nieszczęsnej sprawie szminkowego psychologa. Edmund mówi, że powinnam zerwać zdjęcia tych martwych dzieci z tablicy korkowej w moim biurze, ale ja mam zamiar je trzymać, póki ten diabeł wcielony nie znajdzie się pod kluczem.

— Czy cokolwiek wyszperałaś? — spytałam.

— W żadnej bazie danych nie znalazłam niczego, co by odpowiadało temu, co my mamy. Żadnych przypadków strzelania do matek z dziećmi. Żadnych mazanych szminką napisów. Układ cząsteczek prochu jest niepowtarzalny. Co go motywuje, co uruchamia żądzę zabijania, na czym polega jego problem? Nie mam żadnego tropu. Cindy, możesz mi podsunąć chipsy?

— Mówi wyraźnie, że robi to dla pieniędzy — powiedziała Cindy.

Claire kiwnęła głową i podniosła rękę na znak, że nie skończyła. Wypiła trochę piwa, zagryzając chipsami, i dopiero potem kontynuowała.

— Zgoda. Ale czy to nie fenomen, Linds? Psychopata motywowany przez pieniądze? Wprawdzie jest faktem, że na przedniej szybie swojego samochodu napisał: „Teraz żądam pięciu milionów. Nie schrzańcie tego znowu”. No i co się z tym dzieje? — zapytała mnie.

— FBI ma jego samochód i oni to przejęli. Ja jestem do ich dyspozycji, ale sprawę prowadzi Benbow.

— A co by się stało, gdybyśmy my z czymś wyszli? — wtrąciła Cindy. — Gdyby tak „Chronicle” odpowiedziała na ten jego przekaz na szybie otwartym listem do zabójcy... tak jak zrobiliśmy przedtem?

— Mów konkretnie. O czym dokładnie myślisz?

— Powiedzmy, że Henry Tyler odpowiada na list następująco: „Mamy pięć milionów i chcemy się umówić na przekazanie”. Ale prowokuje zabójcę i pisze jego słowami: „Nie schrzań tego znowu”.

— I co dalej? — zapytała ją Yuki. — Kolejna zasadzka? Dlaczego miałyby się skończyć inaczej?

Miałam nadzieję, że już nie ze mną w roli głównej. Nie wiedziałam, czy byłabym w stanie powtórzyć zadania z tamtego straszliwego dnia, kiedy z telefonem wiszącym u szyi czekałam w każdej sekundzie, aż on odbierze pieniądze, jeżeli w ogóle do tego miało dojść, a potem strzeli mi w łeb.

Musiałam jednak uznać oczywistą prawdę.

— To racja, że jeżeli FBI nie zadziała szybko, on znowu kogoś zabije, żeby postawić na swoim — powiedziałam.

— I znowu matki z dziećmi — rzekła Cindy.

— Cały czas się tego boję — wyznała Claire. — Mam pomysł wart zastanowienia. Zupełnie inny. Sądzę, że mógłby się sprawdzić.

Rozdział 111

Trzecią z rzędu noc siedziałam z Conklinem i Jacobim w inwigilacyjnym vanie — dusznym, dźwiękoszczelnym, połączonym bezprzewodowo z dwiema agentkami, które kręciły się koło supermarketu Nordstrom w San Francisco Centre, pchając wózki z lalkami wielkości dzieci. Słuchałam, jak przydzielona mi „przynęta”, agentka Heather Thomson, nuci *Can't Touch Me*, Conklin zaś pilnował swojego przydziału — Connie Cacase, niewinnie wyglądającej, mówiącej slangiem dwudziestoletniej nowicjuszki z obyczajówki.

Siedem innych vanów z policjantami z trzech jednostek i z agentami z FBI krążyło w pobliżu innych centrów handlowych w mieście, pilnując innych „przynęt” z wózkami.

Media non stop podnosiły alarm, strasząc Szminkowym Zabójcą, ale burmistrz i Departament Policji San Francisco oraz FBI odmawiali opublikowania listu do Petera Gordona. A on również nie nawiązywał kontaktu.

Czy Gordon jest wściekły? Przeżywa stres? Czeka na właściwy moment? Gdzie jest?

Jeżeli działał według wzorca, to spóźniał się z kolejnym zabójstwem.

Nasz van stał przy Sutter Street blisko naziemnego parkingu Sutter-Stockton, w odległości jednej przecznicy od Nordstromu i dwóch od Macy's przy Union Square.

Jacobi miał na uszach słuchawki z bezpośrednim połączeniem z dyspozytornią Departamentu Policji San Francisco, a przez mikrofon kontaktował się z agentem Benbowem, który miał swoje ruchome centrum dowodzenia dwie przecznice dalej.

Plan wymyślony przez Claire miał sens, ale nie dawał gwarancji, że się sprawdzi. Czatowaliśmy na swoich stanowiskach, lecz zwierzyna nie przychodziła. Jacobi porozumiewał się właśnie z Benbowem, gdy w słuchawkach usłyszałam strzały. Heather przestała nucić.

— Heather! — krzyknęłam do swojego mikrofonu. — Odezwij się!

— Czy to były odgłosy strzałów? — spytała.

— Czy coś widzisz?

— Jestem na Stockton. Wydaje mi się, że strzały dobiegały z budynku parkingowego.

— Strzelanina! — zawołałam do Conklina i Jacobiego. — Agentce Thomson nic się nie stało. Richie, masz połączenie z Connie? Co z nią?

— Connie cała i zdrowa.

— Nie mam pojęcia, co się, do cholery, dzieje, ale coś się stało. Bądźmy w kontakcie — powiedziałam do Jacobiego.

Wbiłam się w kamizelkę, rzuciłam na tył vana, otworzyłam

drzwi i wyskoczyłam. Conklin tuż za mną.

Czy Peter Gordon wypłynął na powierzchnię?

A jeżeli tak, co zrobił?

Rozdział 112

Peter Gordon szedł w ślad za upatrzoną kobietą; przyglądał się, jak przed wyjściem ze sklepu w chłód nocy opatula dziecko w wózku kocykiem aż po samą brodę.

Nie była królową piękności, ale fascynująco kręciła tyłkiem — to nim podrzucała, to kołysała. Nazwał ją Wilmą Flintstone, co idealnie do niej pasowało. Miała krótką sukienkę w kropki, włosy upięte do góry w kok, a w wózku córeczkę Pebbles. Wilma włożyła torebkę do wózka i ruszyła w kierunku parkingu Sutter-Stockton.

Peter znał ten parking. Ogromna kilkupiętrowa budowla na mnóstwo samochodów z górnym poziomem otwartym na otaczające ją wieżowce. Zachowując stały kilkumetrowy odstęp od Wilmy, miał też na oku stojących na rogu ochroniarzy. Nagle między niego i Wilmę wtargnęła rodzina jakichś czworga idiotów.

Pete został w tyle. Nasunął głębiej na oczy daszek czapki, wkroczył na parking i szedł wąskim chodnikiem dla pieszych biegnącym skrajem rampy. Rodzina blokująca mu pole widzenia gdzieś zniknęła, więc przyspieszył kroku i między rzędami zaparkowanych aut wypatrywał Wilmy w sukience w kropki.

Wokół kręcili się piesi, krztusiły się silniki uruchamianych aut, piszczały opony zjeżdżających po pochyłości pojazdów. Zaczynał się martwić, że stracił swój obiekt, kiedy nagle mignęła mu przed oczami jej sukienka. Wilma wchodziła do windy, popychając przed sobą wózek.

Zamknęły się za nią drzwi, światelko nad nimi migąło i zgasło na poziomie trzecim. Pete pobiegł do schodów, wielkimi susami pokonał dwa piętra i gdy znalazł się na trzecim, nawet nie był mocno zadyszany.

Kierowcy rozglądali się za wolnymi stanowiskami, ale ruchu pieszych tu nie było. Pete przesunął ręką po wetkniętym za pasek pistolecie, okrążył słup i oto miał Wilmę na wprost siebie.

Ona też go zobaczyła.

Na jej twarzy pojawił się strach. Przez długą chwilę patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami, po czym gwałtownie obróciła spacerówkę i pobiegła do samochodu przy akompaniamencie skrzypiących kółek wózka.

— Hej! — zawołał Pete. — Czy może pani chwilę zaczekać?

— Nie podchodź do mnie. Nie zbliżaj się! — zawołała przez ramię.

Rozgryzła go, ale nie miała gdzie uciekać, do tego z dzieckiem w wózku.

— Proszę pani, to jakieś nieporozumienie. Padła mi komórka. Proszę spojrzeć.

Plecami opierała się o swojego volkswagena passata, jedną

dłoń zaciskała na rączce wózka, z szeroko otwartymi, gotowymi do krzyku ustami rozglądała się, czy może liczyć na jakąś pomoc. Dzieciak zapiszczał i Wilma nachyliła się nad wózkiem, a kiedy się wyprostowała, Pete zobaczył wycelowanego w siebie walthera P22.

Gdy wyciągał swój pistolet, zaczepił nim o koszulę. Już pokazywał się wylot lufy, lecz w tym momencie Pete usłyszał strzał i poczuł ostry ból w prawym ramieniu. Pistolet wyskoczył mu z ręki i brzdęknął na betonie.

— Ty głupia suko! — wrzasnął i dał nura po broń. Kolejny pocisk z brzękiem stuknął o beton parę centymetrów od jego nosa. Peter przekręcił się na plecy, trzymając pistolet w lewej ręce. — Nie ruszaj się, Wilmo! — zawołał, biorąc ją na cel. Ale widział coraz gorzej i oślepiały go światła reflektorów. Udało mu się wypluć kilka kulek, ale nie powalił jej na ziemię. Wilma znowu strzeliła.

I strzelała raz za razem.

Rozdział 113

Biegając Sutter Street, usłyszałam w komórce podniesiony głos Jacobiego.

— To nikt z naszych!

— Powtórz.

— Żaden z naszych ludzi w tym nie uczestniczył. Przyszło wezwanie pod dziewięćset jedenaście. Strzelano na parkingu Sutter-Stockton. Poziom trzeci.

Przekrzykując przenikliwe wycie syren, zawołałam Conklina, który biegł z przodu. Byliśmy blisko budynku parkingu, w jednej chwili wpadliśmy do środka i nasze buty zadudniły na metalowych nakładkach, gdy pędziliśmy w górę po schodach z wyciągniętą z kabur bronią.

Przebiegliśmy przez drzwi na trzecim piętrze i wtedy usłyszałam krzyk dziecka. Pobiegałam w tamtym kierunku. Kobieta tak na oko po dwudziestce stała w zastygłej pozie parę metrów od mężczyzny leżącego na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami. Trzymała w ręku pistolet.

Podchodziłam do niej powoli z wyciągniętą odznaką.

— Jestem porucznik Boxer. Już po wszystkim. Proszę oddać mi

broń.

— To on, tak? — odezwała się kobieta, nadal stojąc jak sparaliżowana, choć dziecko krzyczało z tyłu za nią. — Ta lekarka sądowa... ona mówiła, żeby chodzić z bronią, więc miałam przy sobie pistolet. To jest on, tak? To ten zabójca, czy tak?

Żeby zabezpieczyć jej walthera P22, musiałam schować swojego glocka do kabury, ścisnąć rękę kobiety w nadgarstku i odrywać jej zaciśnięte na pistolecie palce. Parę metrów dalej Conklin wykopał broń z bezwładnej ręki faceta.

Dołączyłam do Conklina i przyłożyłam palce do tętnicy szyjnej leżącego.

— Rich, wyczuwam puls.

Conklin wezwał ambulans. Z rampy dochodziły odgłosy wjeżdżających na górę radiowozów. Ja nie mogłam oderwać wzroku od twarzy Petera Gordona.

To był ten potwór, który pozbawił życia dziewięć osób, w tym pięcioro dzieci, który dręczył swoją rodzinę i trzymał w szachu całe miasto.

Jego krew tryskała na beton.

Nie chciałam, żeby umarł. Chciałam go zobaczyć w pomarańczowym więziennym dresie, w sądzie przykutego do stołu obrony. Chciałam usłyszeć, jak przedstawia swoją wizję świata. Chciałam, żeby zapłacił za wszystko dziewięcioma wyrokami dożywocia — jednym za każdą osobę, którą zabił. Chciałam, żeby drogo zapłacił.

Przycisnęłam ręką jego tętnicę udową, z której tryskała krew. Niemal podskoczyłam, kiedy otworzył półprzytomne oczy.

— Cukiereczku... myślę, że... mnie załatwiła.

Nachyliłam się tak nisko nad jego twarzą, że prawie czułam ruch powietrza, gdy zamykał i otwierał powieki.

— Dlaczego zabijałeś, ty skurwysynu?

Uśmiechnął się.

— A dlaczego nie? — Z jego ust wydobył się urwany oddech i Gordon zmarł.

Epilog

911

Rozdział 114

To był dwudziesty piąty września, ja i Joe oczekiwaliśmy gości. Mieliśmy wznosić toasty i życzyć sobie nawzajem szczęścia na przyszłość.

Szynka była w piekarniku, polana pikantną glazurą z mango. Martha zebrała o kąsek, ale zamiast tego dostała biszkoptowego gryzaka. Miałam na sobie domowe kimono, na twarzy maseczkę z awokado. Obierałam ziemniaki, a Joe kroił jabłka na kobler. Nasi 49ers grali z drużyną Dallas Cowboys, głośne wiwaty tłumu dobiegały z telewizora, gdy nagle zadzwoniła komórka Joego.

— Nie odbieraj, kochanie — powiedziałam.

Mówiłam poważnie, ale on tylko uśmiechnął się do mnie i wziął telefon do ręki.

Od tygodni nie było telefonu, który by mnie nie wprowadził w stan przerażenia, i szczerze mówiąc, praca wykończyła mnie nerwowo do tego stopnia, że dramatem wydawała mi się przepalająca się żarówka. Albo złamany paznokiec. Albo nawet lekki spadek temperatury. Byłam w rozsypce.

Joe przeszedł z telefonem do salonu, a ja opłukałam ziemniaki i postawiłam je do gotowania. Kiedy w łazience zmywałam z

twarży awokado, usłyszałam, że Joe mnie woła. Zakręciłam kran, osuszyłam oczy miniręczniczką, odwróciłam się i zobaczyłam ściągniętą, ponurą twarz Joego.

— Na międzynarodowym lotnisku Waszyngton-Dulles stoi na pasie samolot pełen ludzi — powiedział. — Na pokładzie jest facet, który lata temu był moim informatorem. W ręcznym bagażu przeschmugłował C-cztery. Grozi wysadzeniem samolotu w powietrze.

— O mój Boże. I federalni chcą, żebyś im doradzał?

— Niedokładnie tak. To ten gość z C-cztery, Waleed Mohammad, chce rozmawiać ze mną i tylko ze mną.

Kiedy poznałam Joego, był zastępcą dyrektora w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego, a gdy przeniósł się tu z Waszyngtonu, został wysokiego szczebla doradcą do spraw bezpieczeństwa, pracującym zdalnie z domu.

— Rozumiem, musisz do niego zadzwonić — powiedziałam. — Wyperswadować mu to.

— Niestety, muszę lecieć do Waszyngtonu — odparł Joe, podchodząc i obejmując mnie. — Przyjeżdża samochód. Już muszę iść.

Poczułam się tak, jakby zatrzymało mi się serce.

Miałam ochotę jak głuptas rozryczeć się w jego ramionach, powiedzieć, że nie może jechać, a jeżeli pojedzie, to będę płakać, póki nie wróci.

— Rób, co musisz robić — rzekłam.

Rozdział 115

Zdażyłam się ubrać przed przyjściem Yuki i Milesa. Miles, ten niewypowiedzianie uroczy barman, przyniósł butelkę wina i nie omieszkał powiedzieć, że jest ono z wysokiej półki. Ledwie słyszałam, co mówi, ale jestem pewna, że mu podziękowałam. Yuki zapytała o Joego. Załamującym się głosem i z mokrymi oczami wyjaśniłam, że musiał nagle polecieć do Waszyngtonu.

Odwróciłam głowę, żeby jej nie martwić niestosownym łzawym nastrojem. Poszła ze mną do kuchni i pomogła ułożyć na półmisku ser z oliwkami.

— Co się z tobą dzieje, Lindsay? — spytała.

— Nie patrz na mnie. Po prostu wszystko się w końcu skumulowało. Wiesz, jak to jest. Wszystko.

— Kiedy Joe wraca?

Wzruszyłam ramionami. Rozległ się dzwonek u drzwi, a gdy otwierałam Edmundowi i Claire, Martha rozszczękała się radośnie. Claire, z kwiatami w rękach, zamknęła mnie w długim, gorącym uścisku.

— Wspaniale wyglądasz w czerwonym kolorze, Lindsay — skomplementował mnie Edmund. — Wspaniale pod każdym

względem, ale czerwień to zdecydowanie twój kolor.

Przysiadł się do wpatzonego w telewizor Milesa i połączyła ich futbolowa pasja, podczas gdy Claire weszła do kuchni w poszukiwaniu wazonu.

Kiedy pokazali się Cindy i Rich, uświadomiłam sobie, że po raz pierwszy widzę ich jako parę w sytuacji towarzyskiej. I być może rzeczywiście po raz pierwszy wystąpili publicznie jako para. Było mi miło, że ten debiut ma miejsce w moim domu. Powiedziałam im, że Joe pozostanie „wielkim nieobecnym”, i wyjaśniłam dlaczego.

— Czy mam włączyć jakąś muzykę, Linds? — zapytał Rich.

— O tak, proszę. Będzie fajnie.

Richie grzebał w kompaktach, a ja wyciągałam z piekarnika szynkę, kiedy zaterkotały telefony — wszystkie cztery dzwoniły jednocześnie w czterech pokojach.

— Odbierzesz? — zapytała mnie Claire.

— Nie cierpię ich teraz.

— To może być Jacobi.

— Dzwoniłby na moją komórkę.

I w mojej torebce odezwała się komórka. Wyjęłam ją i spojrzałam na wyświetlacz. Nie rozpoznałam numeru. Pomyślałam, że to Jacobi z tajemniczej prywatnej komórki.

— Warren, jakieś kłopoty?

— Czy to porucznik Boxer?

— Tak. Kto mówi?

— Major John Jordan. Niestety, wydarzyła się katastrofa. Chciałem rozmawiać z panią, zanim usłyszy pani o tym w wiadomościach.

Miałam takie odczucie, jakby po moich zwojach mózgowych niczym po starej płycie winylowej ze zgrzytem przesunęła się igła. Nie mogło chodzić o dramat zakładników w Waszyngtonie. Joe nie mógł tam jeszcze dolecieć. Jego samolot dopiero wystartował. Przez prześwit z kuchni do salonu widziałam telewizor.

Mecz futbolowy zastąpiły gadające głowy, a na ekranie pojawił się pasek z wiadomością z ostatniej chwili:

SAMOLOD CZARTEROWY SPADŁ NA ZIEMIĘ W KALIFORNII.

Materiał filmowy z helikoptera ukazywał zieloną dolinę zeszpeconą wrakiem i wykwittem słupa czarnego dymu.

Major coś dalej mówił, ale jego słowa do mnie nie docierały. Już wiedziałam. Samolot Joego spadł. Jeszcze nie było wiadomo, czy doszło do wybuchu, czy się rozbił.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami i osunęłam się na podłogę.

Rozdział 116

Kiedy wynurzyłam się z ciemnej otchłani, usłyszałam, że Claire mówi coś do Cindy, na czole czułam zimny okład, a na piersiach łapy Marthy. Powieki same mi się odemknęły. Patrzyłam na sufit naszej sypialni.

Gdzie jest Joe? Usłyszałam głos Claire:

— Jestem przy tobie, dziecinko. Wszyscy jesteśmy.

— Joe? Czy Joe...? — zaskamlałam. — Nie, Boże mój, nie.

Claire patrzyła na mnie z wyrazem bezradności, łzy ciekły jej po policzkach. Cindy ścisnęła moją dłoń, Yuki płakała, chodziła w kółko i wciąż płakała.

Przepełniała mnie jakaś straszliwa pustka i ból tak głęboki, tak wstrząsający, że chciałam umrzeć. Przekreśliłam się na bok, żeby nikogo nie widzieć, i nakryłam głowę poduszką. Szlochałam spazmatycznie.

— Jestem tutaj, skarbie — powtarzała Claire.

— Powiedz im, żeby sobie poszli. Proszę.

Nie odpowiedziała mi. Zamknęły się drzwi. Przyciągnęłam poduszkę Joego, wtuliłam się w nią i ukołysałam do snu, ale to

było jak opadanie w czeluść bez dna, a nie odpływanie w sen.

Obudziłam się, nie wiedząc, dlaczego jestem pogrążona w panice.

— Która godzina? — zapytałam z głową w poduszce.

— Zbliża się piąta — odpowiedziała Claire.

— Po południu?

— Tak.

— Byłam nieświadoma zaledwie godzinę?

— Przyniosę ci coś, co cię znieczuli na dłużej — powiedziała.

— Lek na receptę.

Naciągnęłam na głowę kołdrę.

Wynurzyłam się ponownie z otchłani, tym razem wokół mnie rozbrzmiewały radosne krzyki, wiwaty. Co jest, do diabła? Czy dalej śnię? Otworzyły się drzwi sypialni i rozbłysło światło. Nade mną stanął Joe.

Wykrzyknęłam jego imię.

Czy to naprawdę on? On? Czy może zwariowałam?

Rozłożył ramiona, rzuciłam się na niego, poczułam na policzku szorstkość jego wełnianej marynarki, usłyszałam jego głos wymawiający moje imię.

Odchyliłam się i dla pewności spojrzałam na niego ponownie, a tymczasem pokój zapełnił się przyjaciółmi — musieli się zadowolić miejscami stojącymi.

— Jestem cały i zdrow, wszystko w porządku, kochana. Jestem

przy tobie.

Jeszcze zapłakana, poprosiłam Joego o wyjaśnienie, co się stało.

— Byłem już na lotnisku — powiedział. — Na międzynarodowym SFO, kiedy zadzwonili z Waszyngtonu z informacją, że pasażerowie tamtego samolotu obezwładnili Waleeda. Koniec incydentu. Mogłem wracać do domu. Załatwiałem dla siebie samochód. Nie wiedziałem o katastrofie lotniczej, póki kierowca nie włączył radia, mówiąc, co się wydarzyło.

Zostałam wyprowadzona z sypialni i posadzona przy stole. Joe usiadł koło mnie. Pieczone było gumowate i zimne, ale to było najlepsze danie, jakie kiedykolwiek jadłam — najlepsze w całym moim życiu.

Rozlano wino. Wznoszono toasty. Gdy rozglądałam się po twarzach wokół stołu, w końcu to do mnie dotarło — nie było Jacobiego.

— Rich, czy Jacobi odzywał się do ciebie?

— Nie, nie dzwonił.

Podnieśliśmy kieliszki dla uczczenia nowej sympatii Jacobiego. Ze smakiem zjedliśmy przygotowaną przez Joego kruszonkę z jabłkiem i dla pełni szczęścia 49ers odnieśli zwycięstwo. Z nadmiaru emocji średnio się czułam i pozwoliłam gościom sprzątać ze stołu.

O ósmej wieczorem znalazłam się w łóżku, mocno trzymając Joego w ramionach.

Rozdział 117

Tej nocy telefon dzwonił kilka razy i rano również. Zapowiedziałam Joemu, że jeżeli podniesie słuchawkę, jest martwy, a potem wyciągnęłam wtyczkę z gniazdka telefonicznego, obydwie nasze komórki włożyłam do sejfów w ścianie i zmieniłam kombinację.

Wyszliśmy pobiegać z Marthą, a kiedy wróciliśmy, Joe usmażył z wczorajszych resztek omlety z serem i szynką. Minęło południe, otworzyliśmy wino przyniesione przez Milesa. Joe spróbował łyk, przyjrzał się butelce i powiedział: „Ho, ho”.

Jakiś czas temu kupiliśmy komplet odcinków pierwszego sezonu *Zagubionych*, ale nigdy nie było czasu, żeby to oglądać. Teraz przysunęliśmy fotele bliżej telewizora i obejrzeliliśmy sześć odcinków tylko z przerwą na pizzę i piwo, potem przełączyliśmy się na wiadomości. Dowiedzieliśmy się, że przyczyną rozbicia samolotu nie był zamach, tylko błąd pilota. Z jednej strony to było straszne, ponieważ zginęły cztery osoby, ale z drugiej ulżyło nam, bo nie chodziło o atak na życie Joego.

Spędziliśmy kolejne pięć godzin z *Zagubionymi* i ktoś mógłby powiedzieć, że zmarnowaliśmy cały dzień, ale mnie o to chodziło: Joe, piwo i fantastyczno-przygodowy serial. W takiej

właśnie kolejności. Tego mi było trzeba. Zasnęłam w ramionach Joego w trakcie oglądania komediowego talk-show *Late, Late Show with Craig Ferguson*. Gdy się ocknęłam, wyłączyłam telewizor i potrząsnęłam śpiącym Joem.

— Hmm?

— Kocham cię — powiedziałam.

— To oczywiste. Ja też cię kocham. Niestety, nie mogę tego wyrazić w bardziej sugestywny sposób. Szkoda, że nie możesz wślizgnąć się w moją skórę i poczuć, jak bardzo cię kocham.

Parsknęłam śmiechem.

Rety, jak dobrze jest móc się znowu śmiać, pomyślałam.

— Wierzę ci, kochanie — rzekłam.

Kiedy się znowu budziłam, było już rano. Wyprowadziłam Marthę na spacer, a gdy po powrocie się ubierałam, co rusz zerkiałam na pogrążonego jeszcze we śnie Joego. Podłączyłam do gniazdek telefonu i wypiałam duszkiem szklanę soku pomarańczowego.

Przypięłam kaburę z bronią do paska, otworzyłam sejf w garderobie i wyjęłam nasze telefony komórkowe. Komórkę Joego położyłam na szafce nocnej z jego strony łóżka i pocałowałam go.

Otworzył swoje niebieskie oczy.

— No i jak się czujesz, Blondasku?

— Dziękuję, świetnie — odparłam. — Zadzwoń do mnie później.

Martha wskoczyła do Joego na łóżko, zostawiłam ich i poszłam do samochodu, a gdy usiadłam za kierownicą, sprawdziłam w komórce wiadomości.

Nie odebrałam czterech telefonów, wszystkie były od Jacobiego. Zdenerwowałam się i poczułam potwornie winna. Kocham Jacobiego. Kocham go jak ojca, którego mi brak. Co się stało z szefem? Czy go zawiodłam, gdy mnie potrzebował?

Odsłuchiłam pierwszą wiadomość od Jacobiego:

„Boxer, przykro mi, że nie mogłem przyjść do was na prośzoną kolację, ale zostałem uziemiony na Bryant przez Tracchia i burmistrza. A oto, co z tego wynikło: Tracchio ma dość. Podaje się do dymisji, a ja awansuję na komendanta...”.

Szczęka mi opadła i zirytowałam się, słysząc bipnięcie, które przerwało Jacobiemu. Natychmiast wyklikałam drugą wiadomość.

„Jak rzekłem, Boxer, możesz wrócić na poprzednie stanowisko”. — To Jacobi mówił dobre kilka godzin temu. — „Możesz być znowu szefem, ze wszystkimi tego plusami, ha, ha. I bądź absolutnie pewna, że będziesz nie tylko formalnie, lecz także faktycznie władać wydziałem zabójstw. Dostaniesz więcej ludzi, to przyrzekam. Jeżeli nie chcesz tej roboty, dam ją Jacksonowi Brady’emu. Ty masz pierwszeństwo, ale musisz mi natychmiast odpowiedzieć. Tracchio ma ogłosić decyzję we wtorek z samego rana”.

Następne dwie wiadomości były jednakowe i krótkie: „Boxer, oddzwoń”. Ostatnią nagrał w nocy.

A więc nie zmieściłam się w nieprzekraczalnym terminie, nawet o tym nie wiedząc.

Jaką decyzję podjął Jacobi? Czy wyznaczył mnie na swoje miejsce? Czy Jacksona Brady'ego? W każdym razie ja straciłam szansę na zabranie głosu. Zadzwoiłam do Jacobiego, ale miał zajęty telefon. Spróbowałam jeszcze raz — to samo.

Uruchomiłam samochód i ruszyłam do Hall of Justice, ale co mnie tam czekało? Nie miałam pojęcia.

Podziękowania

Gdy pisaliśmy tę książkę, służyli nam swoim czasem i wiedzą wybitni specjaliści: Philip R. Hoffman, dr Humphrey Germaniuk, kapitan Richard Conklin, Mickey Sherman, Clint Van Zandt, dr Maria Paige, dr Mike Sciarra, Darcy Hammerman Dalton, Michael Burke i Stephen Donini — składamy Wam gorące podziękowania.

Na specjalne podziękowania zasługują: Lynn Colomello, Lauren Sheftell, Ellie Shurtleff, którzy zbierali dla nas bezcenne informacje, oraz oczywiście Mary Jordan — kobieta z dwunastoma parami rąk.